W DEPRESJI
Miliony Polaków na psychotropach

DUCHOWA DIETA
Kuszenie Kościoła i Wielki Post

PRZYSZŁOŚĆ PRZYSZŁA
Przewodnik po zmianie naszego świata

WROGI SPEKTAKL
Kultura narodowa i partyjna skorupa

BIEG FARAONA
Rytualne zaplecze sportu

Kraków 6 marca 2022 nr 10 (3791) cena 10 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

JESTEŚMY Z TOBĄ UKRAINO

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

Białystok

NAGRODA LITERACKA PREZYDENTA MIASTA BIAŁEGOSTOKU IM. WIESŁAWA KAZANECKIEGO

Książki nominowane do nagrody za 2021 rok

• *w kategorii najlepsza książka roku*

„Cicho, cichutko”
Ignacy Karpowicz
Wydawnictwo Literackie
Kraków 2021

„Przewóz”
Andrzej Stasiuk
Wydawnictwo Czarne
Wołowiec 2021

„gift. z Podlasia”
Justyna Kulikowska
WBPiCAK
Poznań 2021

• *w kategorii najlepszy ogólnopolski poetycki debiut roku*

„Wszystko już było dotykane”
Kinga Skwira
WBPiCAK
Poznań 2021

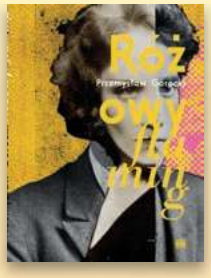

„Różowy flaming”
Przemysław Górecki
WBPiCAK
Poznań 2021

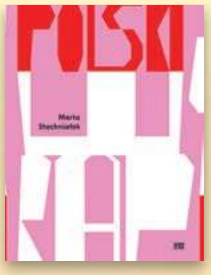

„polski wrap”
Marta Stachniałek
WBPiCAK
Poznań 2021

Nagroda Literacka Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego przyznawana jest corocznie, od 1991 r., za dokonania w dziedzinie literatury żyjącym twórcom, w dwóch kategoriach:

- ***za najlepszą książkę roku***, spośród wszystkich gatunków literackich, twórcom, którzy są związani ze środowiskiem literackim Białegostoku i regionu lub też się tu urodzili czy zamieszkują albo których twórczość wykazuje związki z miastem i regionem, oraz twórcom, których książki wydano w Białymstoku. Z udziału wyłączone są antologie, opracowania, publikacje naukowe oraz albumowe;
- ***za najlepszy ogólnopolski poetycki debiut roku***, rozumiany jako pierwszy wydany tom danego autora.

Laureatów Nagrody poznamy w kwietniu 2022 r.

KS. ADAM

Boniecki: *Tak nie może być*

Traktat ryski (lub inaczej pokój ryski) między Polską a Rosją i Ukrainą został podpisany w Rydze 18 marca 1921 r. Tak się zakończyła wojna polsko-bolszewicka. Jedną z konsekwencji traktatu było unieważnienie tzw. Umowy Warszawskiej zawartej z inicjatywy Józefa Piłsudskiego niespełna rok wcześniej (21 kwietnia 1920 r.) między Rzecząpospolitą Polską a Ukraińską Republiką Ludową. Umowa była aktem uznania państwowości Ukraińskiej Republiki Ludowej i Dyrektoriatu Semena Petlury jako rządu Ukrainy. Od tej pory oddziały Ukraińskiej Armii Ludowej atamana Petlury walczyły z bolszewikami u boku polskiej armii z nadzieją na zachowanie niezależności Ukrainy. Teraz – zgodnie z postanowieniem Traktatu – żołnierze Petlury zostali rozbrojeni i internowani w Szczypiornie k. Kalisza. Słynne są słowa skierowane do nich przez Józefa Piłsudskiego, który w maju 1921 r. odwiedził ośrodek w Szczypiornie: „Ja was przepraszam, panowie, ja was bardzo przepraszam. Tak nie miało być". Piłsudski był wtedy przyjęty przez internowanych z entuzjazmem, a sam obóz został zlikwidowany 27 stycznia 1923 r., część żołnierzy znalazła się w Polskim Wojsku, inni znaleźli zatrudnienie, inwalidami zaś zajęła się opieka społeczna. Jednak pamięć o tej – jak wielu to określało – „zdradzie" pozostała u Ukraińców i zaciążyła na relacjach z Polską.

Te relacje zresztą nigdy nie były łatwe. Instytut Europy Środkowo-Wschodniej, który w 1990 r. przystąpił do wspólnego opracowania historii Białorusi, Litwy, Polski i Ukrainy, wydał w 2000 r. pracę ukraińskiego historyka Jarosława Hrycaka „Historia Ukrainy 1772--1999. Narodziny nowoczesnego narodu" (przekład Katarzyny Kotyńskiej). Autor cytuje ukraińskiego pisarza Wołodymyra Wynnyczenkę, który o dziejach Ukrainy pisze: „nieszczęsny, zaszczuty, rozszarpywany naród przez cały okres swojego państwowego (czy może dokładniej, na poły państwowego) istnienia nic innego nie robił, tylko bronił się ze wszystkich stron: przed Polakami, Rosjanami, Tatarami, Szwedami. Cała historia to nieprzerwany ciąg nieustannych powstań, wojen, pożogi, głodu, najazdów, przewrotów wojskowych, intryg, kłótni, spisków...". Czytając książkę prof. Hrycaka, trudno znaleźć racje, dla których Ukraińcy mieliby kochać Polaków. My zresztą też nie pozostawaliśmy dłużni. Co mam począć, skoro moje pokolenie skażone jest pamięcią o rzezi wołyńskiej, Ukraińcach wspierających Niemców w tłumieniu powstania warszawskiego, o SS-Galizien, Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN-B), banderowcach i UPA, utracie Lwowa itd.

Jak bardzo to się teraz zmienia.

W miejsce starej, złej pamięci pojawiło się proste, ludzkie współczucie. W miejsce stereotypów i wyobrażeń – realna figura bohaterskiego prezydenta Zełenskiego, najważniejszego dziś przywódcy w Europie, którego portret znajdzie Czytelnik w tym wydaniu, i niezliczonych bohaterów broniących swojego kraju. W lutowych dniach 2022 r. nasze serca się otworzyły dla tych, którzy u nas szukają schronienia, bezpieczeństwa i ludzkiego zrozumienia. Z państwa, które się odgradzało żyletkowymi drutami, staliśmy się domem gościnnym dla potrzebujących. Wszyscy – zwykli ludzie, PiS-owcy i opozycjoniści, świeccy, biskupi i prości księża, samorządowcy i funkcjonariusze – skupili się na solidarności. A w tym strasznym czasie solidarność jest najcenniejsza. ©℗

SOLIDARNI Z UKRAINĄ

Drogie Czytelniczki i Czytelnicy
– na ostatniej stronie tego wydania publikujemy flagę – symbol naszego wsparcia dla narodu ukraińskiego. Możecie jej użyć jako plakatu w oknie i witrynie, podczas antywojennej demonstracji. Albo jako kartkę, którą nakleicie z dobrym słowem na paczki z pomocą. Niech nasi Wschodni Sąsiedzi zobaczą, że mają w nas wsparcie.

Слава Україні!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

26 Za wolność naszą i waszą
MAREK RABIJ
Mieszkającym w Polsce Ukraińcom świat rozpadł się na kawałki. Pewni są tylko tego, że atakując ich ojczyznę, Putin niechcący stał się akuszerem nowoczesnego narodu Ukrainy.

50 Wróg mojego wroga
PIOTR BERNARDYN Z TOKIO
Syberyjski niedźwiedź zaprzyjaźnił się z chińskim smokiem. Oba mocarstwa mają jednak sprzeczne interesy, a dysproporcja potencjałów rośnie z każdym rokiem na korzyść Pekinu.

58 Test wojny
TADEUSZ IWAŃSKI
Oto jak Wołodymyr Zełenski przestał być sympatycznym Wową z medialnym uśmiechem, a stał się coraz bardziej pochmurnym i zmęczonym – ale także zdecydowanym – liderem Ukrainy.

84 Krótka historia destabilizacji
TOMASZ STAWISZYŃSKI
Płynące z Ukrainy obrazy zwiastują nieodwołalny koniec rzeczywistości, którą znaliśmy i w której przynajmniej część z nas czuła się bezpiecznie.

38 Wielki Post Kościoła
PIOTR SIKORA
Zaraz po doświadczeniu bliskości Ojca czekała na Jezusa pustynia i trzy szatańskie pokusy. Chrześcijanie idą tą samą drogą.

70 Skorupa, akcje i reakcje
DARIUSZ KOSIŃSKI
Furię władzy wywołała „zdrada", polegająca na zainstalowaniu wrogiego przedstawienia w miejscu uznanym za własne. Gra nie idzie nawet o tę własność, ale o reakcję publiczności modelowo wręcz nieskorej do zaangażowania.

JACEK TARAN // MIKHAIL SVETLOV / GETTY IMAGES // JOSHUA EARLE / UNSPLASH // BARTEK BARCZYK / MATERIAŁY PRASOWE // WIKIPEDIA / DOMENA PUBLICZNA // @ZELENSKYYUA / TWITTER

6 Jesteśmy z tobą, Ukraino
WOJCIECH PIĘCIAK

7-11 Obraz tygodnia

24-25 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

88 Tygodnik Czytelników

KRAJ

26 Za wolność naszą i waszą
MAREK RABIJ

30 Polska na psychotropach
MAŁGORZATA NOCUŃ:
Miliony Polaków cierpią psychicznie

34 Cyfrowa konstytucja
ROZMOWA Z KATARZYNĄ SZYMIELEWICZ, PREZESKĄ FUNDACJI PANOPTYKON:
Nasza prywatność i wielkie serwisy

WIARA

38 Wielki Post Kościoła
PIOTR SIKORA

42 Święta przemoc
ROZMOWA Z SALVATOREM CERNUZIO, AUTOREM KSIĄŻKI O PRZEMOCY W ŻEŃSKICH KLASZTORACH

44 Medycyna wyzwolenia
ZUZANNA RADZIK:
Paul Farmer zapewniał biednym najwyższe standardy opieki medycznej

ŚWIAT

50 Wróg mojego wroga
PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

54 Brudna szarża Trumpa
MARTA ZDZIEBORSKA:
Jego kłopoty prawne zmniejszają szanse na powrót do Białego Domu

TEMAT TYGODNIKA

12 Wojenny Majdan
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KIJOWA
Ukraińcy walczą, aby pokrzyżować plany Kremla.

16 Stawką jest Europa
WOJCIECH KONOŃCZUK
Rosyjska inwazja w fundamentalny sposób zmienia Ukrainę, Europę i Rosję.

17 Sankcje nie zakończą wojny, ale osłabią Putina
MARCIN ŻYŁA

18 Świat cały
MARCIN ŻYŁA
Uchodźcy przyjeżdżają do Polski.

20 Niech będą przeklęci
ANNA ŁABUSZEWSKA
Co dzieje się w Rosji?

22 Dla kogo pracuje czas
JAROSŁAW FLIS
Ukraińska pewność siebie staje się kluczowym czynnikiem tej wojny.

FELIETONY

37 JACEK PODSIADŁO **47** WOJCIECH BONOWICZ
62 HANNA KRALL **82** JAN KLATA
83 PAWEŁ BRAVO **90** STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: TP-ONLINE

Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

56 Gorzej niż pies
ROZMOWA Z IGOREM BANCEREM, BIAŁORUSKIM OPOZYCJONISTĄ:
Nie kryję się z moimi poglądami. Nie kalkuluję

PORTRET

58 Test wojny
TADEUSZ IWAŃSKI

NAUKA

64 Boska gonitwa
PIOTR KOŁODZIEJCZYK:
Gra w piłkę albo bieg na dwieście metrów dla naszych przodków mogły być oknem na świat rzeczywistości boskiej

KULTURA

70 Skorupa, akcje i reakcje
DARIUSZ KOSIŃSKI

74 Budowniczy ruin
ROZMOWA Z BJORNEM SCHMELZEREM, MUZYKIEM:
Sztuka powinna wskazywać na ślepe plamki w naszym rozumieniu świata

78 Uśmiech królowej
ANITA PIOTROWSKA:
Olivia Colman dziś nazywana jest dobrem narodowym

82 Czarne baśnie
LEKTOR *o książce Leonory Carrington „Siódmy koń. Opowiadania zebrane”*

DIAGNOZA

84 Krótka historia destabilizacji
TOMASZ STAWISZYŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Jedyna słuszna decyzja
Reprezentacja Polski odmawia gry z Rosją – o tym, że sankcje muszą dotyczyć także sportu, pisze **MICHAŁ OKOŃSKI** tygodnikpowszechny.pl/sportisankcje

Kijów się broni [Podkast Powszechny]
Gdy dotarłem na miejsce starć, wyglądało to strasznie. Rozmawiałem tam z ludźmi przerażonymi, ale też nieprawdopodobnie zmotywowanymi do walki – opowiada nasz korespondent **PAWEŁ PIENIĄŻEK** powszech.net/podkast

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

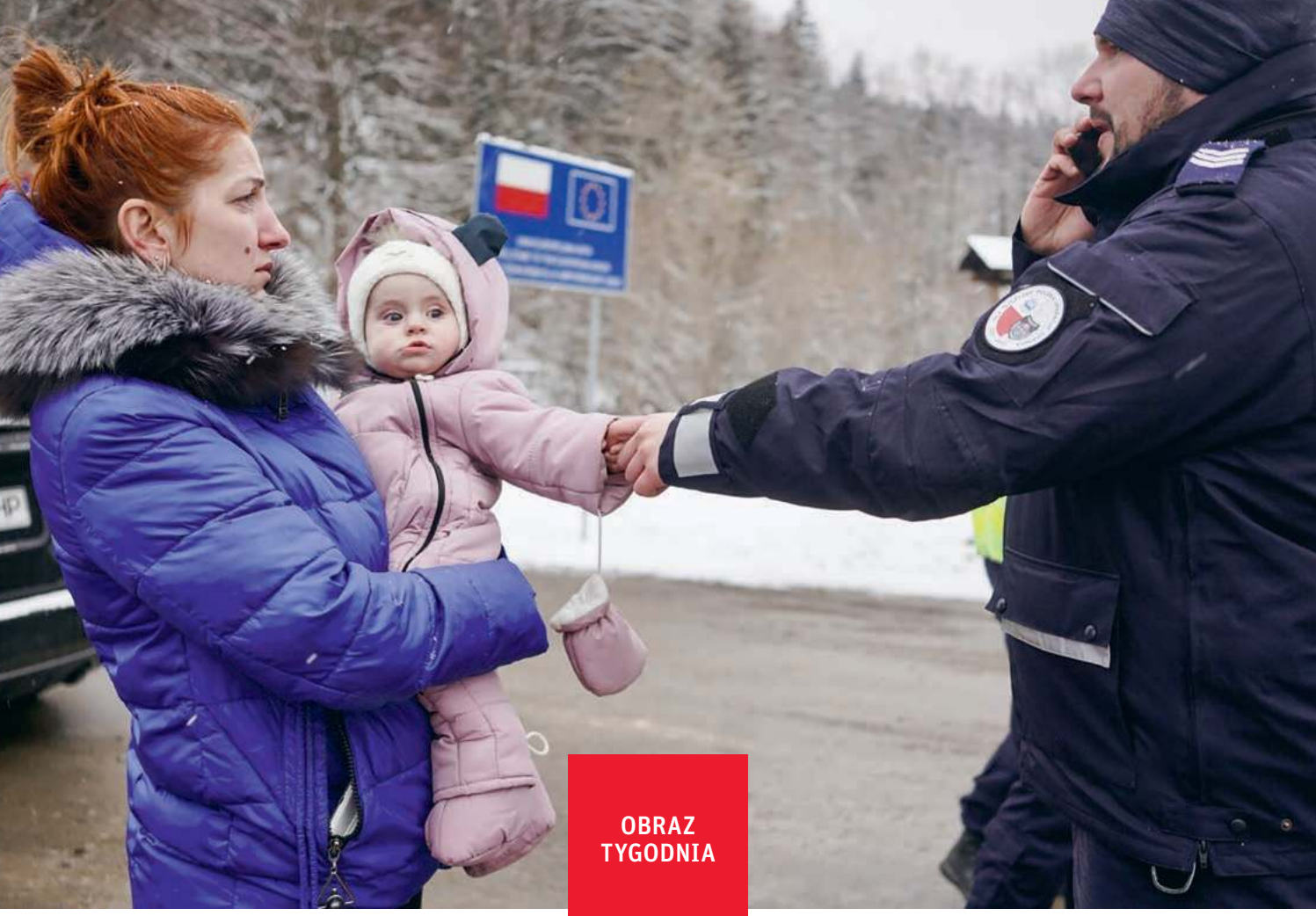

OBRAZ TYGODNIA

JESTEŚMY Z TOBĄ, UKRAINO

Ukraina wzywa pomocy, a Polska odpowiada. Nasze państwo posyła walczącym broń, a nasze społeczeństwo mobilizuje się, by pomagać oddolnie. Nie wiemy, co będzie jutro. Ale wiemy, co trzeba robić dziś.

WOJCIECH PIĘCIAK

Na przejściu granicznym Smolnica–Krościenko, 28 lutego 2022 r.

Szli pieszo 15 kilometrów. Szli doliną rzeki Strwiąż, która prowadzi do ukraińsko-polskiego przejścia granicznego Smolnica–Krościenko, w mroźnych wciąż Bieszczadach. Szli szosą wzdłuż kolumny aut czekających na wjazd do Polski. Byle dalej od tego zła, które spadło na Ukrainę 24 lutego o czwartej rano. Lili i Nurij, młode małżeństwo Tatarów Krymskich, ich sześcioro dzieci (najmłodsze czteromiesięczne) i Zejra, mama Lili. Ktoś podwiózł ich z Drohobycza, gdzie żyli przez ostatnie lata. Potem woleli iść pieszo, niż czekać w kolejce aut. Byle szybciej. To była ich druga ucieczka przed Rosją w ciągu ostatnich lat – wcześniej musieli uciekać z Krymu.

Był późny wieczór 26 lutego, gdy znaleźli się w Polsce. Kończył się drugi dzień wojny o przetrwanie Ukrainy, a także o wiele więcej. Po polskiej stronie czekało już na nich – i na tysiące innych obywateli Ukrainy, którzy tego dnia przeszli tu granicę – pospolite ruszenie z okolicznych gmin. Strażacy z OSP z autami do dalszego transportu uciekinierów, miejscowi ochotnicy z torbami jedzenia, a także wolontariusze przybyli z głębi Polski.

Jeszcze tej nocy mogli odpocząć w cieple na łóżkach polowych, w świetlicy w Równi koło Ustrzyk Dolnych, pod opieką drobnej Julii, żołnierki WOT. Wiejska świetlica stała się ich schronieniem. Tymczasowym, bo następnego dnia pojechali dalej: autami, którymi przybyli po nich Ewa i Krzysiek, Marta i Ania oraz Jacek. Wieczorem byli w Bolechowicach koło Krakowa. Zajęli się tam

nimi Małgosia, Lidka i ich przyjaciele. Wszyscy oni nie wiedzieli, co będzie jutro. Wiedzieli, co trzeba robić dziś.

Podobnych historii jest tyle, że nie sposób ich ogarnąć. Gdy państwo czyni to, co powinno (i wraz z sojusznikami m.in. dostarcza Ukrainie broń), również społeczeństwo robi swoje. Takiej wielkiej oddolnej mobilizacji nasze pokolenie nie pamięta.

Mimo wszystko nie wierzyliśmy, że to nastąpi. Stało się inaczej: po raz drugi w życiu najstarszych spośród nas bezwzględny tyran – niemający szacunku dla życia (także swych poddanych) ani dla podstawowych praw ludzkich, jak prawo do wolności, pokoju i szczęścia – rozpętał w naszej części Europy wielką wojnę. Jej celem jest Ukraina. Ale nie miejmy złudzeń: jeśli teraz nie stawimy mu czoła, on nie ustanie. Zresztą on tego nie kryje: w jego projektach „traktatów o bezpieczeństwie", sformułowanych pod adresem NATO i USA w grudniu 2021 r., mowa jest też o Europie Środkowej. Ostatnie maski tyrana – jeśli ktoś miał złudzenia wobec jego intencji (niektórzy w Europie Zachodniej mieli) – opadły.

Ukraina walczy. Nie wiemy, co przyniosą najbliższe dni. Nie możemy powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Wielu z naszych ukraińskich przyjaciół nie wróci. Niektórzy już zginęli. Ale wiemy, że ofiara ich życia – oddali je także za naszą wolność – nie jest daremna.

Tak, boimy się. Nierozsądnym byłoby się nie bać i strach jest dziś czymś normalnym. Jednak on nie musi paraliżować. Przeciwnie: może mobilizować do działania, ono zaś daje poczucie sprawczości i wewnętrzny spokój.

Swój wkład może wnieść każdy z nas – czy wspierając finansowo środowiska ukraińskie w Polsce, które organizują pomoc dla ochotników, zgłaszających się masowo do obrony terytorialnej (by nie musieli iść w bój tylko z karabinem, lecz aby mieli hełm, osobistą apteczkę, parę konserw i powerbank), czy przyjmując ukraińskich uciekinierów. Historię tworzą miliony indywidualnych decyzji. Także takich, jak zaproszenie na herbatę sąsiadów-Ukraińców z naszego bloku, by w tej najczarniejszej dla nich chwili nie byli sami.

To godzina próby. Najważniejsza w historii naszego pokolenia. W tej godzinie nasze państwo i społeczeństwo robią to, co trzeba. ©℗

GRAŻYNA MAKARA

Putina najbardziej zawiodły jego trolle

ZDJĘCIA KOLEJEK NA STACJACH BENZYNOWYCH i przed bankomatami wysypały się w mediach społecznościowych lawinowo. A im więcej ich było, tym dłuższe robiły się kolejki. Wiele osób udostępniało je zapewne wierząc, że przestrzegają znajomych przed problemami – ale nie ma wątpliwości, że w podsycaniu paniki brały udział także rosyjskie trollkonta i botnety. Organizacje zajmujące się zapobieganiem dezinformacji w polskiej cyberprzestrzeni zidentyfikowały kilkaset kont rozsiewających kremlowską propagandę. Według Instytutu Badań Internetu i Mediów Społecznościowych tylko w sobotę odnotowano 8 tys. postów zawierających prorosyjską dezinformację – stanowiły 1,2 proc. wszystkich dotyczących Ukrainy komentarzy w portalach czy postów w mediach społecznościowych.

Wojna informacyjna nie zaczęła się jednak wraz z chwilą, gdy ruszyła inwazja. Działający w Europejskiej Służbie Działań Zewnętrznych East StratCom Task Force już od listopada odnotowywał nasilenie w mediach społecznościowych antyukraińskiej propagandy. Coraz częściej w rosyjskojęzycznym internecie nazywano Ukrainę państwem nazistowskim, które w Donbasie stosuje broń chemiczną, a na kilka dni przed inwazją zalały go posty o „ludobójstwie" w Donbasie i o fali uchodźców z tego regionu (w rzeczywistości jego mieszkańców Rosja przesiedlała siłą).

Propaganda miała jednak także bardziej wyrafinowane formy. Media i konta wiązane z Jewgienijem Prigożynem (wcześniej odpowiedzialne za ingerencje m.in. w wybory w USA i państwach europejskich, ale także łączone z wyciekiem maili ze skrzynki szefa KPRM Michała Dworczyka) już od lutego publikowały sfabrykowane wiadomości, rzekomo przechwycone od przedstawicieli służb ukraińskich szukających podwykonawców do fabrykowania fake newsów. Jedna, rzekomo przechwycona na WhatsAppie, głosiła: „Potrzebne są publikacje na temat zbrodni wojennych popełnionych przez rosyjskie siły okupacyjne na terytorium Ukrainy. Płatność: 30 USD za tekst do 4000 znaków. Termin – 18 lutego". Niemal identyczne fake newsy fabrykowano w 2018 r., by zdyskredytować syryjską opozycję – wówczas „przechwycone" informacje miały dotyczyć poszukiwań m.in. aktorów do odgrywania w studiu filmowym scen ataku chemicznego.

Choć wszystkie działania kremlowskich trolli trzymają się dopracowanych scenariuszy, które świetnie spisały się we wcześniejszych kampaniach dezinformacyjnych, tym razem Rosja wyraźnie wojnę informacyjną przegrywa. Po drugiej stronie ma przeciwnika, którego sama przez lata trollując, doskonale wyszkoliła w tym, jak się bronić. Ukraina od początku konfliktu mistrzowsko wykorzystuje media społecznościowe do przekazywania światu faktycznego obrazu walk – od wideo z żołnierzami wyposażonymi w zachodnią broń przeciwpancerną, przez regularne posty prezydenta Wołodymyra Zełenskiego czy mera Kijowa Witalija Kliczki, po nagrania rosyjskich jeńców dzwoniących do rodziców. To klasa mistrzowska w prowadzeniu wojny informacyjnej.

Każdy nagłaśniany na cały świat akt bohaterstwa ukraińskich obrońców, od dumnego „rosyjski okręcie, wypierdalaj" obrońców Wężowej Wyspy, przez saperów oddających życie dla zatrzymania rosyjskich kolumn, po historię o „Duchu Kijowa" – pilocie myśliwskim, który w pierwszych godzinach wojny miał zestrzelić siedem rosyjskich maszyn – to nokaut dla rosyjskiej propagandy. Tym razem prawda szybciej niż kłamstwo przywdziała buty.

© AGATA KAŹMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Więcej o porażkach Rosji w sieci na **tygodnikpowszechny.pl/atak-na-ukraine**

W reakcji na dezinformacje służb rosyjskich polscy kierowcy zaczęli masowo wykupywać paliwa. Warszawa, 25 lutego 2022 r.

PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

Wojna i inflacja

MAREK RABIJ

Za sprawą sankcji i międzynarodowej izolacji gospodarka Rosji zmierza ku zapewne najgłębszej recesji od upadku ZSRS. Nie łudźmy się jednak: ekonomiczne konsekwencje kar dla Moskwy i samej wojny w Ukrainie odczujemy także w Polsce. Głównie w postaci wyższej inflacji.

Polski złoty już stracił do głównych walut, ale to efekt szoku, jakim rynki finansowe zareagowały na wybuch wojny. Jeśli nie dojdzie do globalnej katastrofy, w obliczu której ekonomia straci całkowicie na znaczeniu, najpóźniej za kilkanaście tygodni kapitał zacznie ponownie myszkować w naszej części Europy w poszukiwaniu zysków, a wtedy rumieńców nabierze i polski złoty. Czynnikiem wzmacniającym naszą walutę będą także setki tysięcy Ukraińców uciekających do Polski wraz z oszczędnościami: część tych aktywów zostanie teraz zamieniona na złotówki.

O wiele poważniejszym problemem będą ceny surowców kopalnych. Ropa drożeje podczas każdego konfliktu wojennego, to przewidywalne zjawisko, choć tym razem agresorem jest jej największy globalny dostawca. Na szczęście atak Rosji na Ukrainę wstrząsnął rynkami surowcowymi jedynie na chwilę. Ceny ropy są stabilne (z tendencją spadkową). Także gaz, po chwilowym skoku w okolice 130 euro za MWh, spadł do 90 euro za MWh, czyli poniżej średniej z ostatnich miesięcy. Nie ulega jednak wątpliwości, że na głębszą przecenę nie ma tu na razie szans. A to oznacza, że dla polskiej inflacji, która jeszcze przed wybuchem wojny trzymała się krzepko (odczyt styczniowy pokazał 9,2 proc.), wysokie ceny ropy i gazu w połączeniu z relatywnie słabym złotym będą wysokoenergetycznym pożywieniem. Już dziś na stacjach benzynowych nie widać efektu wprowadzenia tarcz antyinflacyjnych z początku lutego. A to nie koniec. Aby opanować sytuację migracyjną, naoliwić nieco lepiej polską obronność i wspomóc Ukrainę w jej walce, Polska będzie musiała zadłużyć się jeszcze bardziej. Taka jest cena solidarności i bezpieczeństwa, za którą zapłacimy spadkiem standardu życia. Cena, dodajmy, niewygórowana, zważywszy na tę, którą płacą ukraińscy sąsiedzi. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

NA ZACHÓD
Polscy politycy zjednoczyli się we wsparciu dla Ukrainy, a w świetle zdecydowanych działań UE wobec Rosji przycichła także antyunijna propaganda rządowych mediów. W Warszawie, pół roku po zamrożeniu stosunków dyplomatycznych między naszymi państwami, pojawił się też ambasador Izraela, żeby wesprzeć operację ewakuacji obywateli tego kraju z Ukrainy.

NA WSCHÓD
W całym kraju trwają zbiórki pieniędzy i organizowane są tymczasowe siedziby dla przybywających z Ukrainy uchodźców, ale zdarzają się też ataki paniki: ze względu na obawę, iż wojna doprowadzi do wstrzymania dostaw ropy, na stacjach benzynowych ustawiły się kolejki, a sprzedawcy wprowadzili limity typu „jeden bak na jeden samochód”.

NA BOISKU
Piłkarska reprezentacja Polski odmówiła gry z Rosją w zbliżającym się meczu barażowym o awans na mundial, a w ślad za nią zrobili to inni potencjalni rywale Sbornej – Czesi i Szwedzi. Rośnie presja na FIFA, by całkowicie wykluczyła Rosjan z rozgrywek.

JAN HUEBNER / EAST NEWS

NA KRÓTKO
W związku z kończącą się kadencją dotychczasowego prezesa Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego prezydent powołał na to stanowisko Adama Rocha. Wszystko wskazuje na to, że nominat nie utrzyma się zbyt długo, bo Izba zostanie zlikwidowana.

IGA KAZIMIERCZYK, PEDAGOŻKA, NAUCZYCIELKA:

Lekcja solidarności

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek zapewnił, że polski system szkolny jest przygotowany, by przyjąć dzieci z Ukrainy.

ARCHIWUM PRYWATNE

IGA KAZIMIERCZYK: Zgodnie z prawem to proste: dla uczniów z zagranicy nie ma w polskim systemie oświaty ani ograniczeń, ani żadnych warunków wstępnych. Napływ uchodźców nie stworzyłby zresztą sytuacji nowej: już teraz uczą się u nas dziesiątki tysięcy obcojęzycznych dzieci – nie tylko ukraińskich, które stanowią w tej grupie większość, ale też np. czeczeńskich.

Problemem nie jest więc prawo, ale cała edukacyjna i ludzka otoczka.

Półtora roku temu NIK wytykała resortowi edukacji, że nie gromadzi danych dotyczących przyjezdnych dzieci, nie analizuje efektywności ich kształcenia, nie wspiera nauczycieli.
Dodałabym do tej listy problem z edukacją międzykulturową, na którą nasze władze nie mają systemowego pomysłu, a także ze wsparciem psychologicznym. Napływ nowych uczniów do szkół to trudna sytuacja zarówno dla przyjezdnych, jak i dla przyjmujących. Obie strony muszą się jak najwięcej o sobie nauczyć, np. polskie dzieci powinny wiedzieć, że inny nie znaczy gorszy, a niemówiący po polsku nie równa się mniej inteligentny.

Wsparcia potrzebują dzieci przyjezdne, bo nie tylko znajdują się nagle w nowym otoczeniu, ale są często obarczone traumami. W szkołach powinni im pomagać asystenci międzykulturowi, którzy sprawdzali się świetnie np. w edukacji dzieci ze społeczności romskich. Tyle że ich brakuje, a jeśli są, to taką kadrę zapewniają organizacje społeczne...

...które, mówiąc delikatnie, nie cieszą się zaufaniem władz.
Powiem więcej: jeśli prezydent podpisze tzw. lex Czarnek [rozmawiamy przed decyzją Andrzeja Dudy w tej sprawie – PW], zgodnie z którą każda szkolna aktywność organizacji NGO będzie czekać wiele tygodni na autoryzację kuratorium, przyjezdne dzieci mogą zostać bez pomocy. Może więc ministerstwo powinno skończyć swoją wojnę z wymyślonymi wrogami, jak edukacja seksualna i LGBT+, a zająć się realnymi problemami. ©℗

DR IGA KAZIMIERCZYK *jest pedagożką, nauczycielką, prezeską Fundacji „Przestrzeń dla edukacji”.*

Projekt konieczny, ale pieniędzy za mało

KOLEJNE SAMORZĄDY OGŁASZAJĄ, ile pieniędzy pozyskały w tegorocznej edycji programu „Asystent osobisty osoby niepełnosprawnej". Rząd twierdzi, że łącznie na jego realizację przeznaczył 510 mln zł.

– Wsparcie asystenta bywa kluczowe. Jeśli pojawia się na 30 godzin miesięcznie, to jest to także 30 godzin dla bliskich osoby z niepełnosprawnością, które mogą w tym czasie coś załatwić lub odpocząć – mówi Kinga Gryglewska-Szypuła, mama siedmioletnich bliźniaków z mózgowym porażeniem dziecięcym.

Asystent pomaga w codziennych czynnościach, dotarciu na wydarzenia kulturalne, wspiera w załatwianiu spraw urzędowych, może także odprowadzać dziecko do szkoły. Problem jednak w tym, że tego typu pomoc jest ograniczona czasowo i niestabilna.

– Nie działamy w trybie wieloletniego wsparcia. Aplikujemy do kolejnych edycji i bywa, że w jednym miesiącu asystent zostaje przyznany na 30 godzin, a w kolejnym, gdy pula pieniędzy się kurczy, tylko na cztery. Dla osób, których nie stać na pokrycie kosztów prywatnej pomocy, to życie w ciągłym napięciu – mówi Gryglewska-Szypuła.

Zapotrzebowanie jest duże. W 2020 r. krakowski MOPS objął asystenturą 113 osób niepełnosprawnych w stopniu przynajmniej umiarkowanym, rok później – dwieście. W tym roku złożono już ponad 170 wniosków.

Opcja asystenta osobistego nie jest uregulowana ustawowo. Prezydencki projekt ustawy, którego szczegóły mamy poznać w tym roku, zakłada m.in. asystencję dopasowaną do indywidualnych potrzeb osób z niej korzystających.

©℗ GOA

PATRICK HAMILTON / AFP / EAST NEWS

W POŁUDNIOWO-WSCHODNIEJ AUSTRALII, na skutek trwającego kilka dni ulewnego deszczu, doszło do gwałtownych powodzi. Najbardziej ucierpiał stan Queensland, skąd ulewy przesunęły się w stronę Nowej Południowej Walii. Władze stanowe oszacowały, że ucierpiało około 18 tys. domów, z czego blisko 15 tys. w samym Brisbane, stolicy stanu Queensland. Kilkadziesiąt tysięcy domów zostało pozbawionych prądu i wody pitnej. W ciągu ostatnich kilku lat Australię stale nawiedzają ekstremalne warunki pogodowe. Dochodzi do katastrofalnych pożarów, suszy i rozległych powodzi. Premier Nowej Południowej Walii, Dominic Perrottet, ostrzegł, że w najbliższym tygodniu warunki mogą ulec pogorszeniu, gdy front burzowy będzie nadal przesuwał się na południe. ©℗ JT

Wirus nie jest w odwrocie

WOJNA W UKRAINIE bez reszty zajmuje opinię publiczną. Ale cisza wokół COVID-19 nie oznacza, że wirus jest już w odwrocie i nie trzeba się go bać. Może zresztą – rzeczywiście nie trzeba się go bać, tylko mądrze się przed nim bronić. A z tym mamy, nieustająco, problem.

1 marca znika większość obostrzeń, których – jak stwierdził minister zdrowia – i tak mało kto przestrzegał. Nie będą więc obowiązywać np. limity w kinach, restauracjach, sklepach i w kościołach. Obowiązek zasłaniania nosa i ust w zamkniętych przestrzeniach publicznych zostaje, choć w sumie trudno zrozumieć dlaczego, bo jego też w zasadzie nikt nie przestrzega. Tym, którzy nie chcą nosić masek, nikt o tym nie przypomina. Wolnoć Tomku również nie w swoim domku.

Mądra obrona przed wirusem to również szczepienia. Może nawet – przede wszystkim. Rząd uruchamia szczepienia dla uchodźców wojennych – słusznie. Natomiast komunikacja w tej sprawie z polskim społeczeństwem, rachityczna już od wielu miesięcy, praktycznie zamarła. Nawet w sprawie trzecich dawek, co widać wyraźnie w statystykach dotyczących tempa szczepień.

Jest wyjątek – 1 marca wchodzi w życie obowiązek szczepień dla pracowników placówek ochrony zdrowia i studentów kierunków medycznych. – Jestem pewny, że wszyscy będą w tym terminie zaszczepieni – zapewniał pod koniec lutego wiceminister zdrowia Waldemar Kraska. Ale wiadomo, że nie będą. Tylko wśród przedstawicieli zawodów medycznych niezaszczepionych może być 80-100 tys. osób – jak w połowie lutego informowało Ministerstwo Zdrowia. Danych o pracownikach niemedycznych szpitali i poradni oraz o studentach resort zdrowia nie przekazuje, ponieważ ich nie ma. A w każdym razie – mieć nie powinien, bo jak wskazuje Rzecznik Praw Obywatelskich – brakuje podstaw prawnych do przetwarzania informacji o osobach zaszczepionych (lub nie). Dyrektorzy szpitali i związki zawodowe w ostatnim tygodniu lutego mówili zaś jednym głosem: obowiązek szczepień to fikcja. Rozporządzenie powinno zostać uchylone.

Co na to Ministerstwo Zdrowia? Obiecało przeanalizować argumenty. Ale partnerzy społeczni usłyszeli też, że resort, jeśli ma do wyboru, by rozporządzenie było lub by go nie było, wybiera opcję pierwszą.

© MAŁGORZATA SOLECKA

MAREK KITA, TEOLOG:

Cerkiew wspiera Putina

ARTUR SPORNIAK: Tuż przed inwazją na Ukrainę patriarcha Cyryl powiedział: „Nasi wojskowi nie mogą mieć żadnych wątpliwości co do tego, że dokonali oni jedynie słusznego i prawidłowego wyboru". Skąd to poparcie dla polityki Putina?

ARCHIWUM PRYWATNE

MAREK KITA: Historię rosyjskiego prawosławia od początku charakteryzuje niebezpieczny alians z władzą, który ma korzenie teologiczne. Nawiązywano do teologii bizantyjskiej, mówiącej o świętej diadzie: cesarz zajmuje się sprawami politycznymi, jest jakby biskupem od spraw zewnętrznych, a patriarcha zajmuje się sprawami duchowymi – i razem się uzupełniają. To w teorii brzmiało szlachetnie, a w praktyce doprowadziło do tego, że patriarcha stał się kapelanem cara. A po pieriestrojce odżył mit imperium rosyjskiego.

Zwierzchnik mniejszościowego Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego Patriarchatu Moskiewskiego patriarcha Onufry jednak wyraźnie stanął po stronie ukraińskiej – wsparł żołnierzy ukraińskich i zaapelował do Putina o „zaprzestanie bratobójczej wojny", która jest „powtórzeniem grzechu Kaina".
Te słowa przejmują dyskurs moskiewski, w którym „braterstwo" oznacza, że Ukraińcy to tak naprawdę Rosjanie. A skoro tak, to do nas nie strzelajcie. Ukraińscy prawosławni należący do tego Kościoła stoją w rozkroku – z jednej strony często popierają patriotyczne aspiracje swojej ojczyzny, z drugiej strony religijnie zależą do Moskwy, która te aspiracje torpeduje. Polscy katolicy doświadczyli podobnej sytuacji w XIX wieku, gdy papież potępił polskie powstania narodowe.

Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny ograniczył się jedynie do wezwania do modlitwy o pokój – oficjalnie nie potępił napaści na Ukrainę, choć pojedynczy biskupi mówią o „sprzeciwie" wobec niej. Jak to tłumaczyć?
Obok Serbskiego Kościoła Prawosławnego i oczywiście Patriarchatu Moskiewskiego Polski Kościół Prawosławny nie uznał autokefalii dla Ukrainy. To świadectwo bliskich relacji z Moskwą. Polski Kościół Prawosławny milczy, bo niewygodnie jest mu się sprzeciwić Putinowi, a przyklasnąć nie chce. ©℗

MAREK KITA *jest teologiem zajmującym się myślą prawosławną, profesorem UPJPII w Krakowie.*

Pełna wersja rozmowy na
tygodnikpowszechny.pl/atak-na-ukraine

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

NIEJAWNY
Papież zwolnił tradycjonalistyczne Bractwo św. Piotra z obowiązku zachowania przepisów „Traditionis Custodes", przez co dał mu prawo odprawiania liturgii według starego rytu. Dekret papieski z 11 lutego nie został opublikowany. O „tajnym dekrecie" poinformowało samo Bractwo.

NIEREALNY?
Karnista z UW i były członek komisji dominikańskiej prof. Michał Królikowski zaproponował powołanie przez Kościół niezależnej komisji do zbadania przestępstw seksualnych na wzór tej, którą powołali polscy dominikanie. Zdaniem prawnika raport takiej komisji zawierałby informacje, których oczekuje od Kościoła Państwowa Komisja ds. Pedofilii, a nie mając odpowiednich uprawnień, nie może ich żądać. Do pomysłu z aprobatą odniósł się przewodniczący państwowej komisji Błażej Kmieciak.

NIEWINNY
Po raz pierwszy w Niemczech zapadł prawomocny wyrok w sprawie odpowiedzialności karnej za udzielenie azylu kościelnego. Bawarski Sąd Najwyższy potwierdził uniewinnienie benedyktyna Abrahama Sauera (na zdjęciu) i odrzucił apelację prokuratury. Brat Sauer z opactwa Münsterschwarzach dał schronienie uchodźcy ze Strefy Gazy, któremu groziła deportacja do Rumunii. Sąd pierwszej instancji uniewinnił go, choć uznał jego postępowanie za przestępstwo.

OPACTWO MÜNSTERSCHWARZACH

Papież, wojna i dyplomacja

ZROBIĘ WSZYSTKO, CO W MOJEJ MOCY, by zatrzymać ten konflikt – powiedział papież do abp. Światosława Szewczuka, zwierzchnika Kościoła greckokatolickiego na Ukrainie. Ten cel przyświecał mu, gdy kilka godzin po wybuchu wojny pojechał do ambasady Rosji. Był to gest nadzwyczajny, ale i impulsywny. Dzień wcześniej na spotkaniu z radą kardynałów mówiono o nieskuteczności watykańskiej dyplomacji. Franciszek uznał, że pora wziąć ją w swoje ręce. Tyle że jednocześnie pozwolił je sobie związać. Bo jedną z najważniejszych zasad w tym fachu jest milczenie.

Nie wiemy, co papież powiedział rosyjskiemu ambasadorowi. Wiemy za to, że jak dotąd nie potępił Rosji za napaść na Ukrainę. Że wiele serca okazuje ofiarom wojny, ale nie wymienia nazwy państwa, które jest jej winne. Że w oficjalnym komunikacie Watykanu agresję nazywa się „operacją wojskową".

W listopadzie 1939 r. ks. Walerian Meysztowicz, kapelan bazyliki watykańskiej, zapytany przez Piusa XII, dlaczego Polacy tak chłodno przyjęli jego przemówienie, odparł: „Oni nie oczekują miłości, tylko sprawiedliwości".

Dziś ta zwykła sprawiedliwość – nazwanie rzeczy po imieniu – należy się Ukraińcom.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Troska abp. Gądeckiego

LIST „BRATERSKIEJ TROSKI" napisał abp Stanisław Gądecki do przewodniczącego niemieckiego episkopatu bp. Georga Bätzinga – zaniepokojony ostatnimi decyzjami niemieckiej Drogi Synodalnej. List ukazuje, co myśli o kryzysie Kościoła najważniejszy polski hierarcha. Jego zdaniem mamy do czynienia przede wszystkim z kryzysem wiary świeckich, dlatego najważniejszą rolą biskupów jest bronić niezmiennego depozytu wiary przed naciskami liberalnego świata. Zamiast tego – zdaniem przewodniczącego polskiego episkopatu – Droga Synodalna stawia na „obniżenie standardów", proponując zniesienie celibatu księży czy błogosławienie par homoseksualnych.

List „charakteryzuje się płaskim i mocno klerykalnym antymodernizmem" – odpowiedział wikariusz generalny diecezji Essen ks. Klaus Pfeffer, wskazując, że skandal nadużyć „w ogóle nie został w nim wspomniany".

©℗ ASK

KULTURA W SKRÓCIE

NAGRODZONA „SUKIENKA”
Nominowana do Oscara „Sukienka” Tadeusza Łysiaka zdobyła nagrodę dla Najlepszego Fabularnego Filmu Krótkometrażowego podczas Independent Film Festival w Brukseli. To pierwsza statuetka dla tej produkcji. Werdykt Amerykańskiej Akademii Filmowej poznamy za miesiąc.

„MYSZY” I LWY
Warszawskie studio Animoon otrzymało nominację do nagrody Cartoon Tributes. Doceniono zrealizowany przez studio lalkowy film „Nawet myszy idą do nieba”, który debiutował w czerwcu ubiegłego roku na festiwalu w Annecy. Od tamtego czasu „Myszy” wyróżniono m.in. w Szanhgaju, obecnie ubiegają się o Czeskie Lwy i Cezara.

NOWA BIBLIOTEKA
Po długim remoncie otwarto na nowo Bibliotekę Centralną Uniwersytetu w Mosulu. Utworzona sto lat temu placówka stanowiła ważny ośrodek irakijskiej kultury, ustępując wielkością jedynie bibliotece w Bagdadzie. W 2014 r. budynek został poważnie uszkodzony. Dżihadyści zniszczyli wówczas ponad 8 tysięcy książek i 100 tysięcy rękopisów.

BOGATSZE ARCHIWUM
70 artystek z Ukrainy i Białorusi dołączyło do projektu Katarzyny Kozyry Secondary Archive – inicjatywy, która odpowiada na problem braku widoczności kobiet z Europy Środkowo-Wschodniej w najnowszej historii sztuki.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „Tygodnika” co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

IWONA CHMIELEWSKA

IWONA CHMIELEWSKA wśród nominowanych do Nagrody im. Hansa Christiana Andersena, najbardziej prestiżowej międzynarodowej nagrody dla książki dziecięcej przyznawanej przez IBBY. Chmielewska jest jedną z najlepszych współczesnych ilustratorek, trzykrotną laureatką Bologna Ragazzi Award, wyróżnioną także Złotym Jabłkiem na Biennale Ilustracji w Bratysławie. Jej książki i picturebooki wydawane były m.in. w Korei Południowej, Meksyku, Chinach, Japonii i na Tajwanie. Nagroda im. Andersena przyznana zostanie w tym roku w kategorii graficznej już po raz 56. Laureata bądź laureatkę poznamy podczas Kongresu IBBY we wrześniu. Powyżej ilustracja z książki Justyny Bargielskiej „Obie”, Wydawnictwo Wolno, 2016 r.

©℗ MOC

Lubisz zieleń? Podziękuj swoim genom

WSPÓŁCZEŚNIE PRZESZŁO POŁOWA LUDZI na świecie żyje w miastach, gdzie trudniej spędzać czas na łonie natury. Prawdopodobnie dlatego mieszkańcy miast częściej niż osoby żyjące na wsi borykają się z problemami psychicznymi – m.in. zaburzeniami lękowymi i depresją. Wiele badań potwierdza bowiem popularne przekonanie, iż kontakt z żywą przyrodą dobrze wpływa na nasze ciała i umysły.

Okazuje się jednak, że choć dla naszego zdrowia i samopoczucia bliskość zielonej przyrody jest ważna, to nie każdy z nas jest z natury równie skłonny do spędzania czasu w lasach, parkach i ogródkach. Z opublikowanego w „PLOS Biology” przez zespół Chia-chen Chang z Uniwerystetu w Singapurze raportu wynika, że za indywidualne różnice w biofilii niemal w połowie odpowiadają czynniki genetyczne. Badacze przeanalizowali styl życia przeszło 1100 par bliźniąt (jedno- i dwujajowych, wychowywanych razem i osobno) z Wielkiej Brytanii. Geny najsilniej determinują zamiłowanie do przyrody, ale w umiarkowanym stopniu ich wpływ tłumaczy także częstotliwość oraz długość wizyt w przydomowym ogródku. Znikomy jest za to wpływ genów na to, czy decydujemy się na życie w wielkim lub małym mieście czy na wsi. ©℗ ŁK

Skąd te śmieci

TRZECH HOLENDERSKICH GEOFIZYKÓW pod kierunkiem Brama van Duinena postanowiło wyjaśnić raz na zawsze, skąd konkretnie biorą się plastikowe śmieci zalegające na plaży przy kurorcie Domburg na południu Holandii, wyrzucane tam na brzeg przez Morze Północne. W tym celu posłużyli się wyrafinowanym modelem prądów morskich, który „puścili wstecz”, śledząc ruchy wód powierzchniowych na przestrzeni pięciu lat. Uzyskali w ten sposób „mapę wstydu” Europy północno-zachodniej, identyfikując konkretne miejsca na wybrzeżach Holandii, Francji i Wielkiej Brytanii, a także łowiska, z których najprawdopodobniej pochodzą odpady. Niektóre wyniki są nieintuicyjne: choć większość śmieci pochodzi z pobliskich rzek i wybrzeży, istnieje też spora porcja śmieci, która za sprawą chaotycznych ruchów wód morskich trafiła na holenderskie wybrzeże aż spod szkockiego Edynburga. Ta demonstracja, twierdzą autorzy, to krok na drodze ku identyfikacji winnych zaśmiecania światowego oceanu, a opisaną przez nich metodę można zastosować do dowolnego miejsca na świecie. ©℗ ŁL

TEMAT TYGODNIKA

WOJENNY MAJDAN

W obliczu rosyjskiej inwazji Ukraińcy walczą, blokują czołgi, wspierają żołnierzy, organizują się i pilnują porządku, aby pokrzyżować plany Kremla.

PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KIJOWA

Jadąc aleją Peremohy, czyli Zwycięstwa, widać było czarny dym unoszący się na horyzoncie. Trwał trzeci dzień rosyjskiej inwazji na pełną skalę. Noc była ciężka. W zachodnim Kijowie i jego okolicach doszło do zaciekłych starć. Zaczęły się w nocy, a skończyły nad ranem.

– Obudziły mnie wybuchy, usłyszałam też serie z karabinów. Podeszłam do okna, zobaczyłam błysk i stało się jasne, że Kijów znowu stał się celem – mówi 50-letnia Switłana.

Walki toczyły się kilkaset metrów od jej domu. Dudniło. Switłana twierdzi, że dotąd nie potrafiła przeklinać, ale w nocy się nauczyła.

Miejsce to wkrótce stało się pobojowiskiem. Ukraińscy żołnierze doszczętnie zniszczyli rosyjskie wojskowe ciężarówki. Prawdopodobnie miały one dostarczyć do Kijowa grupę dywersyjną, mającą atakować z głębi miasta. Rano straż pożarna wciąż gasiła płonące pojazdy. Wokół porozrzucane były szkło, gruz, łuski, odłamki, nawet po granatach ręcznych, a także ludzkie zwłoki.

Gdy ucichło, wielu mieszkańców z walizkami i torbami ruszyło w stronę centrum i dworca kolejowego.

Switłana nie tylko nie ukryła się w schronie, który znajdował się obok jej domu, ale także ↳

MARCUS YAM / GETTY IMAGES

Na stacji metra podczas inwazji rosyjskich wojsk na Charków. Ukraina, 24 lutego 2022 r.

↦ ani myśli o wyjeździe. – To moje miasto. Tutaj się urodziłam. Żadnych schronów. Będzie, co ma być – mówi i głos się jej łamie. – Zbieramy się w sobie. Nie czuję już strachu, tylko dumę i złość.

Gdy kończy to zdanie, pojawiają się łzy. Przez cały ten czas nie płakała, dopiero teraz udzieliły się jej emocje po tym, jak minął pierwszy szok.

Ukraińscy żołnierze pojawili się koło domu Switłany nad ranem. Ustawili posterunek. Kobieta odetchnęła, gdy ich zobaczyła. Nie chciała pozostać obojętna, wyszła im pomóc. – Ja i inni mieszkańcy od razu zaczęliśmy nosić im herbatę i kawę, siatki z jedzeniem. Mówią, co jest im potrzebne, a my to przynosimy – stwierdza z wciąż przeszklonymi oczami. – Mój wpływ jest maleńki, ale robię, co mogę.

To prawda: Switłana – jak to mówiono podczas protestów na kijowskim Majdanie w latach 2013-2014 – jest tylko kroplą w oceanie. Rzecz w tym, że takich kropel znalazło się dziś wiele.

SERGEI SUPINSKY / AFP / EAST NEWS

Ukraiński żołnierz po walce z rosyjską grupą dywersyjną. Kijów, 26 lutego 2022 r.

Budowałam barykadę

Czwartek 24 lutego 2022 r. wejdzie do podręczników historii.

O piątej rano ukraińskiego czasu (o czwartej czasu polskiego) Rosja zaatakowała Ukrainę. Początkowo twierdziła, że celem jest wyłącznie Donbas, ale od pierwszych minut ostrzeliwano obiekty, głównie strategiczne, w całym kraju. Rakiety spadały nawet w obwodach lwowskim czy iwanofrankiwskim w zachodniej Ukrainie.

Do najcięższych starć dochodzi jednak na południowym wschodzie, gdzie rosyjska ofensywa odnosi największe sukcesy i zbliża się do Mariupola, a także w przygranicznych miastach: Charkowie, Sumach i Czernihowie. Według Ministerstwa Zdrowia Ukrainy w ciągu czterech dni działań zbrojnych zginęło przynajmniej 352 cywilów, w tym czternaścioro dzieci.

Stolica, którą zamieszkują 3 mln ludzi, stała się jednym z głównych celów ataku. Od początku rosyjskie wojska starają się dotrzeć jak najbliżej miasta, a najprawdopodobniej także je otoczyć. Do Kijowa przenikają grupy dywersyjne, które chcą wyrządzić jak najwięcej szkód i osłabić szeregi obrońców. To zazwyczaj ludzie ubrani w stroje cywilne albo przebrani w ukraińskie mundury. Dlatego w mieście, czasami nawet w okolicach centrum, można się natknąć na zniszczone pojazdy, w tym ciężarówki wojskowe. Jak Rosjanie przedzierają się do miasta, pozostaje zagadką.

W pobliżu domu Switłany żołnierze nakazują kierowcom zjeżdżać z trasy, bo ulica jest zatarasowana samochodami. W trakcie rozmowy kobieta zauważa, że znoszą jakieś worki. Odwraca się natychmiast i woła do żołnierza stojącego najbliżej:

– Chłopcy, potrzebne są wam worki z piaskiem?

– Barykady chcemy zrobić – odpowiada żołnierz.

– Dobrze, zaraz przynosimy.

I poszła. Jakiś mężczyzna w międzyczasie niósł już worki foliowe wypełnione piaskiem. Wkrótce wojskowi nie stali po prostu na ulicy, tylko za przyzwoicie ufortyfikowanym stanowiskiem.

Atari i macintosh czekają na zwiedzających

Schron znajduje się na terenie jednego z instytutów naukowych. Jego pracownik Ołeksandr, lat około 50, przyszedł na ochotnika, by zarządzać schronem i pomagać przebywającym w nich ludziom. – Mieszkam niedaleko, ale przez to cholerstwo spędzam teraz cały czas tutaj – mówi, mając na myśli wojnę.

Nim jednak mnie tam zaprowadzi, bardzo chce pokazać małe muzeum komputerów, na które przeznaczono dwa pokoje. Zgromadzono w nim stare komputery, jak pierwszy macintosh, atari czy commodore. – Chcemy, by ludzie wiedzieli, jak było. Dzieci czasami nie wiedzą, że tak kiedyś wyglądał komputer – opowiada Ołeksandr.

Mówi to z takim przejęciem, zapałem i gestykulacją, że można by zapomnieć, iż wokół trwa wojna. Nonszalancko zawinięta chusta wokół szyi i lekko rozwichrzone włosy kontrastują z nożem, który po rozpoczęciu inwazji przytroczył sobie do paska. Wziął go na wszelki wypadek. Z rytmu wybija go dopiero pytanie, czy nie chciałby tego wszystkiego wywieźć w bezpieczne miejsce.

– Dokąd? I skąd wziąć na to środki? – pyta retorycznie. – Teraz dla mnie naj-

ważniejsze jest, by ludzie mieli co jeść i pić.

Schronu nie mogę fotografować, także ze względu na środki ostrożności. Stojący przy wejściu mężczyzna prosi o okazanie dokumentów. W ostatnich dniach stało się to częstym zjawiskiem, że w Kijowie każdy wypytuje nieznajomych, kim są, co tu robią, i prosi o jakieś potwierdzenie, szczególnie gdy – tak jak w moim przypadku – słyszy osobę mówiącą z akcentem. Władze nieustannie ostrzegają przed grupami dywersyjnymi, prosząc mieszkańców o czujność, informowanie i przeciwdziałanie na własną rękę.

A ludzie faktycznie przeciwdziałają: szukają grup dywersyjnych, zgłaszają je władzom. Znaki na domach i drogach, które sabotażyści mają zostawiać, by ułatwić nawigację Rosjanom, zamazują, zasypują piachem lub ścierają.

Na rybki też popatrzę

Schody prowadzą głęboko pod ziemię. Po drodze mijam dwie kobiety, które nie wychodzą na powierzchnię, docierając tylko do miejsca, gdzie pojawia się zasięg telefoniczny. Para ciężkich metalowych drzwi otwiera drogę do solidnych korytarzy i pomieszczeń. – Tu wciąż panuje Związek Sowiecki i stan tego schronu jest taki sobie – mówi Ołeksandr.

Mimo wszystko jest on znacznie lepiej przygotowany niż większość tego typu konstrukcji. Ma dostęp do prądu, duże baniaki na wodę pitną, wentylację, a nawet własne toalety, choć te akurat nie mają dostępu do bieżącej wody, więc panuje tam przykry zapach.

Ludzie znoszą tu, co mogą. Jedzenie, wodę, materace, sprzęty do siedzenia. Sam Ołeksandr twierdzi, że przyniósł ze 40 stołków. Zasady są proste: do godziny policyjnej, czyli przeważnie do godziny 22, każdy potrzebujący może tu zejść. Następnie drzwi się zamykają i otwierają dopiero nad ranem, gdy znowu można wyjść na ulicę.

W schronie, gdy akurat byłem w środku, przebywało nie więcej niż 50 osób. W większości starsi, przede wszystkim kobiety. W ciągu dnia jest jednak stosunkowo pusto. Większość, jak Nina Serhijiwna – kobieta w podeszłym wieku – wychodzi do domu odpocząć. Nina porusza się z trudem, więc trzyma ją pod rękę mężczyzna w średnim wieku.

– Mieliśmy herbatę i chleb do przegryzienia. Trzeba jakoś przeżyć – mówi. – Nie jesteśmy temu wszystkiemu winni... – dodaje.

Wspomina nagle, że pochowała syna-oficera. Wybucha płaczem i mówi, że musi iść.

W nocy w schronie gromadzi się dużo więcej ludzi. Mieszkańcy zabierają ze sobą przerażone zwierzęta, których nie chcą zostawiać samych w domu. – Były tu szynszyle, psy i koty. Powiedziałem, że jak ktoś ma rybki, to niech też przyniesie. Chętnie na nie popatrzę – mówi Ołeksandr.

Mimo grubych warstw betonu i ziemi odgłosy walk docierają do uszu znajdujących się głęboko pod ziemią.

Sowieckie doświadczenie

52-letni Wołodymyr stoi wraz z mężczyzną i dwiema kobietami, które wyprowadzają małe psy ubrane w kolorowe kubraki. Pokazuje w dłoni kawał żelaza. Odłamek – zapewne z rakiety – znalazł na ulicy.

Nocą on też był w schronie, którym zarządza Ołeksandr. W środku nocy ktoś zaczął nagle dobijać się do drzwi. Okazało się, że byli to żołnierze obrony terytorialnej. Ołeksandr myślał na początku, że to dywersanci. Ten, z którym rozmawiał, poza kamizelką kuloodporną i bronią miał ubranie cywilne, krótkie skarpetki stopki i sportowe buty. Mówił, że Rosjanie ostrzelali ich z gradów, dlatego szukają schronienia. Też musiał okazać dokumenty.

Wołodymyr nie zamierza nigdzie wyjeżdżać. – Mam też dom na wsi, a zostałem tutaj, gdzie moja rodzina. Znaleźć mogą nas wszędzie, więc nie ma po co uciekać – stwierdza.

Dodaje, że jeśli sytuacja naprawdę będzie zagrażała Kijowowi, to wykorzysta doświadczenie zdobyte w sowieckiej armii i również stanie do obrony miasta.

Z butelką na czołgi

Kiedy kończę rozmowę z Wołodymyrem, pochodzi do mnie młody chłopak i pyta, czy wiem, gdzie jest najbliższa komisja wojskowa. Idzie się zapisać.

Inwazja spowodowała masowy napływ ochotników do szeregów armii i obrony terytorialnej, a także tych, którzy po prostu poprosili o wydanie im broni. W wielu miastach, w tym w Kijowie, ustawiały się kolejki kandydatów na żołnierzy. Komisje poborowe z trudem się wyrabiały z przyjęciem wszystkich chętnych.

Ukraińcy w całym kraju starają się atakować nacierające siły przeciwnika. Organizują się na własną rękę. Na wezwanie władz szykują koktajle Mołotowa.

W Kijowie pojawiły się oddolne manufaktury produkujące te zapalające mieszanki. W obwodzie charkowskim przy ich pomocy spalono ponoć rosyjski transporter opancerzony. W Charkowie rosyjscy żołnierze salwowali się ucieczką, bo ostrzeliwano ich z okolicznych bloków. Zupełnie nie wiedzieli, gdzie szukać przeciwnika.

Na filmikach nagrywanych w różnych częściach kraju widać, jak nawet nieuzbrojeni mieszkańcy miasteczek i wsi próbują blokować czołgi. Czasami robią to w pojedynkę, a innym razem grupami. Tak stało się m.in. w obwodzie zaporoskim, na wschodzie kraju, gdzie kilkadziesiąt osób wraz z merem miasta Dniprorudne ustawiło się pod mostem. Krzyczeli „Chwała Ukrainie" i „Putin chujło". Czołg, który blokowali, zawrócił.

Może przyda się informatyk

W końcu docieram pod blok, w który uderzyła rosyjska rakieta. W kilkunastopiętrowym budynku wyrwała dziurę w czterech kondygnacjach. Większość mieszkańców wyjechała lub zeszła do schronu, więc ranne zostały tylko dwie osoby. Szkło i kawałki betonu walają się po zamkniętej przez policję ulicy. Mieszkańcy stolicy przychodzą zrobić zdjęcie, bo zniszczony blok szybko stał się symbolem wojny o miasto.

Przez zasypaną gruzem ulicę szybkim krokiem idzie 80-letni Ołeksandr. Jest informatykiem i potrafi programować. On także pyta mnie, gdzie jest obrona terytorialna. Wczoraj odmówili mu przyjęcia, bo powiedzieli, że jest za stary.

Ołeksandr nie rozumie, czemu jego wiek jest problemem, skoro czuje się dobrze (rzeczywiście wygląda znacznie młodziej, niż wskazuje metryka). Dlatego szuka innej komisji wojskowej. Może tam go wezmą.

Liczy, że jeśli nie wydadzą mu broni, to może choć potrzebują informatyka. Chce się przysłużyć jakkolwiek.

©℗ PAWEŁ PIENIĄŻEK

Tekst ukończono 28 lutego rano.

FABRIZIO BENSCH / REUTERS / FORUM

Masowe protesty przeciwko wojnie na Ukrainie. Berlin, 27 lutego 2022 r.

Stawką jest Europa

WOJCIECH KONOŃCZUK

Od 24 lutego żyjemy w zupełnie nowej rzeczywistości. Rosyjska inwazja w fundamentalny sposób zmienia Ukrainę, Europę i Rosję. Walka Ukraińców o wolność jest walką nas wszystkich.

Wysyłając armię na podbój Ukrainy, Putin liczył na błyskawiczne zwycięstwo: wymuszoną zmianę władzy w Kijowie i podporządkowanie sobie państwa ukraińskiego. Jednak Ukraińcy szybko mu pokazali, że rosyjskiego blitzkriegu nie będzie.

Rosyjską agresję długo uważałem za mało prawdopodobną. Także na łamach „Tygodnika" pisałem, że dyktator na Kremlu musiałby postradać zmysły, aby się na to zdecydować. Byłem i jestem bowiem przekonany, że Putin nie będzie w stanie tej wojny wygrać – więc nie mógłby być tak głupi, aby tego nie wiedzieć. A jednak...

Tak, według różnych rankingów Rosja ma drugą najsilniejszą armię na świecie. Ale Ukraińcy są niezwykle zmobilizowani i mają ogromną wolę do walki. Kreml tradycyjnie nie bierze pod uwagę czynnika społecznego, a Ukraińców zawsze nie doceniał. Rosyjskie rachuby zakładały, że ataki rakietowe i wejście ponad 100-tysięcznej armii sprawią, iż Ukraina ulegnie, państwo zostanie sparaliżowane i szybko skapituluje. Oczekiwano, że południowy wschód kraju, który przecież na co dzień mówi głównie po rosyjsku, podda się niemal bez walki, a jego mieszkańcy nie będą mieć woli oporu.

Jak bardzo trzeba nie znać Ukraińców, aby tak sądzić...

Plany i realia

Nad ranem 24 lutego wojska rosyjskie uderzyły ze wszystkich kierunków: od strony Krymu, okupowanego Donbasu, północnego wschodu oraz – niestety – także z Białorusi. To ostatnie oznacza, że – zgodnie z prawem międzynarodowym – Mińsk, udostępniając swoje terytorium do agresji, również stał się agresorem.

Jednak po czterech dniach walk siły wroga nie odniosły żadnego spektakularnego sukcesu. Nie tylko nie zajęły w pełni ani jednego znaczącego miasta, ale też ponoszą znaczne straty w ludziach i sprzęcie. Nawet gdyby podawaną przez stronę ukraińską liczbę niemal 5 tys. zabitych Rosjan trzeba było podzielić przez pięć, jest ona ogromna.

Rosyjski plan zakłada okrążenie i blokadę Kijowa. Ale w poniedziałek 28 lutego rano agresor wciąż był daleko od tego celu – od północy i zachodu siły główne dotarły tylko na przedmieścia ukraińskiej stolicy (w głąb miasta przenikały grupy zwiadowcze, lecz były likwidowane). Podejście pod Kijów byłoby niemożliwe, gdyby nie zdrada Łukaszenki, który wcześniej zapewniał, że od strony Białorusi Ukraińcom nic nie grozi.

Dziś na Kijów spadają rosyjskie rakiety. Miasto przestało normalnie funkcjonować, a 3 mln mieszkańców noce spędzają w schronach i piwnicach, w obawie przed atakiem bombowym. Podobnie wygląda sytuacja w Charkowie i innych dużych miastach. Siły rosyjskie otoczyły je pierścieniami, ale do chwili zamknięcia tego numeru „TP" do szturmu nie przystąpiły.

Amunicji, a nie podwózki!

Społeczeństwo ukraińskie przestawiło się na warunki wojenne. Władze ogłosiły powszechną mobilizację mężczyzn w wieku 18-60 lat. Wielu Ukraińców wraca do kraju z emigracji, by zasilić armię i obronę terytorialną. Władze deklarują, że każdy, kto wyrazi wolę, dostanie karabin. W sieciach społecznościowych pełno jest instrukcji, jak przygotować kok-

tajle Mołotowa. Jest strach, ale nie widać defetyzmu czy paniki.

Ukraińcy są gotowi do dalszej walki, w czym ogromnie pomaga postawa ich prezydenta. Wołodymyr Zełenski stał się liderem godnym swojego narodu. Każdego dnia pokazuje zdolności przywódcze. Niezwykle sprawnie komunikuje się z własnym społeczeństwem i liderami świata zachodniego, odrzuca jakąkolwiek możliwość kapitulacji, a na propozycję Zachodu w sprawie pomocy w ewakuacji z Kijowa odpowiedział, że „potrzebuje amunicji, a nie podwózki". Odwaga Zełenskiego doprowadziła do ogromnego wzrostu poparcia dla niego (do ponad 90 proc.!) i ogromnego szacunku na Zachodzie.

Największy błąd Putina

Do poniedziałku rano z Kremla nie było sygnałów pokazujących możliwość zrobienia kroku w tył. Rosja deklaruje, że oczekuje złożenia broni przez Ukraińców i podnosi w stan gotowości swoje siły jądrowe. Wprawdzie w poniedziałek na granicy ukraińsko-białoruskiej odbyły się – bez warunków wstępnych – rozmowy między delegacjami Ukrainy i Rosji (zakończyły się po zamknięciu tego wydania „TP"), ale szanse na porozumienie są małe.

Ponieważ wojna nie idzie zgodnie z rosyjskim planem, należy się spodziewać, że Rosja zwiększy siłę ataku. Niestety oznacza to, że będzie coraz więcej zbrodni rosyjskich. Putin uznaje bowiem, że nie może tej wojny przegrać. Nie jest to już tylko starcie o Ukrainę. Jego antyukraińskie obsesje, które doprowadziły do obecnej tragedii, mogą go kosztować władzę. Zwłaszcza że Ukraińcy będą chcieli pokazać, że popełnił największy błąd w swoim życiu.

Kluczowe znaczenie ma postawa społeczeństwa rosyjskiego i elity władzy. Wywołana przez Putina wojna ma bowiem wielu przeciwników w Rosji, nawet jeśli demonstracje antywojenne w miastach rozczarowują zaledwie kilkutysięczną liczebnością. Jednak zwykli Rosjanie szybko odczują efekt zachodnich sankcji w swoich kieszeniach, a to nie zwiększy poparcia dla Kremla. Także straty rosyjskich środowisk biznesowych będą ogromne, co tylko pogorszy nastroje w elitach.

Nowa wielkość Zachodu

Wojna na Ukrainie to największy test dla Europy od II wojny światowej. ↦

Sankcje nie zakończą wojny, ale osłabią Putina

NA DRUGĄ INWAZJĘ Rosji przeciwko Ukrainie – drugą po tamtej pierwszej, z roku 2014 – Zachód odpowiada nieporównanie bardziej stanowczo.

DECYZJE ogłoszone już w jej pierwszych dniach przez pojedyncze państwa, a także sojusze, jak również firmy oraz instytucje dotyczyły i konkretów, i symboli. Niemcy wstrzymają certyfikację gazociągu Nord Stream 2. Unia Europejska pierwszy raz w historii sfinansuje zakup broni (właśnie dla Ukrainy). Turcja zamknie cieśniny Bosfor i Dardanele dla rosyjskich okrętów wojennych. Norwegia wycofa swój – wart 1,3 bln dolarów (sic!) – fundusz majątkowy z inwestycji na rosyjskim rynku. Firmy kurierskie UPS i FedEx nie będą dostarczać przesyłek do Rosji. Samoloty Aerofłotu nie polecą już nad Europą. Chwaląca Putina znana sopranistka Anna Netrebko nie zaśpiewa już w nowojorskiej Metropolitan Opera. Mieszkańcy Ohio i Ontario nie kupią już rosyjskiej wódki (zakładając oczywiście, że mieliby dziś na to ochotę, w co można wątpić).

NAJWIĘKSZY BÓL mają jednak zadać Kremlowi restrykcje finansowe oraz gospodarcze. Równie dotkliwe jak wyłączenie niektórych rosyjskich banków z systemu międzynarodowych rozliczeń finansowych SWIFT będzie objęcie sankcjami Banku Centralnego Rosji. Uderzy to bowiem w miliardowe rezerwy walutowe tego kraju. W efekcie 28 lutego, w pierwszy dzień pracy po wdrożeniu sankcji, rubel zanotował największy spadek w historii.

NAJPIERW KONSEKWENCJE poczują rosyjscy obywatele – ci, którzy już teraz stają w długich kolejkach do bankomatów. Ale za miesiące lub lata – bo w takiej perspektywie myśli teraz Zachód – odcięcie od światowych gospodarek i dostępu do zaawansowanych technologii powinno uderzyć w podstawy systemu Putina: nie tylko w jego oligarchów i wojsko, lecz także we wpływy z handlu surowcami (w sytuacji, gdy model gospodarczy Rosji i jej budżet opierały się dotąd w dużym stopniu na wpływach z eksportu surowców).

UBIEGŁOTYGODNIOWA DEBATA w brytyjskiej Izbie Gmin zakończyła również „pogodę dla bogaczy" z Rosji na terenie Wielkiej Brytanii. Londyn przestanie już być „Londongradem" – miastem, w którym powiązani z Kremlem Rosjanie lokowali wyprowadzone z kraju pieniądze w najdroższe nieruchomości. Naciskane przez brytyjski rząd firmy, m.in. koncern naftowy BP, pozbywają się udziałów w rosyjskich przedsiębiorstwach. Autonomiczne zaś dotąd w swoich decyzjach londyńskie City – jak określa się tutejszy rynek finansowy – ogranicza kapitałowi powiązanemu z Kremlem możliwość handlu na giełdzie. Równie znaczące jak ta zmiana są decyzje podejmowane w Niemczech – najbardziej jak dotąd powiązanym biznesowo z Rosją państwie zachodniej Europy.

SANKCJE NIE ZMIENIĄ bezpośrednio losu Ukrainy w najbliższych dniach. Na polu bitwy Ukraińcy muszą obronić się dzisiaj sami. Sankcje są jednak dla Kremla dotkliwe jak nigdy dotąd. A w niektórych państwach Zachodu nabrały wymiaru niemal patriotycznego – co daje nadzieję na trwałą (choć spóźnioną niestety o wiele lat) zmianę polityki wobec autorytarnej i agresywnej Rosji Władimira Putina.

©℗ MARCIN ŻYŁA

↦ Na razie Unia Europejska i USA zdają go lepiej, niż można było oczekiwać. Zachód podjął decyzje o bezprecedensowo silnych sankcjach, które obejmują banki, częściowe odłączenie Rosji od systemu SWIFT, wybrane firmy, zakaz eksportu wysokotechnologicznego, sankcje wizowe, jak też zamknięcie europejskiej przestrzeni dla rosyjskich samolotów. Bruksela zajmie się również dostawami broni dla Ukrainy, co już samo w sobie jest czymś niezwykłym.

Reakcja Zachodu wynika ze zrozumienia, że w tej wojnie nie chodzi jedynie o Ukrainę. To wojna o przyszłość porządku międzynarodowego w Europie. Nic dziwnego, że odpowiedź Unii i poszczególnych państw jest niezwykle mocna. Oglądając w niedzielę 27 lutego specjalne posiedzenie Bundestagu, można było przecierać oczy ze zdumienia. Niemiecka elita polityczna mówiła o Rosji językiem, jaki wcześniej uchodził za „polską antyrosyjską paranoję". Kanclerz Olaf Scholz zapowiedział natychmiastowe podniesienie wydatków wojskowych do ponad 2 proc. PKB i budowę dwóch terminali gazu LNG. Lider opozycji Friedrich Merz mówił o „niemieckim wstydzie, że nie pomagaliśmy Ukraińcom wcześniej". Szefowa dyplomacji Annalena Baerbock wzywała do przygotowania się do długiej walki i nałożenia sankcji, które sprawią, że upadnie system putinowski. Niemcy w błyskawicznym tempie porzucają swój paradygmat patrzenia na Rosję, bijąc się głośno we własne piersi.

Cały Zachód jest zjednoczony w poparciu dla Ukrainy, co nie ogranicza się do słów, lecz ma kształt konkretnych i szybkich działań. To radykalna zmiana wobec niemrawych reakcji w 2014 r., gdy Rosja anektowała Krym i wywołała wojnę w Donbasie. W wielu miastach europejskich odbywają się ogromne demonstracje poparcia dla Ukrainy. Reakcje elit politycznych odpowiadają więc, jak w demokracjach przystało, na zapotrzebowanie społeczne. Inwazja Putina nie tylko zjednoczyła Europę, ale – jak celnie ujął brukselski portal Politico – ponownie czyni ją wielką. Zarazem to taki moment w naszej historii, że nie ma rzeczy niemożliwych. W pozytywnym, ale i niestety w negatywnym znaczeniu tego słowa.

Kluczowe miejsce Polski

Najgorsze wciąż przed nami. Putin jest zaskoczony skalą oporu, ale naiwnością byłoby oczekiwać, że da swojej armii sygnał do odwrotu. W jego chorej percepcji to Zachód wywołał wojnę, a Rosja jedynie się broni. Do takiej wizji świata przekonują Rosjan rosyjskie media państwowe.

Mimo to straty sił rosyjskich i kolejne setki czy tysiące żołnierzy wracających do Rosji w czarnych workach będą wywoływać wzrost nastrojów antywojennych. Kreml bardzo by chciał izolować Rosjan od rzetelnych informacji z Ukrainy i świata, ale nie jest w stanie. Tu należy upatrywać szansy, że zdjęcia i filmy płonących ukraińskich bloków mieszkalnych, zniszczonych przedszkoli, wysadzonych mostów i coraz liczniejszych strat wśród cywili wywołają w końcu otrzeźwienie rosyjskiego społeczeństwa.

Wreszcie kilka słów o Polsce. Staliśmy się państwem przyfrontowym i jest to dla nas ogromne wyzwanie. Z jednej strony o charakterze humanitarnym – polską granicę codziennie przekracza ok. 100 tys. uchodźców. Już jest ich kilkaset tysięcy, niebawem będzie więcej. Jak na razie polskie państwo i społeczeństwo zdają test na przyzwoitość celująco. Ukraińcy widzą praktyczne potwierdzenie słów, że przyjaciół poznaje się w biedzie.

Z drugiej strony, z racji położenia geograficznego Polska staje się kluczowym państwem dla dostaw zachodniej pomocy humanitarnej i wojskowej dla Ukrainy. To przestawia mechanizmy działania naszego państwa na tryb nadzwyczajny, sprawiając zarazem, że w sytuacji rosyjskiej nieobliczalności narażamy się – podobnie jak inne kraje wschodniej flanki NATO – na zagrożenie ze strony Rosji. Alternatywy jednak nie ma.

Na koniec o perspektywach, co zawsze jest najtrudniejszą częścią każdego artykułu i analizy. Putin być może jeszcze tego nie wie, ale tej wojny nie może wygrać. Ukraińcy, którzy właśnie piszą najważniejszą kartę w swoich najnowszych dziejach, na to nie pozwolą. I będą w tym mieli pełne wsparcie Polski i reszty Zachodu.

Pytanie tylko, kiedy Rosja przegra i za cenę jakich ofiar z każdej strony.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

Tekst ukończono 28 lutego o godzinie 11.40

Świat cały

TEKST MARCIN ŻYŁA
ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA

Wszyscy przejdą. Niektórych otoczą bliscy. Nikt nie będzie sam. Ale pierwsze sto metrów Polski, gdy puszczają emocje, a ciało pamięta o zmęczeniu, bywają bardzo trudne.

Gdy ostemplują paszport, trzeba przejść tych sto metrów. Minąć szlaban i kolczatki, podejść do ludzi za barierkami. Na poboczu drogi krajowej nr 84, obok polsko-ukraińskiego przejścia granicznego Krościenko–Smolnica, jest takie miejsce, w którym nie ma zła.

Obiektywnie nie jest to miejsce przyjemne: huczy generator, nie ma gdzie usiąść, czuć spaliny z zawracających samochodów. W głąb Polski, wzdłuż drogi, sznur zaparkowanych aut – to ludzie, którzy przyjechali tu po bliskich i znajomych z Ukrainy, z Polski, Czech, a nawet z Hiszpanii. Co ja-

Na przejściu granicznym Krościenko-Smolnica, 27 lutego 2022 r.

kiś czas włączają silniki. Widać wtedy, jak reflektory rozświetlają na chwilę las wokół, niczym ostatnie niewypalone żarówki w długim łańcuchu.

A jednak wszyscy w Krościenku – policjanci, wolontariusze, kilku dziennikarzy, taksówkarze – jakby się umówili: tutaj i od teraz nie będzie mandatów, podtykania mikrofonów pod usta zmęczonym ludziom, żadnego naciągania pasażerów.

Przez pierwsze sto metrów Polski nikt się nie spieszy. Idą Ukrainki i ich dzieci. Czasem starsi mężczyźni. Policjanci i strażacy pomagają ciągnąć ciężkie walizki i użyczają swoje telefony, aby ci, co są już w polskiej sieci, mogli zadzwonić do bliskich w Polsce (w końcu nie mają jeszcze polskiej karty). W małym namiocie jest miejsce dla zmęczonych. I kawa – mocna, z cukrem. W tym pierwszym miejscu, w którym nie czuć zbliżającego się zła, puszczają emocje, lecz ciało pamięta o zmęczeniu.

Na poboczu się czeka. Ta trójka polskich świadków Jehowy czeka na swoich współwyznawców – zbory zakazano w Rosji już jakiś czas temu, kto wie, co przyjdzie do głowy Putinowi, jeśli zajmie część Ukrainy?

Te dwie siostry zakonne z niedalekiej Komańczy czekają na swoje koleżanki ze zgromadzenia, które w ostatniej chwili wyjechały z oblężonego przez Rosjan Chersonia. Już przekroczyły granicę, ale coś je zatrzymało w ostatnim budynku. Długo nie pisały, gdy stały w kolejce do przejścia, na mrozie szybciej wyczerpują się baterie w telefonach. Już za kwadrans je zobaczą, uścisną.

Ten młody ojciec czeka na żonę i rocznego syna. Wyjechał z Ukrainy 10 lutego, by zacząć pracę w Szczecinie. To było dwa tygodnie temu, ale już jakby w innej rzeczywistości. Wczoraj żona wyszła z domu i właściwie od razu stanęła w kolejce do przejścia: wieś, w której dotąd mieszkali, jest kilka kilometrów od polskiej granicy. To się stało, gdy Putin postawił swoje siły atomowe w stan „specjalnego alertu". „Ten idiota" lub „ten chuj" – młody ojciec też uznaje te dwa słowa za zamienniki nazwiska rosyjskiego prezydenta. Teraz staje na palcach, wygląda zza auta, chce już dostrzec żonę.

Ten chłopak z Maroka mieszkał w Kijowie dwa i pół roku. Studiował, pracował, bawił się i kochał – ma już tam więcej przyjaciół niż kiedyś w Tangerze. Do Polski trafił wczoraj. Mówi, że był moment, kiedy tą samą ulicą jechał rosyjski czołg. Chciał wsiąść we Lwowie do pociągu do Polski, ale nie było już miejsc. Taksówką przyjechał w Bieszczady. Stoją teraz i jeden wyjaśnia drugiemu po angielsku: „Polska to religijny kraj, wiesz, tu często mówią »I care about« – »przejmuję, martwię się czymś«". Jutro będą w Warszawie, skąd odlecą do domów.

Ta kobieta, samotna, tylko z jedną walizką na kółkach, powtarza wciąż „Praha, Praha, ktoś do Prahy?".

Jest środek nocy, z niedzieli na poniedziałek, tunelowe światła reflektorów odbijają się w śniegu, jak w scenie z filmu „Underground", gdy w podziemnym tunelu, gdzieś pod całą Europą, krzyżowały się drogi uchodźców, żołnierzy. W Krościenku, może pierwszym miejscu, w którym nie czuć strachu, absurdalne prośby i pytania nabierają sensu.

Przez pierwszych pięć dni od początku nowej rosyjskiej inwazji na Ukrainę opuściło ją 422 tys. ludzi i wszystkich – podobnie jak kiedyś Syryjczyków – należy już uznawać za uchodźców. Unia Europejska poszła krok dalej: zapowiada, że przez trzy najbliższe lata każdy uchodzący z Ukrainy będzie zwolniony z obowiązku procedury azylowej, a formalności zostaną ograniczone do minimum.

Co najmniej 100 tys. obywateli Ukrainy różnych wyznań i narodowości przekracza codziennie granicę Polski. Wielu z nich zostanie tutaj na stałe. ©℗

Tekst ukończono 28 lutego w południe

Niech będą przeklęci

ANNA ŁABUSZEWSKA

Choć reżim Putina dołożył starań, by stłumić odruchy obywatelskie Rosjan, na zmrożonym strachem poletku w warunkach wojny wyrasta nagle mnóstwo inicjatyw.

Wówczas było ich mniej. Tamtego dnia, 25 sierpnia 1968 r., siedem osób stanęło na placu Czerwonym z transparentami „Za naszą i waszą wolność", „Ręce precz od Czechosłowacji", „Hańba okupantom". Protest pod murami Kremla przeciw wprowadzeniu wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji był heroicznym krzykiem przyzwoitych ludzi, którzy nie dali się stłamsić reżimowi. Śmiałkowie zostali ukarani pozbawieniem wolności i innymi represjami. Do dziś trwa legenda „siedmiu wspaniałych", którzy w ten sposób obronili honor narodu.

Weryfikacja przyjaźni

Ci, którzy teraz wychodzą na ulice rosyjskich miast, by protestować przeciw wojnie rozpętanej przez Putina w Ukrainie, wykazują się równie wielką odwagą. Bo reżim bezwzględnie rozprawia się z tymi, którzy podważają słuszność linii politycznej przywódcy – wielu uczestników zeszłorocznych protestów w obronie opozycjonisty Aleksieja Nawalnego zostało skazanych na wysokie wyroki. Wysokie wyroki grożą także przeciwnikom rosyjskiej inwazji na Ukrainę.

W policyjnym systemie stworzonym przez Putina nie ma miejsca na wolność zgromadzeń i wyrażanie opinii odmiennych od narzuconych z góry. Ludzie, którzy pojawiają się w miejscach publicznych z transparentem antywojennym, są natychmiast zwijani przez policję. Szczególną brutalnością odznaczają się tzw. kosmonauci: ubrani w czarne kaski zasłaniające twarz funkcjonariusze specjalnych jednostek, szkolonych do rozpędzania demonstracji.

Mimo to mieszkańcy wielkich miast protestują. Od 24 lutego – dnia, gdy ruszyła putinowska nawała – zarówno w Moskwie, jak w ośrodkach położonych daleko od stolicy odbywają się protesty. Trudno oszacować ich liczebność. Za probierz niech służą liczby zatrzymanych w ciągu czterech dni: łącznie około pięciu tysięcy.

W mediach społecznościowych można zaobserwować intensywną wymianę zdań między zwolennikami i przeciwnikami wojny. Znający się od lat ludzie zrywają kontakty, wyrzucają wieloletnich przyjaciół ze znajomych na Facebooku, gdy okazuje się, że jedni stają się obiektem agresji Putina, a drudzy temu przyklaskują, powielając tezy kremlowskiej telewizji.

Petycje przeciw wojnie

Po inwazji na Ukrainę w Rosji zapanowała jeszcze ostrzejsza niż dotąd cenzura. W przestrzeni publicznej i mediach nie wolno nawet używać słowa „wojna". Oficjalnie to, co wyprawiają putinowskie hufce, nazywa się „operacją specjalną". Prokuratura Generalna zagroziła, że przejawy poparcia dla Ukraińców będą ścigane z całą surowością jako „działalność przeciw bezpieczeństwu Federacji Rosyjskiej". Oćwiczone nahajką media mają usunąć „niezgodne z rzeczywistością informacje o ostrzałach ukraińskich miast i śmierci ukraińskich cywili na skutek działań rosyjskiej armii". Napomnienia dostali ostatni Mohikanie z opozycyjnych gazet i portali internetowych, którzy – jak „Nowaja Gazieta" czy „Echo Moskwy" – rzetelnie piszą i mówią.

Roskomnadzor (urząd kontroli mediów) z zaciętością ściga treści o rosyjskich stratach podczas inwazji. Blokuje strony, na których zamieszczane są doniesienia z frontu, i ogranicza dostęp do mediów społecznościowych, gdzie odbywa się nieskrępowana wymiana myśli i kolportowane są wiadomości o oddolnych antywojennych projektach.

Choć reżim dołożył starań, aby stłumić wszelkie odruchy obywatelskie, na zaoranym do najmniejszego źdźbła i zmrożonym strachem poletku w warunkach wojny wyrosło nagle mnóstwo inicjatyw. Wśród nich są masowo ogłaszane petycje.

Jeszcze tydzień temu pisałam w „TP" o niewielkim zainteresowaniu antywojenną petycją partii Jabłoko, pod którą wtedy widniało niespełna 8 tys. podpisów. Dziś jest ich dziesięciokrotnie więcej. Ale prawdziwą rekordzistką jest petycja na portalu Change.org, której organizatorzy piszą: „Jesteśmy za pokojem, działamy w imię ocalenia życia obywateli Rosji i Ukrainy, na rzecz zatrzymania wojny i udaremnienia przekształcenia jej w wojnę światową. Ogłaszamy początek formowania ruchu antywojennego w Rosji, żądamy natychmiastowego wycofania rosyjskiej armii z terytorium suwerennego ukraińskiego państwa. Uważamy za zbrodniarzy wojennych wszystkich tych, którzy podjęli decyzję o działaniach bojowych na wschodzie Ukrainy i sankcjonowali agresywną i usprawiedliwiającą wojnę propagandę w rosyjskich mediach. Niech będą przeklęci".

W ciągu czterech dni pod petycją zebrano milion podpisów. Mało czy dużo?

Mechanizmy dyktatury

Niezależny socjolog Kiriłł Rogow pisze na Facebooku: „Opinia publiczna w systemie autorytarnym to bardzo złożony

ALEXANDER NEMENOV / AFP / EAST NEWS

Policja zatrzymała setki demonstrantów podczas protestu przeciwko rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Moskwa, 24 lutego 2022 r.

fenomen. W obecnej sytuacji obserwujemy, jak łamią się ustanowione przez Putina linie obrony dyktatury przed społeczeństwem. W pierwszych dniach wojny podział jest niemal równy: 40 proc. akceptuje decyzje władz, 40 proc. ich nie akceptuje. Telewizje przedstawiają wydarzenia na Ukrainie jako wyzwolenie spod władzy »ukro-faszystów« poprzez precyzyjne uderzenia w infrastrukturę wojskową. Tak jak CNN pokazywało wojnę USA przeciw reżimom Miloševicia i Saddama Husajna. Ten obrazek świetnie się sprzedaje. Bo najważniejsze jego przesłanie to brak rozlewu krwi i wyzwoleńczy charakter operacji".

Przekaz medialny rosyjskiej machiny propagandowej jest nieprawdziwy, toporny, jednowymiarowy, prasujący mózg. Nie zawiera treści niewygodnych. Cenzurowane są przede wszystkim wiadomości o śmierci rosyjskich żołnierzy, jeńcach, niepowodzeniach na froncie, wysokim morale Ukraińców, solidarności wolnego świata z niezłomnym Kijowem. W dziennikach telewizyjnych niezwyciężona armia rosyjska planowo czyni postępy w ramach „operacji specjalnej", wyzwala stęsknioną za normalnością ludność spod jarzma ukraińskich nazistów, niesie pokój i zgodę, witana wszędzie z radością.

W czwartym dniu wojny, gdy strona ukraińska mówiła o tysiącach ofiar w szeregach agresora, rosyjska telewizja użyła ogólnego sformułowania: „W walkach na Ukrainie zginęli rosyjscy żołnierze, ale jest ich o wiele mniej niż ukraińskich nazistów". Kapłani kremlowskiej propagandy powtarzają mantrę, że „konflikt na Ukrainie wywołał Zachód". Cytowane są ku pokrzepieniu serc słowa stalinowskiego ministra spraw zagranicznych Wiaczesława Mołotowa, wypowiedziane po niemieckiej inwazji na Związek Sowiecki w 1941 r.: „Sprawa nasza jest słuszna. Zwycięstwo będzie do nas należeć". Choć kontekst jest zupełnie inny.

Te wyprane z prawdy treści trafiają do dużej części społeczeństwa, przywiązanego do myśli, że „Rosja nigdy na nikogo nie napadała", że w Kijowie rządzi nazistowski i narzucony przez USA reżim, niemający poparcia społecznego, że atakowane są tylko cele wojskowe, a rosyjskich żołnierzy kule się nie imają. W odbiorze przeciętnego Rosjanina, który czerpie wiedzę o świecie z telewizji, nie dzieje się nic takiego, co zmusiłoby go do opuszczenia strefy komfortu, zmiany poglądów i zaangażowania (wielu Rosjan ma w sobie wdrukowany przez pokolenia strach, który każe im się trzymać z daleka od polityki).

Może gdy poczuje, że dostaje po kieszeni, zacznie szukać wyjaśnienia tego stanu rzeczy. Ale zapewne wtedy otrzyma od telewizji zapewnienie, że to skutek knowań wrogiego Zachodu. I znienawidzi Zachód jeszcze bardziej.

Ciąg dalszy trwa

Choć rosyjska władza ma monopol na przemoc, nie ma jednak monopolu na przekaz. Informacje o tym, co naprawdę się dzieje w ukraińskim teatrze wojennym, docierają do odbiorców. Ciągle nie przełamują propagandy władz, ale stanowią zauważalny wyłom.

Z apelami o opamiętanie i zaniechanie wojny występują znane postaci. Idol progresywnej młodzieży raper Oxymoron (Oxxxymiron) wraz z popularnym producentem i autorem piosenek Siemionem Slepakowem zamieścili na YouTubie apel do Putina o powstrzymanie działań wojennych i poparli Ukrainę. Podobnie piosenkarka Zemfira, aktor Daniła Kozłowski (grający w quasi-patriotycznych produkcjach filmowych), pisarz Borys Akunin, frontman grupy DDT Jurij Szewczuk i wielu innych. Codziennie dołączają następni. Ale są i tacy, jak były pięściarz Aleksandr Powietkin, który wyraził poparcie dla wojny słowami zaczerpniętymi wprost z propagandy („walka z nazistami", „eksterminacja Słowian Donbasu" itd.).

Portal Meduza (robiony przez rosyjskich dziennikarzy, ale zarejestrowany na Łotwie) zamieszcza puchnące stale zestawienia apeli różnych grup zawodowych, występujących z protestami przeciw wojnie. Naukowcy (oddzielnie – list od młodych uczonych), scenarzyści, dziennikarze muzyczni, prawnicy (co najmniej dwie oddzielne odezwy), artyści scen, operatorzy, ludzie związani z przemysłem modowym, architekci, dziennikarze z niezależnych mediów stowarzyszenia „Syndykat 100", organizacje dobroczynne, lekarze, studenci, wykładowcy wyższych uczelni, pisarze...

Przeciw wojnie Putina protestują też Rosjanie mieszkający na emigracji (wielu znalazło się tam z uwagi na sytuację polityczną). Michaił Chodorkowski i Garri Kasparow zawiązali Antywojenny Komitet Rosji. Zwrócili się do „wszystkich prawdziwych patriotów Rosji o konsolidację w walce z agresywną dyktaturą Władimira Putina niezależnie od politycznych i ideologicznych różnic".

Na czyją stronę przechyli się szala? ©

Tekst ukończono 28 lutego o godzinie 12.

SERHII HUDAK / UKRINFORM / FUTURE PUBLISHING / GETTY IMAGES

Produkcja koktajli Mołotowa, Użgorod, zachodnia Ukraina, 27 lutego 2022 r.

Dla kogo pracuje czas

JAROSŁAW FLIS

Rosnąca z każdym dniem ukraińska pewność siebie staje się kluczowym czynnikiem tej wojny. Sytuację Rosjan pogarsza oparcie na jednej koncepcji: spodziewano się, że będzie jak w Bagdadzie czy Kabulu.

WSZYSTKO WSKAZUJE NA TO, ŻE PLAN podbicia Ukrainy przez Putina zupełnie się załamał. Nie ma wątpliwości, że przesądził o tym twardy opór Ukraińców. On sam mógłby jednak nie wystarczyć, gdyby nie coraz powszechniejsze wsparcie zewnętrzne.

Pierwsze komentarze zachodnich polityków – szczególnie niemieckich – miały w sobie stałą nutę defetystycznej bezradności. Wpisywało się to w strategię „czterech etapów" z serialu BBC „Yes, Minister" – w oryginale przypisywaną brytyjskiemu MSZ, lecz rozsławioną jako recepta Borisa Johnsona na pandemię. Wygląda ona tak: na pierwszym etapie mówimy, że nic się nie wydarzy; na drugim – że coś się może wydarzy, lecz nic nie powinniśmy z tym robić; na trzecim, że coś powinniśmy z tym zrobić, lecz nic nie możemy; na czwartym – coś moglibyśmy z tym zrobić, lecz jest już za późno.

NIE JEST NICZYM ZASKAKUJĄCYM, że pomaganie skazanej na porażkę ofierze jest bardziej wymagające, niż układanie się z wygrywającym bandytą. To, do czego doprowadził ukraiński opór, nie jest już jednak żadnym dylematem. Każdy woli pomóc wygrywającej ofierze, niż wyrażać zrozumienie dla przegrywającego bandyty. Szczególnie, gdy sytuacja wpisuje się w schemat Dawid–Goliat.

Właśnie ta dysproporcja, będąca źródłem wcześniejszego defetyzmu, jest dziś atutem Ukrainy. Żeby teraz odmówić z nią solidarności, trzeba byłoby mieć determinację. Nawet wielu etatowych „usprawiedliwiaczy" w rodzaju Matteo Salviniego czuje już, skąd wieje wiatr.

Narastająca z każdym dniem ukraińska pewność siebie stała się kluczowym czynnikiem tej wojny. Widać ją w dzisiejszych nagraniach z walk ulicznych w Charkowie. Rosyjscy żołnierze poruszają się niepewnie i reagują strachliwie. Ukraińcy są zdecydowani i całkiem wyluzowani jak na sytuację, w której się znaleźli. Tak się zachowuje wygrywająca armia.

SYTUACJĘ ROSJAN POGARSZA oparcie całej tej wojny na jednej koncepcji. Najwyraźniej spodziewano się, że będzie jak w Bagdadzie czy Kabulu: w obliczu niepodważalnej militarnej przewagi wszyscy Ukraińcy się rozpierzchną lub powitają Rosjan wiernopoddańczym ukłonem. To, że tak się nie stało, nałożyło się na drugą ważną cechę tej wojny, poza oczywistą dysproporcją sił. Jest nią społeczne podobieństwo stron. Zrozumiały język (a niejednokrotnie po prostu ten sam), brak znaczących różnic religijnych (nie mówiąc już o rasowych) czy wreszcie wspólne doświadczenia i upodobania wymuszają na agresorze ograniczenie środków. Widać to w scenach zatrzymywania czołgów przez zdesperowanych Ukraińców czy wrzucanych do sieci słownych utarczkach cywili z najeźdźcami.

Gdyby ćwierć wieku temu jakiś Czeczen położył się przed rosyjskim czołgiem, ten by pewnie jeszcze przyspieszył. Choć przecież leżący byłby obywatelem tego samego kraju. To, że Putin uwierzył w swoją propagandę dotyczącą Ukrainy, było najwyraźniej przyczyną braku „planu B". Lecz to, iż jego żołnierze wierzą, że Ukraińcy to tylko chwilowo zagubieni bracia Rosjanie, uniemożliwia stosowanie takich środków, które względem Czeczenów czy Kazachów byłyby pewnie oczywiste – systematycznych powierzchniowych bombardowań i regularnego strzelania do cywili. Stąd zapewne alternatywnego planu nie dało się po prostu stworzyć.

CZAS DZIAŁA więc na korzyść Ukrainy. Pozostaje pytanie o koszty, jakie musi ona jeszcze ponieść, zanim sytuacja atakujących stanie się tak zła, że będą musieli uciekać z podkulonym ogonem. Atomowe groźby Putina są przerażające – w końcu pięć dni temu nikt sobie nie wyobrażał, że można oblegać kilkumilionową europejską stolicę. Lecz są one najwyraźniej oznaką jego słabości.

Jedno się chyba Putinowi udało – przejdzie do historii. Tyle tylko, że nie jako ten, który odbudował sowiecko-rosyjskie imperium, tylko ten, który tego upiora przebił osikowym kołkiem. Przecież jeśli Rosji Putina nie udało się przez te cztery dni rzucić Ukrainy na kolana, to znaczy, że jest słabsza, niż ktokolwiek sądził. Teraz zaś – poza obnażeniem słabości – dojdzie jeszcze powszechna pogarda dla jej imperialnych ciągot. Mamy za co dziękować Ukraińcom – *Слава Україні!* ©

Autor jest politologiem, specjalistą od komunikacji społecznej. Stale współpracuje z „TP".

Tekst ukończono 27 lutego.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Jednorożec czy hiacynt

„Skąd Izraelici mieli wziąć na pustyni skóry delfinów? – zachodziłam w głowę, czytając instrukcje dotyczące sporządzenia nakrycia dla Przybytku (zob. np. Wj 26, 14). Byłam jeszcze za mała, żeby wpaść na to, że – nie znając języka oryginału – można posiłkować się porównywaniem przekładów. W domu poza „Tysiąclatką" rodzice mieli jeszcze „Brytyjkę". Tam – zamiast delfinów – znalazłabym borsuki i pewnie zaczęłabym się zastanawiać, ile ich trzeba było ubić, żeby starczyło na Namiot Spotkania oraz ochronne pokrowce dla sprzętów świątynnych (zob. np. Lb 4, 6).

Rabin Izaak Cylkow, tak jak znakomita większość polskich tłumaczy, też zdecydował się na skóry borsucze (hebr. *orot tachaszim*; orot to skóry; *tachaszim* – l. mn., poj. *tachasz*). Pierwszy raz pojawiają się one na liście materiałów potrzebnych do sporządzenia Przybytku i jego sprzętów (Wj 25, 5). Jedyny inny biblijny kontekst, w którym natrafiamy na tachasza, to Ez 16, 10. Cylkow jest konsekwentny: „I przybrałem cię w tkaniny wzorzyste, i obułem cię skórą borsuczą, i opasałem cię bisiorem, i okryłem cię jedwabiem". Biblia Tysiąclecia nie mówi o butach z delfiniej skóry, lecz o trzewikach z miękkiej skórki.

Dość naturalny wydaje się pomysł, że *tachasz* to zwierzę. Targum Onkelosa tłumaczy *orot tachaszim* jako skóry sasgony. Talmud babiloński wyjaśnia: *sasgona* to zwierzę, które *sas* (= cieszy się) swoją wielobarwnością (czyli jest *raw-goni*). W midraszu rabin Jehuda stoi na stanowisku, że *tachasz* był dużym koszernym pustynnym zwierzęciem z sześciobarwną skórą, posiadającym jeden róg na czole. Izraelici schwytali jednego tachasza i z jego skóry zrobili pokrycie dla Namiotu Spotkania. Wtóruje mu rabin Nehemiasz: zaiste, *tachasz* był cudownym zwierzęciem stworzonym na tę okoliczność, po czym zniknął z ziemi. Jaki znany gatunek mógłby dostarczyć skóry długości trzydziestu łokci (zob. Wj 26, 8)?

W Talmudzie jerozolimskim też wypowiadają się wspomniani dwaj rabini i tam mówią o tachaszu jako o źródle pochodzenia barwnika do skór, ewentualnie o samym pigmencie – fioletowym bądź niebieskoszarym. Potwierdzenie możemy znaleźć w Septuagincie – tam *orot tachaszim* zostały oddane jako hiacyntowe skóry (*dermata huakinthina*). Z kolei poprzez arabski trafimy na delfina bądź diugonia, bardziej swojsko zwanego piersiopławką. To podobny do foki morski ssak roślinożerny, osiągający ponad trzy metry długości.

We współczesnym języku hebrajskim *tachasz* oznacza właśnie diugonia. Często mówi się też tak na jamnika – czyżby dlatego, że po niemiecku to *Dachshund*, czyli „borsuczy pies"? W obcojęzycznych Bibliach *tachasz* to również antylopa, borsuk, foka, gronostaj, łasica, morświn, narwal, okapi, zebra oraz żyrafa. A gdyby tak pozostawić tam tachasza? ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Scenariusz kuszenia

Wygłodniali, zdrożeni, zrozpaczeni Izraelici domagają się od Mojżesza, żeby wreszcie przestał obiecywać gruszki na wierzbie i wziął się do roboty. Brak reakcji z jego strony odbierają również jako brak zainteresowania ich losem ze strony Boga. Przecież w Jego imieniu Mojżesz występuje. Psalmista mówi: „Kusili Boga w sercach swoich, domagając się strawy dla siebie. Uwłaczali Bogu, mówiąc: »Czy może Bóg zastawić stół na pustyni? (...) Czy jednak może dać chleba i przygotować mięso swemu ludowi?«". Owszem, Bóg wyprowadził ich „z wielkiej otchłani" niewoli egipskiej i Morza Czerwonego, ale widać dobre czasy się skończyły i jakoś ten dobry Bóg nie spieszy z pomocą. Rozczarowani Mojżeszem i rozczarowani Bogiem, postanawiają wracać do wydumanej, złudnej sielanki przeszłości.

W podobnym położeniu znajdzie się Syn Boży Jezus Chrystus. Kusiciel wiedząc, że Jezus rozpoczyna działalność, też postanawia działać, by Go odwieść od podjęcia misji zleconej Mu przez Ojca. Udaje, że troszczy się o Jezusa. Głodny jesteś, a jesteś Synem Boga, zrób cud, stać Cię na to: „rozkaż temu kamieniowi, aby stał się chlebem". Jezus najspokojniej w świecie przypomina mu: „Napisano: Nie samym chlebem żyje człowiek". Jezus z diabłem nie pertraktuje, ani też go nie odpycha. Skoro sztuczka z dotarciem do Jezusa przez żołądek nie wyszła, kusiciel przeskakuje na płaszczyznę ludzkich ambicji. „Jeśli więc oddasz mi hołd, wszystko będzie Twoje". Jezus nie podejmuje tematu, ale przypomina, że „Napisano: Panu Bogu twemu będziesz oddawał hołd i tylko Jego będziesz czcił". Nie wyszło, Jezus nie chce niczym i nikim Boga zastąpić. Ale do trzech razy sztuka. Skoro jesteś Synem Boga, to przypominam, zdaje się mówić diabeł, że jesteś pod Jego szczególną opieką: „rzuć się w dół", nic złego ci się nie stanie, jak będzie trzeba, Bóg sprawi cud, ocalejesz. I ta próba spełzła na niczym. Starał się więc diabeł, jak tylko mógł, przestraszyć Jezusa i zmusić do rezygnacji z działania. Podjął się jednak dzieła nie do przeprowadzenia. Popełnił ten sam błąd, który mu się przydarzył w Edenie. Wypędzenie Jezusa spośród żywych, Jego śmierć na krzyżu, tryumf zła stał się klęską tryumfatora.

Ale popatrzmy na siebie. My też wciąż próbujemy Boga kusić, szantażować, brać na litość, podlizywać się. Płaszczymy się przed Bogiem sądząc, że w ten sposób prędzej wyłudzimy od Niego „tak bardzo potrzebne nam łaski". Siostra Faustyna Kowalska mówi: „Nigdy się przed nikim nie płaszczę. Nie znoszę pochlebstwa, a pokora jest tylko prawdą, nie ma w prawdziwej pokorze płaszczenia się; choć się uważam za najmniejszą w całym klasztorze, to z drugiej strony cieszę się godnością oblubienicy Jezusa". Przed nikim, również przed Bogiem. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Suweren w Kościele

Tekstem liturgicznym, który najbardziej poruszył mnie w ubiegłym tygodniu, był fragment Ewangelii Markowej opowiadający o reakcji apostołów na nieznanego nam bliżej egzorcystę, który w imieniu Jezusa wyrzucał demony. Jan mówi do Jezusa: „Zabranialiśmy mu, bo nie chodzi z nami" (zob. Mk 9, 38-40).

Jezus odpowiada: „Nie zabraniajcie mu. (...) Kto bowiem nie jest przeciwko nam, ten jest z nami".

Dobrze jest zobaczyć to ostatnie zdanie w oryginalnym tekście greckim. Marek wkłada w usta Jezusa zwrot *hypér hemõn* – co, owszem, może oznaczać „z nami". Zasadniczo jednak *hypér* oznacza tyle, co „ponad" lub „dla" (zwłaszcza z genetivusem – a tu właśnie zachodzi ten przypadek). Pewnie dlatego bardzo wrażliwy tłumacz, jakim był św. Hieronim, tłumaczy *hypér hemõn* w Wulgacie jako *pro nobis* (dla nas), a nie prosto *nobiscum* (z nami).

Egzorcysta/charyzmatyk, działający poza widzialnymi „granicami" Dwunastu (dosł. „nie chodzi za nimi"), nie tylko nie jest ich wrogiem; Jezus zdaje się mówić swoim apostołom: „To, co on robi, ma sens również dla Was – jest skierowane do Was". Ostatecznie przecież „w imię Jezusa" może wyrzucać demony jedynie człowiek działający mocą Ducha Świętego (nikt bez pomocy Ducha nie może wyznać: Jezus Panem). To, co jest z Ducha – również wtedy, gdy objawia się poza granicami naszej konkretnej denominacji – jest darem skierowanym również dla nas. Odrzucając go, dopuszczamy się bałwochwalstwa – tak uczył św. Franciszek: „Zazdrość o dary Boże jest bałwochwalstwem".

Ważne pozostaje dla nas również pierwsze, podstawowe rozumienie słowa *hypér* – „ponad".

Apostołowie bowiem postawili się wyraźnie wyżej od owego przygodnego egzorcysty i z wysokości swej pozycji (instytucjonalnej bliskości wobec Jezusa) ocenili jego działanie – uznali za niedopuszczalne i zakazali. Jezus, jak się wydaje, próbuje z nich wykorzenić owo poczucie wyższości. To prawda, że są blisko – najbliżej – Niego, i że będą najważniejszym „przedłużeniem" Jego obecności, słów i działania w świecie. Nie daje im to jednak tytułu do tego, by stawiali się ponad kimkolwiek; przeciwnie, do każdego – także do tych, którzy pozostają poza ich granicami konfesyjnymi – powinni podchodzić jako „mniejsi", a nie „więksi".

W taką postawę wpisany jest nie tylko szacunek do każdego człowieka, ale przede wszystkim szacunek do Ducha Świętego, który jest „Suwerenem w Kościele" (papież Franciszek) i działa – „tchnie, kędy chce"! ©

Wielkoduszność niweczy gniew, a miłość smutek. Te dwojakie przejawy męstwa pokonują dwie straszne, uparcie walczące bestie.

EWAGRIUSZ Z PONTU

Kto poznał chwałę, lecz wspiera to, co poniżone, jest dla świata jak dolina rzeki.

LAOZI

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (6 – 13 III)

1. niedziela Wielkiego Postu: Pwt 26, 4-10; Ps 91; Rz 10, 8-13; Łk 4, 1-13;
Poniedziałek: Kpł 19, 1-2. 11-18; Ps 19; Mt 25, 31-46;
Wtorek: Iz 55, 10-11; Ps 34; Mt 6, 7-15;
Środa: Jon 3, 1-10; Ps 51; Łk 11, 29-32;
Czwartek: Est 4, 17k. l-m. r-u; Ps 138; Mt 7, 7-12;
Piątek: Ez 18, 21-28; Ps 130; Mt 5, 20-26;
Sobota: Pwt 26, 16-19; Ps 119; Mt 5, 43-48;
2. niedziela Wielkiego Postu: Rdz 15, 5-12. 17-18; Ps 27; Flp 3, 17 – 4, 1; Łk 9, 28b-36.

ZA WOLNOŚĆ NASZĄ I WASZĄ

Mieszkającym w Polsce Ukraińcom świat rozpadł się na kawałki. Pewni są tylko tego, że atakując ich ojczyznę, Putin niechcący stał się akuszerem nowoczesnego narodu Ukrainy.

MAREK RABIJ

JACEK TARAN

Demonstracja przed konsulatem Rosji przeciwko napaści na Ukrainę, Kraków, 24 lutego 2022 r.

Cztery godziny po tym, jak na Kijów spadły pierwsze pociski, Mykoła Mańko wsiada na krakowskim dworcu w autobus do Medyki. W słuchawce ukraińskie rozmowy pasażerów nakładają się na komunikat, że autokar zbliża się do kolejnego przystanku.

– Sklepy dopiero się otwierały, z barów pachniało świeżo zmieloną kawą, jakaś rodzina omawiała listę zakupów. Poczułem się, jakbym przez chwilę znalazł się w innej rzeczywistości. Jakby było normalnie. Nie jest – mówi poruszony Mykoła.

Poprzedniego wieczoru jego bratanek zadzwonił z informacją, że wraca do wojska. W 2014 r. walczył w Donbasie, a teraz weteranów objęto nakazem mobilizacyjnym.

– Ostatnio to on opiekował się moją schorowaną mamą – Mykoła znów usiłuje przekrzyczeć rozmowy innych pasażerów. – Ustaliliśmy, że w tej sytuacji uporządkuję swoje sprawy w Polsce i postaram się jak najszybciej przyjechać do Drohobycza. A potem, nad ranem, zadzwoniła do mnie zapłakana mama. Od niej dowiedziałem się, że wybuchła wojna. Nasz rodzinny dom stoi blisko obiektów wojskowych. W nocy coś w nie wyrżnęło, a w mieszkaniu mamy zatrzęsły się szyby. Była przerażona. No to co mogłem zrobić? Spakowałem szybko kilka rzeczy i właśnie jadę do niej. Nie mam żadnego planu, nie wiem nawet, jak się dostanę do Drohobycza i jak wrócę, przecież jest pobór. Mama nie ma paszportu, nikt jej go teraz nie wyda. Spróbuję ją stamtąd wywieźć, ale nie wiem, czy się uda. Przewidywalny świat kończy się teraz na polskiej granicy.

Wątpliwości

Na razie więcej ich niż pewników. Uwaga mediów koncentruje się na Kijowie, Charkowie i paru innych miejscach, w których toczą się najcięższe walki. W sieciach społecznościowych można znaleźć nawet nagrania i relacje mieszkańców. Z malutkiej miejscowości Kumy w obwodzie połtawskim, z której pochodzi Ludmiła Waliszewska (nazwisko po polskim mężu), ostatnie wieści dotarły do Krakowa dwa dni przed rosyjską inwazją. Jej matka, pielęgniarka, dostała wtedy mobilizacyjny rozkaz stawienia się w pobliskim szpitalu. Ojciec, kolejarz, na służbie poza domem jest już od kilku dni. W domu została sama 84-letnia babcia Tatiana, z którą od tej pory nie ma kontaktu. I ukochany pies Dali. Gdzie przebiega w tej chwili linia frontu, tego nie wie nikt. Z ostatnich wiadomości od rodziców wynikało, że jakieś 170 km od domu. Teraz może to być równie dobrze 50 jak i 5. A za chwilę może się okazać, że Kumy to już strefa okupowana.

– Do sąsiadów nie można się dodzwonić, bo albo wyłączyli telefony, albo wszyscy wyjechali i sami nie wiedzą, co się dzieje. W internecie też chaos. Jedni piszą, że trwa ewakuacja wszystkich mieszkańców z regionów przyfrontowych. Inni ostrzegają, że po małych miejscowościach kręcą się bandyci, którzy polują na takie opuszczone domostwa. Nie chodzi mi nawet o rzeczy czy kosztowności, martwię się, żeby tylko nic nie zrobili babci – Ludmiła, która jest w piątym miesiącu ciąży, stara się panować na emocjami. – Jak sobie ją wyobrażę samą, w ciemnym domu, patrzącą przez okno na błyski wybuchów, to mam ochotę walić głową o ścianę i wyć. Gdyby nie mój stan, już bym tam jechała. Mąż jest Polakiem, moglibyśmy łatwo wrócić.

Jest piątek. Polska Straż Graniczna donosi, że strona ukraińska nie przepuszcza już na zachód obywateli Ukrainy w wieku od 18 do 60 lat. Prezydent Zełenski ogłosił powszechną mobilizację. Na niektórych przejściach tworzą się kilkunastokilometrowe kolejki.

– Próbujemy się jakoś zorganizować, żeby koordynować pomoc – tłumaczy Anna Masjukina, od pięciu lat mieszkająca w Warszawie. – Związek Ukraińców Polsce robi swoją akcję, ale jak mam się angażować w pomoc nieznajomym, skoro rodzina w kraju i przyjaciele stale zasypują mnie pytaniami i prośbami? Kuzynka spod Charkowa nie wie, czy granicę będzie można przekroczyć bez ważnego paszportu. Ktoś inny pyta, czy wolno ↦

↦ emigrować ze zwierzętami bez aktualnych dokumentów weterynaryjnych. Kolejny prosi o transport z granicy lub o namiary na tani nocleg na pierwsze dni. Przed chwilą odebrałam połączenie na komunikatorze od kuzynki mojej przyjaciółki. Jedzie z Odessy z piątką znajomych, już trzeci dzień. Padają na twarz ze zmęczenia i pytają, na którym przejściu odprawa potrwa najkrócej. Spaliśmy dziś z moich chłopakiem może z półtorej godziny. Zresztą i tak byśmy chyba nie zasnęli. Nie umiemy przestać myśleć o tym, że świat może runąć dosłownie w sekundę.

Anna pracuje w jednym z warszawskich biur architektonicznych. W czwartek rano, kiedy przyszła zaryczana do pracy, podszedł do niej szef i kazał natychmiast wziąć dodatkowy, dwutygodniowy, płatny urlop. „Nie wygłupiaj się, na pewno masz teraz na głowie ważniejsze sprawy niż praca" – powiedział.

Padła też propozycja zbiórki pieniędzy w firmie. – Podziękowałam, ale przecież taką zrzutkę trzeba robić na konkretny cel, a w Ukrainie teraz tyle potrzeb, że nie umiałabym wybrać. Jeszcze będzie na to czas – tłumaczy Anna.

W ostatnich dniach z premedytacją nie zaglądała do polskich portali i gazet. Za bardzo wkurzały ją analizy i komentarze, których autorzy zgadywali, „jak daleko posunie się Putin". Zajmie tylko Donieck i Ługańsk? A może wyrwie Ukrainie całą jej lewobrzeżną część? Albo w krwawych walkach zdobędzie Kijów i stworzy rząd posłusznych kolaborantów? Nakrzyczała nawet w pracy na polską koleżankę, gdy ta próbowała ją uspokajać, że w rodzinnym Stryju na zachodzie Ukrainy bliskim Anny nic nie grozi, bo „Rosjanie chcą tylko Doniecka".

– Natychmiast zrobiło mi się głupio i przeprosiłam. Dla oczyszczenia atmosfery poszłyśmy nawet razem na obiad, oczywiście unikając już polityki – zapewnia. – Koleżanka paplała o jakimś serialu, a ja walczyłam z natrętną myślą, żeby wrócić do tematu i zapytać, jak by się czuła, gdyby to jej ktoś powiedział, że wróg zajmie na przykład tylko Lublin. Albo tylko Mazury.

W tym „tylko", które do chwili inwazji systematycznie pojawiało się w analizach mediów i wypowiedziach europejskich polityków na temat granic imperialnych apetytów Rosji, Masjukina wyczuwa zgniłą nutkę defetyzmu. – Nie trzeba być dyplomatą, żeby rozumieć, że w Europie nikt nie chce, jak to się mówi po polsku, umierać za Kijów? No właśnie. Rosja też to wie. Boję się, że im częściej na Zachodzie słychać będzie to cholerne „tylko", tym brutalniejszy będzie Putin. A myślę, że stać go na wszystko, nawet na ludobójstwo.

ANDRIJ:

Nie czuję się dobrze z tym, że gdy inni giną, ja wstaję rano i idę do dobrze płatnej pracy. Zracjonalizowałem sobie wyrzuty sumienia w ten sposób, że mój przydział jest teraz w Polsce, przy rodzinie.

Strach

– Rozmawiałam dziś rano z mamą – mówi Iryna Hnasewycz, która mieszka dziś w Krakowie. – Chciałam ją uspokoić, ale fatalnie mi poszło, bo jestem jeszcze bardziej przerażona i skołowana niż ona. Popłakałam się i to ona musiała uspokajać mnie.

Mama Iryny mieszka w Tarnopolu, w bloku, który sąsiaduje z budynkami lokalnej jednostki obrony cywilnej.

– Od rana w mediach pojawiały się informacje, że Rosja atakuje rakietami obiekty strategiczne w całym kraju. Widziałam nagranie z eksplozją rakiety na lotnisku w Iwano-Frankiwsku. A to raptem 120-130 kilometrów od Tarnopola. O naszym mieście w mediach nic nie mówili, ale i tak tych kilkanaście sekund, zanim mama odebrała telefon... nie sądziłam, że kiedykolwiek w życiu będę się tak bać. I tak bardzo czekać na jej pierwsze słowo – Irynie w końcu łamie się głos.

Mykoła Mańko: – Moja pierwsza reakcja na wieści o ataku na Ukrainę? Prawie zwymiotowałem. Wojnę w Ukrainie mamy już osiem lat, ale to, co się teraz realizuje, jest zagrożeniem zupełnie innego kalibru. To scenariusz zagłady naszego państwa i naszego narodu. Naszej kultury również. Chcę to wyraźnie powiedzieć: jeśli Rosjanie opanują kraj, zaczną się prześladowania tych, którzy zbrojnie się im przeciwstawiali. Będą obozy koncentracyjne dla weteranów i ich rodzin, jak w Donbasie. Nie przesadzam. Wpisz sobie do Google'a hasło „więzienie Isolatsya".

Iryna Hnasewycz mieszka w Polsce już od prawie dziewięciu lat. Na studia prawnicze przyjechała jeszcze przed aneksją Krymu i wybuchem wojny na wschodzie kraju.

– W niedzielę poszłam na demonstrację poparcia dla Ukrainy na krakowskim Rynku. Pogoda była paskudna, ale ludzi zebrało się wielu. Przyglądałam się twarzom w tłumie i wtedy uświadomiłam sobie, że widzę osoby, które poznałam podczas demonstracji z 2014 r. Osiem lat! Przez prawie jedną czwartą życia towarzyszy mi cień wojny...

Tarnopol dzieli od Doniecka tysiąc kilometrów, czyli dwa razy tyle, ile wynosi dystans między Krakowem a jej rodzinnym miastem. Większość mieszkańców tego dwustutysięcznego ukraińskiego miasta wojnę na wschodzie kraju znała dotychczas głównie z mediów. W rodzinie Iryny, poza jednym kuzynem, nikt nie trafił na front. Z grona dalszych znajomych jeden chłopak poległ na polu chwały. Drugi, już po powrocie do domu, odebrał sobie życie.

– Kiedy rozmawiałyśmy jeszcze przed inwazją, mama uspokajała, że nie widzi sensu wyjazdu z kraju. Przekonywała, że ewentualna agresja Rosjan zatrzyma się na linii Dniepru – mówi Iryna. – Nie naciskałam, bo też rozumiałam, co ona czuje. Nie mówi po polsku, w Tarnopolu ma przecież całe swoje życie. Teraz jednak wszystko uległo zmianie. Wiadomo już, że Rosjanom chodzi o podbicie całej Ukrainy. Mama jednak nie zmienia zdania i nie zamierza wyjechać. Mówi, że w takiej chwili nie opuszcza się ojczyzny.

Przemówienia, w którym rosyjski prezydent informował o uznaniu separatystycznych republik na wschodzie, przy okazji odmawiając prawa istnienia całej Ukrainie, Iryna nie była w stanie wysłuchać. – Jednego jestem dziś pewna – podkreśla. – Putin jeszcze tego nie wie, ale właśnie został akuszerem nowoczesnego narodu Ukrainy. Kilkanaście lat temu duża część obywateli deklarowała silną więź z Rosją. Dziś nie ma znaczenia, czy mówisz po ukraińsku czy po rosyjsku, czy mieszkasz we Lwowie czy w Odessie. Wszędzie czuć olbrzymią mobilizację w obronie naszej państwowości. Prezydent Zełenski, który sam pochodzi z regionów rosyjskojęzycznych,

JACEK TARAN

Iryna Hnasewicz, mieszka w Polsce od siedmiu lat. Niebawem będzie bronić doktorat z prawa międzynarodowego. Kraków, 24 lutego 2022 r.

JĘDRZEJ MAJKA / ARCHIWUM PRYWATNE

Mykoła Mańko, mieszka w Krakowie od ponad 20 lat. Drohobycz, 17 lipca 2021 r.

apeluje o jedność. I robi to bardzo mądrze. Nie mówi o Ukraińcach, lecz o narodzie Ukrainy. Nie głosowałam na niego, wydał mi się wtedy polityczną marionetką, ale dziś z rosnącym uznaniem patrzę na to, co robi. Nie wiem, czym kierował się Putin decydując się na pełnowymiarową inwazję, ale na pewno nie docenił naszej determinacji. Kiedy słyszysz, że Ukraińcy będą się bić do upadłego, wiedz, że to nie są puste słowa. Ciągle słyszę, jak kolejni z naszych rodaków wracają dziś do Ukrainy, żeby zaciągnąć się do wojska i walczyć o niepodległość.

Andrij Zaritski we Wrocławiu mieszka od sześciu lat. Jest programistą. Dwa lata temu, po śmierci ojca, ściągnął do siebie mamę z małej miejscowości pod Winnicą. Rok temu urodził mu się syn. Miał propozycję przenosin do niemieckiego oddziału firmy, ale odmówił. Za niewiele niższą pensję wolał być, jak mówi, bliżej kraju.

– Dwóch moich kuzynów jest dziś na froncie. Jeden pod Charkowem, gdzie trwają ostre walki. Z mojej klasy licealnej do wojska też poszło dwóch chłopaków – wylicza Andrij. – I szczerze przyznaję, że nie czuję się dobrze z tym, że gdy inni giną za kraj, ja wstaję rano i idę do dobrze płatnej pracy. Prawda jest jednak taka, że moje życie od dawna jest we Wrocławiu. Mama za kilka tygodni będzie miała tu operację oczu. Zapisana jest na nią od kilku miesięcy. Zracjonalizowałem sobie wyrzuty sumienia w ten sposób, że mój przydział jest teraz w Polsce, przy rodzinie. Ukrainę będę wspierać pieniędzmi. Jeśli zajdzie potrzeba, przyjmiemy pod dach również uchodźców. Synek może spać z nami, jego pokój przemebluje się dla przyjezdnych.

Nadzieja

– Ostatnio dużo myślę o babci, z którą w dzieciństwie spędzałem dużo czasu – ciągnie przez telefon Mykoła Mańko. – O piekle, przez które przeszła jako młoda kobieta, o czekaniu na wieści od dziadka wcielonego do Armii Czerwonej podczas II wojny światowej. W Drohobyczu było przecież getto, a na ulicach działy się straszne rzeczy. Fala potworności, których babcia wtedy doświadczyła, nie zdołała jednak zabić w niej dobroci. Była cudowną, ciepłą kobietą, która zarażała radością życia. Ilekroć o niej teraz myślę, zastanawiam się, jakie będą za kilkadziesiąt lat ukraińskie babcie? Czy udźwigną psychicznie tę wojnę? Bo my jesteśmy teraz chyba ulepieni z gorszej gliny. A na pewno z bardziej miękkiej.

Ukraina, jak mówi Mykoła, zbyt często zdaje takie egzaminy. W XX wieku nie było chyba pokolenia, które nie doświadczyłoby tu jakiejś traumy.

– Jak nie rewolucja, to Wielki Głód, okupacja niemiecka albo wojna w Afganistanie i Czarnobyl – wylicza. – Miałem do niedawna nadzieję, że pierwszą generacją, której los oszczędzi tego całkowicie, będzie moja, ale od ośmiu lat już wiem, że tak się nie stanie.

W 2014 r. Mańko nie zgłosił się do wojska. Nie wszyscy, przyznaje szczerze, mają zadatki na bohaterów, którzy z bronią w ręku gotowi są bronić kraju. Mykoła wolał szukać spokojnego życia w Polsce. Jego bratanek w tym czasie ryzykował życie w Donbasie.

– W cywilu został instruktorem strzelectwa. Powtarzał, że to, przez co przeszedł, utwierdziło go jedynie w przekonaniu, że każdy powinien umieć strzelać. Miałem do niego o to pretensje, bo uważałem, że wojenne rany trzeba jak najszybciej leczyć, a nie rozdrapywać. Teraz myślę, że to on miał rację. To, że ty nie chcesz do nikogo strzelać, nie oznacza, że nikt nie będzie chciał strzelać do ciebie.

Kiedy dzwonię do Mykoły po raz ostatni, autobus zbliża się do końcowego przystanku, musimy kończyć rozmowę. Pasażerowie zbierają bagaże. Część przyjechała na granicę po bliskich, którzy dotarli do przejścia. Większość, jak Mykoła, jedzie do rodzinnych domów. Są też tacy, którzy prosto z granicy zgłoszą się do najbliższego punktu mobilizacyjnego. Będą walczyć nie tylko za Ukrainę, ale też – jak mówi wielu poborowych – za Europę.

– Bardzo chciałbym jeszcze zobaczyć Polskę – rzuca mi na pożegnanie Mykoła.

©℗ MAREK RABIJ

Tekst ukończono w piątek 25 lutego.

Polska na psychotropach

MAŁGORZATA NOCUŃ

Uporczywa myśl jest jak ból zęba. Pojawia się rano, powoli nasila i dręczy, aż w końcu chodzisz po ścianach. Tylko że ból zęba każdy zrozumie. Inaczej jest z cierpieniem psychicznym.

Na potrzeby tego artykułu przeprowadziłam prywatną ankietę: rozmawiałam z przyjaciółmi, znajomymi, współpracownikami i osobami, z którymi kontakt umożliwili mi lekarze psychiatrzy. Przekonałam się, że przyjmowanie leków psychotropowych jest w moim środowisku powszechne.

Większość z nas była zmuszona choć raz w życiu skorzystać z farmakoterapii. Niektórzy (z krótkimi przerwami) zażywają leki stale. W dwudziestoosobowej grupie studentów, z którą długo rozmawiałam, tylko cztery osoby nigdy nie poprosiły o wypisanie recepty psychiatrycznej. Wygląda na to, że w polskim społeczeństwie (a może poprawniej, w jego części – wykształconej i żyjącej w dużych miastach) upada powoli tabu dotyczące zaburzeń psychicznych. Inna sprawa, czy rzeczywiście wiemy, jak sobie z nimi skutecznie radzić.

– Byłem w dołku – relacjonuje student. – Zapytałem internistkę, czy mógłbym dostać „coś na rozweselenie". Przepisała antydepresant: sertralinę. Podkreśliła jednak, że czyni to w drodze wyjątku. Po kolejne opakowanie mam zgłosić się do psychiatry. Przyjmuję ćwierć tabletki, najmniejszą dawkę.

Kolejna osoba: – Miewam ostre jazdy. Cierpię na bezsenność. Zawsze mam w torebce xanax. Biorę i się wyciszam.

Prof. Dominika Dudek, kierująca Katedrą Psychiatrii i Kliniką Psychiatrii Dorosłych Collegium Medicum UJ mówi wprost: – Mamy do czynienia z plagą. Statystyki pokazują bowiem wyraźnie, że zwiększa się liczba zaburzeń depresyjnych i nerwicowych. Nie wzrasta z kolei liczba psychoz takich jak choroba afektywna dwubiegunowa czy schizofrenia, na którą cierpi ok. 1 proc. populacji.

Anna. „Nie mam żadnej depresji"

W Polsce depresję rozpoznaje się ostatnio u ponad miliona osób rocznie. To jednak bardzo zaniżone statystyki, gdyż wielu pacjentów próbuje radzić sobie samemu. Ostatni raport NFZ pochodzi sprzed pandemii i wynika z niego, że w 2019 r. zrealizowano aż 3,8 mln recept na leki przeciwdepresyjne i przeciwlękowe. Z kolei liczba pacjentów wykupujących takie medykamenty wzrosła w stosunku do roku 2013 aż o 35 proc. Jeszcze bardziej zatrważające dane podaje Instytut Biologii Doświadczalnej PAN im. M. Nenckiego. Z jego badań wynika, że na zaburzenia zdrowia psychicznego cierpieć może nawet 8 mln Polaków. Rośnie także liczba hospitalizacji.

Anna: – Zaczęło się od częstych przeziębień. Po kilkunastu tygodniach pociągania nosem, niemijającego bólu gardła, byłam wyczerpana. Starałam się dociec przyczyn mojej kruchej odporności. Zrobiłam mnóstwo badań, w tym testy immunologiczne. Niczego nie wykazały. Tąpnięcie nastąpiło cztery lata temu, po wypadku samochodowym. Zdałam sobie sprawę, że nie jestem „niezniszczalna", „że coś złego może wszędzie się na mnie czaić". Pojawiły się lęki, a potem problemy z koncentracją uwagi, pamięcią. W nocy przewracałam się z boku na bok, zasypiałam nad ranem i nie byłam w stanie się wybudzić. Nic mnie nie cieszyło. Tylko siedziałabym w domu i oglądała seriale. I nawet gdy wyruszyłam w wymarzoną podróż, to zadawałam sobie pytanie: „Co ty tu robisz? Przecież to nie ma sensu".

W końcu trafiła do młodej internistki. Lekarka poprosiła, by wypełniła test diagnostyczny w kierunku depresji. Anna była zszokowana. „Depresja? Nie mam żadnej depresji!". Test udowodnił, że się myliła. Lekarka wytłumaczyła jej, że zaburzenia depresyjne i adaptacyjne często ukrywają się pod postacią somatyczną. Tak jakby mózg chciał przenieść ból psychiczny na jakiś organ fizyczny, licząc, że da sobie w ten sposób radę z chorobą. Nic dziwnego, że ustalenie medycznej przyczyny kolejnych chorób Anny było niemożliwe. Otrzymała skierowanie na konsultację psychiatryczną.

– Na korytarzu szpitalnego ambulatorium zobaczyłam głęboko cierpiących ludzi – wspomina. – Pomyślałam, że mój przypadek musi być lżejszy. Psychiatra rozmawiał ze mną o współczesnym świecie i o tym, że ludzie przestali radzić sobie z nadmiarem bodźców i stresem. „Leki psychiatryczne stanowią ochronę dla mózgu", powiedział i przepisał lek antydepresyjny. Ciężko było mi pogodzić się z faktem, że mam brać „leki na głowę". Po pewnym czasie zniknęły jednak problemy ze snem. Wyciszyłam się. Nie stresowałam się rzeczami, na które nie mam wpływu. Przestałam chorować. Zdarzały się tylko lekkie przeziębienia, ale trwały dzień, dwa, nie ciągnęły się tygodniami.

Anna żałuje, że decyzję o leczeniu podjęła tak późno. Uświadomiła sobie bowiem, że problemów psychicznych doświadczyła dużo wcześniej. Ponad dziesięć lat temu mama – zaniepokojona jej

stanem emocjonalnym – namówiła ją na wizytę u psychiatry. Bardzo źle zapamiętała rozmowę z lekarką, bo ta podnosiła na nią głos. Przepisała też leki, ale wtenczas leczenie psychiatryczne spotykało się jeszcze ze stygmatyzacją. Poczuła się „nienormalna". Dopiero gdy wyrzuciła receptę do kosza, przyszła ulga.

– A jak rozwiązałaś problem „nadmiaru bodźców"?

– Zaczęłam świadomie korzystać z mediów społecznościowych. Nauczyłam się być offline. Wyłączać smartfona. Nie było łatwo.

Hansen. Wyloguj swój mózg

Anna, w odpowiedzi na prośbę o autoryzację opowiedzianej mi historii leczenia, wysłała maila: „Dziękuję, że przypomniałaś mi, jak ważna jest redukcja bodźców. Odcięcie się od świata cyfrowego. Ostatnio chyba znów trochę o tym zapominam".

Życie wielu z nas toczy się w mediach społecznościowych. To w nim ze sobą dyskutujemy, dzielimy się intymnymi przeżyciami, wyrażamy dobre i złe emocje. Uzależniamy się od „lajków" i komentarzy. Nieustannie sięgamy po telefon, by sprawdzić, „kto i co napisał w odpowiedzi na nasz post". Nierzadko tracimy też umiejętność rozmowy w realu, boimy się konfrontacji z drugim człowiekiem, wolimy pisać – tak jest bezpieczniej. W efekcie, mimo utrzymywania ciągłego kontaktu, stajemy się coraz bardziej samotni, coraz trudniej nam też wchodzić w związki, a potem je utrzymać. Widok ludzi wspólnie siedzących przy kawiarnianym stoliku, ale oddzielonych, bo wpatrzonych w smartfony – stał się kulturową normą.

Ludzki mózg nigdy w historii nie odbierał tak dużej liczby bodźców. Przeciętny użytkownik internetu zaczyna czytać tekst, przerzuca się na kolejny i znów na kolejny. Skroluje ekran nawet kilka godzin dziennie, niby „śledzi doniesienia z kraju i świata", ale wieczorem nie potrafi wymienić większości informacji, które „przeczytał". Co nie zmienia faktu, że większość z tych zazwyczaj negatywnych wiadomości pozostawia w nas niepokój i lęk. Naraża też na ogromną ilość emitowanego przez ekran niebieskiego światła, a jego nadmiar powoduje m.in. rozdrażnienie i bezsenność.

Problem nadmiaru bodźców podejmuje szwedzki psychiatra Anders Hansen w wydanej nakładem Znaku książce „Wyloguj swój mózg". Hansen stawia tezę, że „przyszło nam żyć w świecie, który nas nie ukształtował". „W maju 2018 roku wziąłem udział w konferencji Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego w Nowym Jorku. (...) Wszyscy zgodnie twierdzili, że zmiana ludzkiego zachowania, jaką zaobserwowaliśmy w ciągu ostatniej dekady – chodzi tu o sposób komunikowania się i porównywania z innymi – jest nadzwyczaj rozległa i może mieć na nas głębszy wpływ, niż nam się wydaje. Wielu uważało, że ogromny wzrost liczby młodych ludzi szukających pomocy psychiatrycznej w ostatnim dziesięcioleciu może przynajmniej częściowo być konsekwencją zbyt szybkiego przejścia na cyfrowy styl życia. (...) Po kongresie uzmysłowiłem sobie, że historycznie rzecz biorąc, ludzkość jeszcze nigdy nie zmieniła zachowania tak szybko jak w ostatnich dekadach. I nie chodzi tu tylko o nasze cyfrowe nawyki. Przeżywamy również inny rodzaj stresu niż dawniej – krócej śpimy i mniej się ruszamy. Oznacza to, że mózg znajduje się w świecie dla siebie nieznanym" – pisze Hansen.

SIAM PUKKATO / ADOBE STOCK

Adam. „Zrobiłem coś złego"

Uczucie strachu zna każdy. To naturalna reakcja organizmu. Strach chroni nas przed niebezpieczeństwem. Na przykład kiedy widzimy pędzące w naszą stronę auto, odruchowo się cofamy. Strach jest więc reakcją na konkretne zagrożenie. Lęk to inny stan – uciążliwy i przewlekły. I choć może przerodzić się wręcz w panikę, ciężko określić jego przyczynę. Albo powód złego samopoczucia okazuje się zupełnie niewspółmierny do naszej reakcji.

Adam: – Osoba, która nigdy nie doświadczyła lęku, nie zrozumie, o czym mówię. Kilka razy próbowałem opowiedzieć najbliższym o moich stanach. Już tego nie robię. Kiedy zwierzam się z najintymniejszych uczuć, bywa, że ktoś zapyta: „No coś ty? Czymś takim się przejmujesz? Naprawdę? Daj spokój".

– Co cię trapi?

– Myśli. Najczęściej czuję, że zrobiłem coś złego i ktoś będzie przeze mnie cierpieć. Albo że coś zaniedbałem w pracy. Myśl pojawia się znienacka, na początku wydaje się błaha. Ale jest jak kamyczek w bucie. Maleńki, a przeszkadza w chodzeniu. Z czasem jednak robi w stopie ranę... Niekiedy udaje mi się tę natrętną myśl odgonić, ale wiem, że ona wróci. I to z wielką siłą. Ruminacja: tak w psychologii nazywa się ten proces. To poddawanie się uporczywym myślom. Ruminację porównałbym do bólu zęba. Budzisz się rano, uświadamiasz sobie, że „czujesz swój ząb". Ból się ↦

↦ wzmaga i po pewnym czasie chodzisz po ścianach. Rozsadza ci głowę. Chcesz już tylko jednego: uwolnić się od cierpienia. I tak samo jest, kiedy choruje dusza. Pojawiają się najcięższe myśli. Tylko że ból zęba każdy zrozumie. Inaczej jest z cierpieniem psychicznym.

Adam nie bierze stale leków, ale za radą psychiatry ma je zawsze w domowej apteczce. W chwili kryzysu sięga po nie i od razu umawia się na wizytę, podczas której lekarz ustala dawki. Proces „wchodzenia" w leczenie jest trudny. Adam śpi całymi dniami i przestaje odczuwać emocje – zarówno złe, jak i dobre. Po kilku tygodniach przychodzi ulga.

Adam, jak każdy z bohaterów tego tekstu, oprócz pomocy farmakologicznej został przez lekarza zachęcony do podjęcia psychoterapii. Musi jednak w pierwszej kolejności „wyciszyć się" przy pomocy leków. Dopiero potem możliwa jest terapia i dojście do głębokich przyczyn stanu emocjonalnego, a także pełne otwarcie na pomoc.

Nie zawsze jest to łatwe. Ludziom cierpiącym na zaburzenia kompulsywne wydaje się, że nikt poza nimi nie rozumie, jakim cierpieniem mogą być powracające uporczywie myśli.

Krzysztof.
„Z trudem wstawałem z łóżka"

Na prośbę o podzielenie się historią swojej choroby odpowiedziało mi wiele kobiet. Mężczyźni nie byli zbyt chętni. Krzysztof – bohater tego tekstu, podobnie jak prof. Dudek, upatruje tu kulturowego podłoża. Chłopiec wychowywany jest na twardziela, ma być „męski", „nie może się mazać" i „być jak baba".

Krzysztof: – Stałem na przystanku autobusowym z przyjaciółką. „A ty? Co planujesz?", zagadała. Kończyliśmy właśnie studia. To pytanie wywołało u mnie lęk i niepewność, co bardzo mnie zdziwiło. Przecież kilka lat temu, podejmując naukę na filologii angielskiej, doskonale wiedziałem, co chcę robić w przyszłości. Byłem pewny, że zostanę tłumaczem. Lęk, który poczułem, miał ze mną pozostać na długo. I przybierać na sile.

Przestał cieszyć się z ulubionych zajęć. Lektura zadawanych przez prowadzącą tekstów nie była już intelektualną przygodą. Podobnie było z pisaniem esejów. Nie robił tego z odpowiednią starannością, pisał w tramwaju, za pięć dwunasta. Z trudem, ale udało mu się obronić dyplom. Znalazł pierwszą, atrakcyjną pracę. Komuś mogłoby się wydawać, że jest człowiekiem sukcesu, a on z trudem wstawał z łóżka. Budził go ból brzucha i ucisk w klatce piersiowej. Serce waliło. Wyjście z sypialni było dla niego jak zdobycie ośmiotysięcznika. Na myśl o śniadaniu i ubraniu się, a zwłaszcza o wyjściu z domu – czuł fizyczny ból. Niemyte od kilku dni włosy ciasno związywał gumką. Kawa, papieros. Torturą było światło dzienne – wywoływało ból oczu, głowy. Nawet w pochmurne dni nosił okulary przeciwsłoneczne. Czuł, że każda osoba na ulicy go ocenia. W końcu pojawiły się problemy ze snem, spadek libido. Dni zaczęły się ze sobą zlewać.

– Najprostsze czynności stanowiły dla mnie ogromne wyzwanie – przyznaje Krzysztof. – Skończyła się kawa, muszę iść do sklepu. Ale nie chce mi się, nie mam siły. Z drugiej strony kawa jest mi niezbędna. To pójdę. Ale to przeklęte światło, kolejka. I ci ludzie, którzy stoją przede mną. Oni na pewno mają spokojne, dobre życie. Nie boją się, robią plany. Dlaczego nie jestem taki jak oni? A może trzeba było inaczej ułożyć sobie życie? Skończyć inne studia?

Rodzice, przyjaciółka (ta, która na przystanku zapytała o plany na przyszłość) zauważyli, że dzieje się z Krzysztofem coś złego. Powiedzieli, żeby skorzystał z pomocy. Diagnoza lekarki: depresja o umiarkowanym nasileniu. Przepisała lek – na początek najmniejsza dawka, potem coraz większe. Krzysztof zauważył, że jego myśli są bardziej spójne. Zaczął odczuwać radość z drobnych rzeczy: dziś jest ładne niebo, piję dobrą kawę. Zniknął ucisk w klatce piersiowej, kołatanie serca. Światło dzienne przestało powodować ból.

W Polsce depresję rozpoznaje się u ponad miliona osób rocznie. Realizuja one niemal 4 mln recept.

Liczba pacjentów przyjmujących takie leki wzrosła w stosunku do 2013 r. o 35 proc.

Prof. Dudek.
„Depresja to nie smutek"

Prof. Dudek na początku rozmowy zaznacza, że chce poruszyć dwa problemy. Pierwszy: depresja jest ciężką chorobą. Przynosi ogromne cierpienie. Jeśli pacjent nie korzysta z pomocy lekarza, jest ono tym dotkliwsze. Depresja może stać się nawet przyczyną śmierci. Polskie Towarzystwo Psychiatryczne zachęca więc Polaków do podjęcia leczenia.

Problem drugi: depresji nie należy mylić ze smutkiem. W języku potocznym zwykliśmy nazywać „depresją" zwykłą chandrę. Prof. Dudek: – Nasze złe samopoczucie zbyt często określamy mianem choroby. W taki sposób dokonuje się „psychiatryzacja" negatywnych emocji. Ktoś, kto dawniej był nieśmiały, dziś „cierpi na fobię społeczną". Kiedyś dziecko było łobuzem, dziś „ma ADHD". Nie przeczę: istnieje fobia społeczna i ADHD, jednak w wielu wypadkach zachowania i uczucia będące pewnym wariantem normy definiujemy jako chorobę. A to ma poważne skutki. Zwykły smutek nazywamy depresją, a rzeczywiste zaburzenia depresyjne bywają bagatelizowane, kwitowane stwierdzeniem: „Weź się w garść, w dzisiejszych czasach wszyscy miewamy depresję". Z drugiej strony przeżywając życiowe frustracje szukamy rozwiązania w postaci „tabletki szczęścia". A przecież nie można żyć i nie doświadczać strachu czy smutku. Nie można być tylko szczęśliwym. Na palecie ludzkich uczuć muszą istnieć różne stany emocjonalne.

Dr Rafał Jaeschke, asystent w Zakładzie Zaburzeń Afektywnych Katedry Psychiatrii CM UJ, zapewnia: – Sednem psychiatrii jest niesienie ulgi osobom cierpiącym. Właściwie dobrane leczenie farmakologiczne pozwala złagodzić dolegliwości, a zarazem wiąże się z niewielkim ryzykiem działań niepożądanych.

Dr Jaeschke potrafi przytaczać w nieskończoność historie pacjentów, którym takie środki pomogły. Zdarza się jednak i tak, że ludzie myślą, iż sama farmakologia rozwiąże wszystkie ich problemy życiowe i zniszczy źródła stresu. To niemożliwe. Są też i tacy (zwłaszcza młodzi), którym psychotropy służą do zabawy i eksperymentów. Dotarłam do człowieka, który „załatwia" na nie recepty. Po zapłaceniu 65 zł otrzymuje się od niego kod recepty, a w systemie rejestrowana jest teleporada. Coraz więcej osób korzysta z ta-

kich „usług” bez świadomości skutków ubocznych.

Młoda kobieta stwierdza: „Dziwię się, że psychotropów nie sprzedają w kiosku ruchu, jak paracetamolu”. Uważa, że to „rozweselacze”. I nie powinny być aż tak „reglamentowane”.

Dr Rafał Jaeschke ma inne zdanie: – Leki psychotropowe nie są używkami. W leczeniu psychiatrycznym nie chodzi o zakładanie pacjentowi „różowych okularów”. Zresztą taki cel i tak byłby nierealistyczny.

Maria.
„Dlaczego masz się tak męczyć?”

Rok 2021. Kolejna fala pandemii. W mediach społecznościowych pojawiają się prośby o pomoc w zdobyciu leków psychotropowych. „Od kilku nocy nie śpię. Czy ktoś może odstąpić mi hydroksyzynę? Biorę ją od lat. Teraz nie mam siły umówić się z lekarzem”. „Mam ataki paniki. Wczoraj pojawiły się duszności. Jak szybko zdobyć receptę na xanax?”

Prof. Dudek: – Pandemia przyczyniła się do kilkukrotnego wzrostu zaburzeń depresyjnych i lękowych. Odnotowujemy więcej przypadków zespołu stresu pourazowego i problemów z bezsennością. Izolacja społeczna stanowiła bolesne doświadczenie zwłaszcza dla dzieci i młodzieży. Z kolei wielu dorosłych boryka się z problemami ekonomicznymi. Badania dowodzą, że również zjawisko „długiego ogona covidowego” może prowadzić do zaburzeń depresyjnych i lękowych.

Dane Instytutu Biologii Doświadczalnej PAN mówią, że prawie 54 proc. Polaków z zaburzeniami psychicznymi zdiagnozowanymi jeszcze przed pandemią odczuwa pogorszenie stanu zdrowia.

Maria: – Lato 2020 roku. Siedzimy zamknięci w domu: ja, mąż, dzieci. Próbujemy pracować. Frustrację potęguje fakt, że w moim otoczeniu praktycznie nikt nie przestrzega obostrzeń covidowych. Pojawia się lęk o zdrowie i życie moich bliskich. Co prawda wykonuję swoje obowiązki, ale staję się drażliwa. Łatwo wpadam w płacz. „Dlaczego masz się tak męczyć? Skonsultuj się z psychiatrą” – radzi przyjaciółka.

Maria umawia się na teleporadę. Rozmowa trwa godzinę. Lekarka jest cierpliwa i empatyczna, Maria zaczyna płakać. „Dużo pani w życiu przeszła. Lek na pewno nie zaszkodzi”. Zapisała dwa opakowania. Zaleciła przyjmowane najpierw 25 mg dziennie, później 50 mg. – Dużo potem spałam, ale czułam, że sen pomaga mi się zregenerować – mówi Maria. – Z czasem minęła drażliwość, przestałam brać wszystko do siebie, miałam lepszy nastrój.

Po roku, kierując się zaleceniami producenta, odstawiła leki. Ale po dwóch miesiącach jej stan bardzo się pogorszył. Znów poprosiła o wypisanie recepty. Dziś jej umysł drążą kolejne myśli. Jak długo to jeszcze potrwa? Ile lat będę na lekach? Całe życie?

© MAŁGORZATA NOCUŃ

Imiona bohaterów i bohaterek tekstu zostały zmienione .

REKLAMA

Cyfrowa konstytucja

KATARZYNA SZYMIELEWICZ, PRAWNICZKA, PREZESKA FUNDACJI PANOPTYKON:

Facebook będzie musiał przeprojektować ustawienia prywatności tak, by stały się przyjazne ludziom. Nie będziemy musieli potwierdzać swoich wyborów na każdym kroku. Wystarczy raz powiedzieć: „dajcie mi spokój".

KRZYSZTOF STORY: Kiedy w 2021 r. Apple umożliwiło wycofanie zgody na zbieranie danych marketingowych, skorzystało z niej 96 proc. użytkowników. Kiedy na to samo zdecydował się NPO, holenderski nadawca publiczny – 90 proc. Nie lubimy być podsłuchiwani i śledzeni. Dlaczego w ogóle wyrażamy zgodę na korzystanie z naszych danych?

KATARZYNA SZYMIELEWICZ: Za mocno uwierzyliśmy w darmowy, wolny internet, gdzie do wszystkich treści mamy swobodny dostęp. Daliśmy się zwabić serwisom, które o prawdziwej cenie swoich usług, czyli naszej prywatności, pisały małym drukiem albo wcale. Odpowiedzialność obciąża tych, którzy zarabiali na naszych słabościach, a więc biznes reklamowy i same platformy. Ale drogi wyjścia z tego kryzysu powinniśmy poszukać wspólnie. Po stronie zwykłych zjadaczy internetu jest zmiana przyzwyczajeń. Na przykład zaakceptowanie tego, że za jakościowe treści w sieci coraz częściej trzeba będzie płacić.

Unia Europejska kontra Facebook, Google i inni giganci Big Techu – to starcie wkracza w decydującą fazę. UE przegłosowała w grudniu Digital Services Act (DSA), czyli pierwszą poważną próbę regulacji cyfrowego świata. Przy miażdżącej większości przeszło np. ograniczenie inwazyjnej reklamy serwowanej nam na co dzień, opartej na danych, które zbierają o nas firmy.

Ostateczną wersję przepisów poznamy na wiosnę, po negocjacjach między Parlamentem, Komisją i Radą Europejską. Dziś widać, że idą trzy główne zmiany. Pierwsza: zakaz kierowania śledzącej reklamy do dzieci.

Przecież w internecie nie da się skutecznie zweryfikować wieku.

Tak, i teoretycznie wszystkie platformy są dla osób powyżej 13 lat. W praktyce wszyscy wiemy, jak to wygląda. Niektóre serwisy internetowe są wręcz zdominowane przez dzieciaki w wieku gimnazjalnym. A z danych ujawnionych przez sygnalistkę Frances Haugen, byłą pracowniczkę Facebooka, wiemy, że ta firma świadomie kieruje treści sponsorowane do dzieci, choć wie o ich złym wpływie. Ten system trzeba uszczelnić.

Drugą zmianą jest zakaz opierania reklamy na tzw. danych wrażliwych: religii, orientacji seksualnej, przekonaniach politycznych. I to właśnie te dane, zgodnie z DSA, nie powinny trafiać do naszego „profilu marketingowego".

W sieci nie da się narysować linii oddzielających dane wrażliwe od „niewrażliwych". Nawet jeśli nie napiszę wprost, na kogo głosuję, Google i tak to wyśledzi, bo wie, jakie czytam gazety, kogo obserwuję i które tematy mnie kręcą.

Powiem więcej: te małe ślady cyfrowe więcej mówią o tobie niż to, że polubisz profil jakiejś partii. Bo przecież powody, dla których to zrobisz, mogą być różne. Ale swojej aktywności w mediach społecznościowych nie zafałszujesz. Jeśli realnie angażują cię jakieś treści i ludzie, wystarczy parę miesięcy obserwacji i twój profil wyłania się jak na dłoni. A przecież platformy obserwują nas od lat, i to w oparciu o ślady pochodzące z różnych miejsc w sieci. I tu światełkiem w tunelu jest zakaz dopasowywania reklam w oparciu o dane wrażliwe, które zostały wywnioskowane na podstawie naszego zachowania. Taki pomysł pojawił się w ostatnim projekcie DSA, m.in. dzięki naszej pracy. Dodanie tej jednej frazy to przełom.

A trzecia zmiana?

Ona jest najważniejsza. To zakaz wyłudzania zgody na agresywny marketing albo zakładania jej z góry. Facebook przez lata twierdził, że ma prawo nas śledzić na podstawie umowy, jaką zawieramy logując się po raz pierwszy do serwisu. DSA ma przesądzić, że reklama śledząca wymaga świadomej zgody. Dziś rynek internetowy rządzi się logiką Dzikiego Zachodu. Dopóki szeryf nie zacznie strzelać, wszyscy łupią dane. Takim szeryfem stał się belgijski urząd ds. ochrony danych, który w styczniu rozstrzygnął spór między Panoptykonem i kilkoma innymi organizacjami a IAB – związkiem branży internetowej. Stwierdził, że system reklamowy, którego używa 80 proc. stron, jest niezgodny z RODO. I musi się zmienić.

Zwykły użytkownik to odczuje?

Mam nadzieję! Portale takie jak Facebook będą musiały przeprojektować swoje ustawienia prywatności tak, by stały się przyjazne ludziom. To pierwszy krok w stronę internetu, w którym nie będziemy musieli potwierdzać swoich wyborów na każdym kroku. Wystarczy raz powiedzieć: „dajcie mi spokój". Już dziś w smartfonach Apple możemy zastrzec, że nie zgadzamy się na śledzenie w celach reklamowych, i to działa dla wszystkich stron i aplikacji.

Jeśli tak ustawię swój telefon, nie zobaczę reklam?

Zobaczysz, ale będzie to reklama kontekstowa – oparta na treści, obok której się wyświetla, albo na wynikach twojego ostatniego wyszukiwania. A nie – jak teraz – profilująca cię na podstawie wszystkich stron, które odwiedziłeś przez ostatni tydzień, czy twoich reakcji emocjonalnych na Instagramie. Przy tym wywiadzie zobaczyłbyś więc reklamę szyfrowanych dysków albo produktów chroniących dane. Przy kontekstowym podejściu do reklamy nie grozi ci też to, że przeczytasz dwa artykuły o chodzeniu po górach i później przez tydzień oglądasz same reklamy plecaków.

Nie lubię tego.

Nikt tego nie lubi! Wiedzą to również ludzie z branży reklamowej, wystarczy popatrzeć na niezależne badania. Użytkownikom nie podoba się reklama, która za wszelką cenę próbuje zagarnąć ich uwagę i wykorzystać chwilową słabość.

LECH ZYCH / MATERIAŁY PRASOWE

KATARZYNA SZYMIELEWICZ
jest prawniczką, współzałożycielką i prezeską Fundacji Panoptykon; w latach 2012-2020 wiceprzewodnicząca kolektywu European Digital Rights.

Niepokoi nas też przekazywanie danych szemranym firmom z długich list, jakie nam się rozwijają, kiedy zdesperowani klikniemy w „dowiedz się więcej". Nie podoba nam się wiele, a mimo to walka o zdelegalizowanie takich praktyk ciągnie się w Brukseli już od dekady.

Regulacje dotyczą tylko reklam. Tymczasem na podstawie „wyśledzonych" danych Facebook nadal będzie proponował mi posty, filmy, grupy. Czy tutaj też coś się zmieni?

Wszystkie duże platformy będą musiały udostępnić użytkownikowi wersję bez profilowania. Niby to krok w dobrym kierunku, ale obawiam się, że w praktyce może się skończyć pokazywaniem ludziom przypadkowych treści. I ten efekt raczej będzie zniechęcający. Przecież nie chcemy w mediach społecznościowych przebijać się przez tysiące postów, które nas kompletnie nie interesują.

Był w DSA pomysł, który brzmi jak prawdziwa rewolucja, ale przepadł w głosowaniu 20 grudnia. Mówię o dopuszczeniu przez media społecznościowe niezależnych algorytmów.

Gdybym miała wybrać jedno rozwiązanie, które Unia wprowadzi i wyegzekwuje, żeby zakończyć najbardziej toksyczne praktyki wielkich platform, byłaby to właśnie konkurencja algorytmów. Dzisiejszą sytuację można porównać do wczesnej ery komputerów osobistych. Microsoft był wtedy monopolistą i nie mogliśmy użyć innej przeglądarki w systemie Windows niż ta, którą stworzył. Dzisiaj podobnego zamknięcia doświadczamy na Facebooku, TikToku czy Twitterze. Nie tylko dostarczają nam treści, ale też mają absolutną władzę, jeśli chodzi o ich wybór, bo decydują ich algorytmy. I dlatego jedna z naszych poprawek do DSA zakładała rozdzielenie tych funkcji. Portale internetowe nadal byłyby przechowalniami treści i miejscem, gdzie spotykamy innych ludzi, ale musiałyby dopuścić konkurencyjne algorytmy, które nam te treści i interakcje porządkują.

Kto miałby je tworzyć?

Organizacje pozarządowe, inne firmy czy nawet publiczne instytucje. To byłby otwarty, choć oczywiście regulowany rynek. Sam mógłbyś wybrać, jak chcesz mieć uporządkowane treści na osi czasu, jaki filtr chcesz nałożyć na rzeczywistość, albo jakie źródła wiadomości uważasz za wiarygodne. Mógłbyś na przykład wybrać algorytm, który dba o twój cyfrowy dobrostan i na kilka godzin przed snem nie pokazuje już polityki, konfliktów i hejtu, tylko przyjemne treści.

Czy nie skończyłoby się tym, że każdy zamknąłby się w swej bańce?

A teraz nie jesteśmy w nich zamknięci? Komercyjne algorytmy tak właśnie są zaprojektowane, by zamykać nas w bańkach, w których czujemy się dobrze. W serwisach, które są oparte na wyszukiwaniu – jak YouTube – działa z kolei efekt „króliczej nory", w którą wpadamy coraz głębiej, wabieni sensacyjnymi treściami. A w tym czasie nasz profil trafia na giełdy reklamowe. Rozbicie tego monopolu na selekcję informacji jeszcze kilka lat temu wydawało się nierealne, a dziś ten pomysł jest głosowany w PE. Więc może za kilka lat stanie się rzeczywistością? Monopol Microsoftu swego czasu też wydawał się absolutny, ale zakończyły go regulacje prawne i kary finansowe. Podobnie musimy działać na rynku platform społecznościowych. Oczekiwanie na to, że Facebook i Google same przestaną nadużywać pozycji dominującej, to droga donikąd.

W 2020 r. Google na reklamie internetowej zarobił 147 mld dolarów – to więcej niż budżet Polski. Drugi na liście Facebook zgarnął 84 mld. Nic dziwnego, że regulacje, które mogą ograniczyć źródło tych pieniędzy, budzą opór.

Wprowadzenie niezależnych algorytmów nie musi oznaczać zmiany na dużą skalę. Większość użytkowników pozostanie przy opcji domyślnej, bo ludzie chodzą na skróty i nie lubią zmian. To będzie powolny proces, w którym firmy otrzymają dość czasu na znalezienie nowych źródeł dochodu. Myślę, że opór gigantów nie wynika tylko z rachunku zysków i strat, ale też z pragnienia obrony świata, który budowali przez lata i dziś uznają za swoje podwórko. Ale w międzyczasie dużo się zmieniło. Przestrzeń mediów społecznościowych stała się niezbędna i nie może funkcjonować bez ograniczeń. Podobnie jak nie wyobrażamy sobie, żeby bez prawnych regulacji mogły działać banki czy producenci żywności. Mamy przecież regulacje dotyczące tradycyjnych mediów, w tym nieuczciwej reklamy. A w tym samym czasie Facebook, jeden z głównych kanałów komunikacji, może usunąć profil dużej partii wyłącznie na podstawie zasad, które sam sobie ustalił. ↦

Ta debata toczy się nie tylko w Unii, ale i na polskim podwórku. Ministerstwo Sprawiedliwości 7 stycznia przedstawiło kolejną wersję projektu ustawy „o ochronie wolności słowa w internetowych serwisach społecznościowych”.

Ta ustawa bardziej zagraża użytkownikom sieci niż ich chroni, bo przy internetowym ogniu próbuje upiec polityczną pieczeń. Zabiera kompetencje cenzorskie Facebookowi tylko po to, by oddać je w ręce państwa. A przy okazji przemyca kontrowersyjne przepisy nakazujące przechowywać dane użytkowników dla policji i służb.

Po drugie: wprowadzanie regulacji krajowych dla globalnych firm to walka z wiatrakami. Australia podjęła próbę narzucenia lokalnych reguł Facebookowi, ale ostatecznie musiała się cofnąć o parę kroków pod wpływem szantażu giganta. W tym sporze, niestety, nawet Unia Europejska może się okazać dla Big Techów graczem lżejszej wagi.

Panoptykon od początku uczestniczył w pracach nad DSA. Jak przebiegał ten proces?

Jak walka Dawida z Goliatem. To był chyba najtrudniejszy czas w naszej historii, w wielu momentach boleśnie odczuwaliśmy własne ograniczenia. My mamy dwie, w porywach trzy osoby, które robią wszystko: śledzą proces legislacyjny, opracowują poprawki, prowadzą kampanie, rozmawiają z mediami. Oczywiście tworzymy sieć wielu organizacji, ale to też pochłania czas. Po drugiej zaś stronie są profesjonalne firmy lobbingowe i gigantyczne budżety. Jeden z think tanków dotowanych przez Google opublikował raport krytykujący rzekome ekonomiczne skutki DSA, jeszcze zanim Komisja Europejska pokazała pierwszy projekt rozporządzenia.

Według raportu Corporate Europe Observatory od 16 stycznia 2020 do 30 listopada 2021 r. odbyło się 613 spotkań lobbingowych między europosłami a przedstawicielami firm w sprawie DSA. To prawie dwa spotkania dziennie przez dwa lata, a lista na pewno nie jest kompletna. Za ponad 10 proc. tych spotkań odpowiadają cztery firmy: Google, Facebook, Amazon i Microsoft.

W tym samym raporcie pojawia się też wiele mniejszych firm i fundacji finansowanych przez „wielką czwórkę”. Sama próba zmapowania ich działań zapełniłaby, myślę, połowę „Tygodnika”. Konferencje, oficjalne i nieoficjalne kolacje, gale wręczania nagród, eksperckie seminaria – jednym słowem: podchodzenie kluczowych urzędników i eurodeputowanych przy każdej okazji. Facebook na kampanię krytykującą DSA w samej tylko niemieckiej prasie wydał 6,8 mln euro. To więcej niż budżet Panoptykonu od początku istnienia i myślę, że długo jeszcze tej granicy nie przekroczymy.

Narracja w takich kampaniach jest dość podobna: ograniczenia są przedstawiane jako katastrofa dla małych i średnich firm, które za pomocą śledzących reklam docierają do klientów, oraz dla wydawców, którzy je publikują.

Z każdego dolara wydanego na reklamę w internecie do wydawców trafia jedynie kilka, kilkanaście centów. Na tym spuchniętym rynku najbardziej korzystają Google, Facebook oraz setki pośredników analizujących nasze „ciasteczka” z przeglądarek. Ale jeśli chodzi o reklamodawców – ich sytuacja niewiele się zmieni. Nadal będą płacić za usługę reklamową i oczekiwać jej realizacji. Tylko że będzie to reklama kontekstowa albo kierowana do ludzi z poszanowaniem RODO. A więc zdecydowanie bardziej etyczna i nienarażająca reputacji ogłoszeniodawców. Na nowym modelu stracą natomiast te firmy, które świadomie sięgały po manipulowanie emocjami ludzi, w tym nastolatków i dzieci.

Ostateczny kształt DSA poznamy za kilka miesięcy. Boisz się, że do tego czasu ustawie zostaną „wyrwane zęby”?

Nie chcę prognozować i zapeszać, ale bardziej obawiam się nieskutecznej implementacji nowego prawa. Liczę natomiast, że same przepisy DSA – nad którymi teraz już pracują głównie techniczni eksperci – uda się zachować w obecnym, mocnym kształcie. Nic nie wskazuje na to, by Komisja Europejska miała nagle się cofnąć.

©℗ Rozmawiał KRZYSZTOF STORY

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego” dostępne na Legimi.pl

Pobierz aplikację Legimi na smartfon, e-czytnik, tablet lub komputer i czytaj wygodnie wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”.

TYGODNIK POWSZECHNY Legimi

weź, czytaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

JACEK

Podsiadło: *Codzienne zadaniowanie*

Przepraszam, że żyję. Miałem umrzeć, a wydobrzałem. Głupio wyszło.

Zamiast obiecanego felietonu z relacją z pogrzebu proponuję podobny felieton poświęcony memu ozdrowieniu. Jeśli nie wyrażasz zgody na przeczytanie felietonu, zaprzestań czytania poprzez odwrócenie oczu. Pamiętaj jednak, że czytając felieton, uzyskasz nawet do 5500 znaków możliwych do przeczytania. Jednocześnie informuję, że w związku z troską o bezpieczeństwo czytelników i stałe podnoszenie poziomu moich usług w każdej chwili mogę ci tak pojechać po rajtuzach, że cię rodzona matka nie pozna, chyba że po brakach w wykształceniu.

W pierwszych dniach po zakażeniu czułem się świetnie. Wręcz czułem, że żyję! Pierwsze wyraźne obniżenie nastroju odczułem, kiedy sztuczny głos naśladujący Jaruzela wprowadzającego stan wojenny zadzwonił i oznajmił – a mówił mi na ty, tak jak ja Państwu przed chwilą – że mam ustawowy obowiązek zainstalowania opiewanej już tutaj aplikacji Kwarantanna Domowa. Potem dostałem sms „Jestes na kwarantannie. Masz ustawowy obowiazek uzywania aplikacji Kwarantanna Domowa. Jest dostepna w Google Play, AppStore i AppGallery". Wiadomość wyglądała bardzo podejrzanie. Nie była podpisana, nie zawierała polskich ogonków, przypominała sms-y przysyłane z Cypru i Filipin. W dodatku jako jej nadawczyni widniała „Kwarantanna", a żadna znana mi panna nie ma na imię Kwarantanna. Wyglądało na to, że mój smartfon jest, bulwa, zainfekowany! Ostrożnie wyszukałem aplikację Kwarantanna Domowa. Jak już pisałem, miała ponad 90 proc. ocen najniższych z możliwych. Jako jej lewe... dele... d e w e l o p e r widniała Kancelaria Prezesa Rady Ministrów. Drżącemi paluchy, śmiertelnie chory, wysłałem do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów zapytanie drogą mailową, czy kancelaria, prezes albo rada mają coś wspólnego z tą aplikacją. Podpisałem się jako Jacek Podsiadło, bo tak mam od chrztu i po ojcu.

W 11 dni później, już po zainstalowaniu aplikacji, zaliczeniu zgona, zmartwychwstaniu itp., otrzymałem odpowiedź. Wynikało z niej, że pani „radca" Departamentu Spraw Obywatelskich Kancelarii Prezesa Rady Ministrów przesłała moje zapytanie „zgodnie z kompetencjami" do „Sekretariatu DRI". Wskutek tego anonim podpisujący się jako „Zespół Aplikacji Kwarantann Domowa", szarmancko zwracając się do mnie per „Szanowna Pani", wyjaśniał, że komunikat bez ogonków, owszem, „jest komunikatem przesyłanym z aplikacji Kwarantanna Domowa, której Administratorem jest Minister Cyfryzacji".

Ponieważ aplikacja, której deweloperem jest Kancelaria Prezesa Rady Ministrów, a administratorem minister cyfryzacji, poinformowała mnie, iż mam ustawowy obowiązek wykonywania nakładanych przez nią zadań, przystąpiłem do wykonywania tychże zadań. Ponadto ze strony gov.pl, która określa te dewiacyjne praktyki jako „codzienne zadaniowanie", dowiedziałem się, że aplikacja umożliwia „podstawową ocenę stanu zdrowia", „ułatwia też kontakt z pracownikiem socjalnym lub z psychologiem", „jej główny cel to ułatwienie i usprawnienie odbywania obowiązkowej kwarantanny", a „wizyty policji możecie się spodziewać w dowolnym momencie kwarantanny. Aplikacja ich nie zastępuje, ale uzupełnia".

Od początku widać było, że aplikacja jest do dyni. Jednak przez szacunek dla ministra cyfryzacji włożyłem ją sobie wraz ze smartfonem pod pachę. Podstawowa ocena stanu mojego zdrowia nie wypadła pomyślnie. Pogrążyłem się w depresji. Postanowiłem skontaktować się za pomocą aplikacji z psychologiem. Klikałem „Wybierz język", „Zobacz mapę" i w ogóle wszystko po kolei, jednak psycholog się nie zgłaszał. Znalazłszy przycisk „Zgłoszenie problemu" zgłosiłem w ciągu jednego dnia ok. 40 problemów, jednak nie wiem jakich, komu i czy na pewno. Wydaje mi się, że jedyna możliwość, jaką przycisk dawał, to możliwość bezskutecznego wciskania go. Po kliknięciu przycisku „Infolinia" smartfon wyświetlił informację, że łączy mnie z numerem zidentyfikowanym jako „Podejrzenie spamu". Infolinia „Podejrzenie spamu" nadaje w kółko w trzech językach komunikat o innej infolinii, na którą można zadzwonić „jeśli masz pytania", podaje nawet jej numer. Po skorzystaniu z niego (smartfon informuje, że dzwoni się do powiatowej stacji sanitarno-epidemiologicznej w Pile) miłym zaskoczeniem dla schorowanej osoby poszukującej pomocy psychologicznej jest fakt, że może posłuchać nagranych prawdziwych głosów, które zwracają się do niej grzecznie („mogą Państwo"!). Co więcej, infolinia spełnia marzenie o rozmowie z Prawdziwym Człowiekiem na temat obsługi aplikacji Kwarantanna Domowa!!!

Po wybraniu tej opcji, powiatowa stacja sanitarno-epidemiologiczna w Pile przez 8 minut nabulwiała mnie po uszach wesołą, porywającą do tańca i potwornie przesterowaną melodyjką. Mało nie umarłem ze śmiechu. Następnie zgłosiła się „infolinia techniczna aplikacji Kwarantanna Domowa" w postaci pani Joanny, która uprzejmie przedstawiła mi się z nazwiska. Uczyniłem to samo, przeprosiłem, że żyję, i zapytałem, jak za pomocą aplikacji skorzystać z pomocy psychologicznej. Był to początek trwającej 25 minut rozmowy („Ta aplikacja ma wiele błędów..."; „Tam powinien pan wejść w takie trzy kropki i tam powinna być taka opcja..."; „Ja pana na chwilę wyciszę i sprawdzę", „To ja się sam spróbuję wyciszyć, a pani niech sprawdzi dokładnie"), z której dowiedziałem się, że za pomocą aplikacji mogę co najwyżej o pomoc psychologiczną nie poprosić.

Przepraszam, że żyję, ale to dlatego, że mam końskie zdrowie. Następnym razem napiszę, ihaha, jak mi się żyje po covidzie. ©

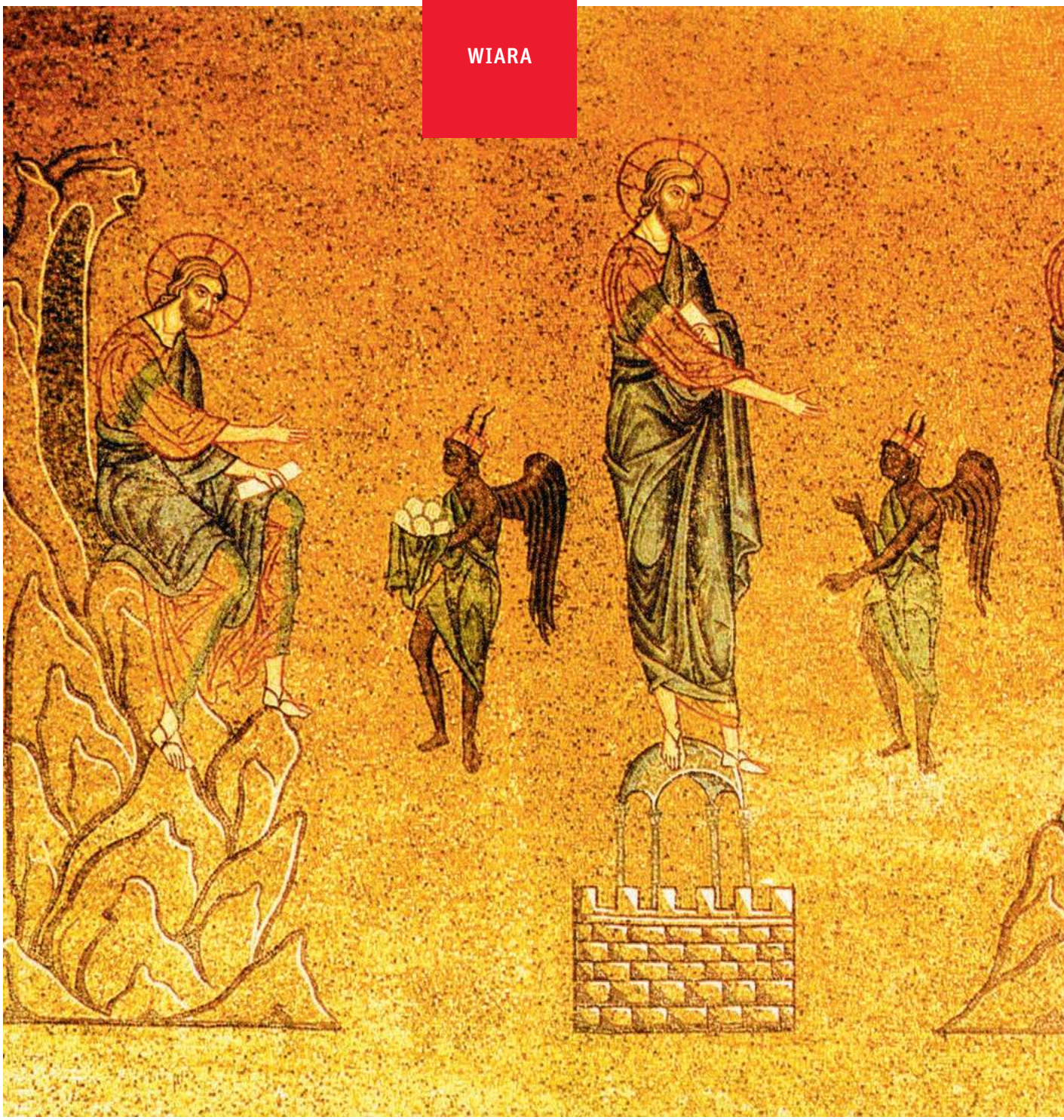

WIELKI POST KOŚCIOŁA

Zaraz po doświadczeniu bliskości Ojca czekała na Jezusa pustynia i trzy szatańskie pokusy. Chrześcijanie idą tą samą drogą.

PIOTR SIKORA

WIKIPEDIA / DOMENA PUBLICZNA

Kuszenie Chrystusa, mozaika w bazylice św. Marka w Wenecji, początek XII w.

Kryzys Kościoła, w którym uczestniczymy, ma wiele wymiarów. Jednym z nich jest sekularyzacja rozumiana jako słabnięcie skostniałej instytucji, tracącej kontakt zarówno z żywym doświadczeniem religijnym leżącym u źródeł tradycji, która tę instytucję stworzyła, jak i z egzystencjalnym doświadczeniem i mentalnością współczesnych sobie ludzi. W konsekwencji instytucja traci wpływ na społeczeństwo – zarówno w wymiarze kultury duchowej, jak i polityki.

Ten aspekt kryzysu może być procesem bolesnym, zwłaszcza dla ludzi związanych z kościelną instytucją, jest jednak stosunkowo mało szkodliwy dla tych wszystkich, których egzystencja jest od niej niezależna. Można nawet spotkać się z teologiczną opinią, że stanowi szansę oczyszczenia Kościoła z niepotrzebnych, „światowych" naleciałości, okazję powrotu do ewangelicznych źródeł, do tego, co stanowi istotę – tj. do bycia przestrzenią głębokiego duchowego doświadczenia.

Kryzys katolicyzmu jest jednak głębszy – nie dotyczy samej instytucji. W ostatnich latach na jaw wychodzą także ciemne strony tych miejsc Kościoła, które przez długi czas wydawały się jego nadzieją, „owocem" sekularyzacyjnego oczyszczenia – tj. żywych duchowo wspólnot i ruchów, w których wielu ludzi odnajdywało środowisko przeżyć religijnych. Okazuje się, że w wielu tych wspólnotach dochodziło do nadużywania władzy, przestępstw seksualnych i nadużyć finansowych. Najgłośniejsze takie przypadki dotyczą Wspólnoty Błogosławieństw i jej liderów: Brata Ephraima i Philippe'a Madre'a, wspólnoty L'Arche i Jeana Vaniera oraz braci Thomasa i Marie-Dominique'a Philippe'ów, a ostatnio ekumenicznej wspólnoty z Bose i jej założyciela Enzo Bianchiego. W Polsce w ostatnim roku dowiedzieliśmy się, jak strasznych czynów dopuścił się w prowadzonym przez siebie duszpasterstwie akademickim dominikanin Paweł M. Od podobnych negatywnych zjawisk nie są wolne także niektóre inne charyzmatyczne wspólnoty.

Pojawia się zatem pytanie o związek intensywnych przeżyć religijnych i rozmaitych patologii prowadzących do ludzkiej krzywdy. Gdy przyjrzymy się chrześcijańskiej tradycji (a także innym tradycjom religijnym), pokaże się zasadność tego pytania: wielu mistrzów duchowości dostrzegało, że podążanie duchową ścieżką wiąże się z wieloma pokusami i możliwością aberracji. Tradycja chrześcijańska dostrzega tę niebezpieczną możliwość już od samego początku – wedle ewangelicznej narracji napotkał ją sam Jezus.

Wzorzec Jezusa

W najstarszej z ewangelii kanonicznych znajduje się opis mistycznego przeżycia Jezusa, które stoi u źródeł Jego działalności: „W owym czasie przyszedł Jezus z Nazaretu w Galilei i został przez Jana zanurzony w Jordanie. Wychodząc natychmiast z wody, ujrzał rozwierające się ↦

↦ niebo i Ducha jak gołębicę zstępującego na siebie. A z nieba odezwał się głos: »Tyś jest mój Syn umiłowany, w Tobie mam upodobanie«. Zaraz też Duch wyrzucił Go na pustynię. Czterdzieści dni przebył na pustyni, kuszony przez szatana. Żył tam wśród zwierząt, aniołowie zaś usługiwali Mu" (Mk 1, 9-12).

Doświadczenie Jezusa – tuż po uczestniczeniu w rytuale zanurzenia w wodzie – ma kilka aspektów: wizję boskiej rzeczywistości (otwartego nieba), napełnienie Bożą mocą (Duchem/wiatrem/tchnieniem) oraz nową świadomość intymnej relacji z Bogiem (Bożego synostwa, bycia kochanym przez Boga).

Jednym z kluczowych motywów tradycji chrześcijańskiej jest motyw naśladowania Jezusa. W czasach nowożytnych skojarzony został z prywatną pobożnością, lecz możliwe jest także bardziej wspólnotowe pojmowanie tej idei. Nie chodzi w niej bowiem jedynie o naśladownictwo jednej postaci historycznej. Na głębszym teologicznie poziomie chodzi raczej o to, że cały Kościół jest – wedle słów Pawła z Tarsu – ciałem Chrystusa, albo – jak metaforycznie opisuje to Ewangelia Jana – o to, że On jest winnym krzewem, którego my jesteśmy latoroślami.

Doświadczenie Jezusa może więc być uznane za wzorcowe dla każdego duchowego (mistycznego) doświadczenia chrześcijańskiego. Wszystkie elementy „wzorca" są bowiem mniej lub bardziej wyraźnie obecne w religijnych doświadczeniach poszczególnych chrześcijan – także wtedy, gdy przeżywają je we wspólnocie, a więc jako Kościół.

W kontekście duchowego kryzysu Kościoła nie można jednak przeoczyć tego, co stało się potem – tj. „wyrzucenia" Jezusa przez Ducha na pustynię i doświadczenia pokusy. Owszem, narracja Ewangelii Marka, wspominając o życiu wśród zwierząt i „anielskiej służbie", czyni wyraźną aluzję do Księgi Rodzaju i opisanej w niej rajskiej sytuacji człowieka zaraz po stworzeniu. Jezus jest tu przedstawiony jako Nowy Adam. Ale właśnie przez to ujawnia się jego bliskość nie tylko z Bogiem, lecz także z nami i naszą życiową sytuacją.

W wizji świata dzielonej przez autora tekstu oraz jego pierwszych czytelników Adam nie był bowiem pojmowany jako pierwszy egzemplarz gatunku z odległej historycznie przeszłości, lecz jako uniwersalny wzorzec człowieka, który realizuje się i uwidacznia mniej lub bardziej wyraźnie w egzystencji wszystkich ludzi. Jak ujmuje to św. Paweł: „Stał się pierwszy człowiek, Adam, duszą żyjącą, a ostatni Adam duchem ożywiającym. Nie było jednak wpierw tego, co duchowe, ale to, co ziemskie; duchowe było potem. Pierwszy człowiek z ziemi – ziemski, drugi Człowiek – z nieba. Jaki ów ziemski, tacy i ziemscy; jaki Ten niebieski, tacy i niebiescy. A jak nosiliśmy obraz ziemskiego, tak też nosić będziemy obraz niebieskiego" (1 Kor 15, 45-49).

Pokusą najbardziej diabelską jest wykorzystywanie religijnego doświadczenia – autentycznego albo tylko pozorowanego – do zdobycia władzy nad innymi ludźmi.

Bogactwo

Znamienne, że narracja ewangeliczna w swoich nawiązaniach do Księgi Rodzaju zamienia rajski ogród na pustynię. Można to zrozumieć jako przyznanie, że choć na poziomie ducha dostępne jest nam pierwotne doświadczenie bezpośredniej bliskości Boga, przeżywamy ową bliskość w warunkach „pustynnego wygnania" – tj. w świecie, w którym nasze życie stale jest zagrożone, a przeżycie wymaga wysiłków i wyrzeczeń. Nasza egzystencja ma aspekty bardzo dobrze wyrażane przez symbolikę liturgicznego okresu, w który właśnie wchodzimy – Wielkiego Postu.

Innymi słowy: Kościół – rozumiany jako wspólnota wspólnot podążających ścieżką doświadczenia duchowego – istnieje na pustyni, w sytuacji „postu" i w takich okolicznościach musi zmierzyć się z pokusami. Mogą one uczynić z jego religijnego przeżycia aberrację prowadzącą do cierpienia i destrukcji osób, które owe doświadczenie przeżywają. Na Kościół czeka to samo, co czekało na Jezusa – Nowego Adama, którego obraz w sobie nosimy.

Natura tych pokus i sposób, w jaki Jezus je przeszedł, jest bardziej szczegółowo opisana w ewangeliach powstałych nieco później niż Marka – Mateusza i Łukasza (poniżej postępować będę za wersją Mateusza).

Pierwsza z pokus dotyczy wykorzystania boskiej mocy, którą jesteśmy ogarnięci, do złagodzenia trudów materialnej egzystencji, do osiągnięcia materialnego bezpieczeństwa i wygody: „A gdy przepościł czterdzieści dni i czterdzieści nocy, odczuł w końcu głód. Wtedy przystąpił kusiciel i rzekł do Niego: »Jeśli jesteś Synem Bożym, powiedz, żeby te kamienie stały się chlebem«. Lecz On mu odparł: »Napisane jest: Nie samym chlebem żyje człowiek, lecz każdym słowem, które pochodzi z ust Bożych«" (Mt 4, 2-4).

Można oczywiście spytać, jaki jest związek intensywnego religijnego doświadczenia z możliwością materialnej *prosperity* – jak można wykorzystać to pierwsze w celu osiągnięcia tego drugiego? Okazuje się jednak, że taki związek istnieje – po pierwsze, bywa, iż intensywne przeżycie religijne wyposaża człowieka, który przez nie przeszedł, w charyzmę i siły do zwiększonej aktywności także w tych dziedzinach, które przynoszą materialne profity. Po drugie, osoby poszukujące dopiero takiego przeżycia są niejednokrotnie gotowe ponosić spore koszty materialne, by tylko zyskać przychylność tych, których uznają za przewodników i mistrzów duchowych. Łatwo tę gotowość wykorzystać dla własnego wzbogacenia się. Jak pokazuje historia – także historia Kościoła – ulegano pokusie wykorzystania wspomnianych własnych zdolności i ofiarności innych.

Odpowiedź Jezusa na tę pokusę polega na ponownym skierowaniu uwagi na właściwy przedmiot religijnego doświadczenia i mądrość w nim ukrytą. Szatańska pokusa sugeruje, by z celu uczynić środek, narzędzie zdobycia czegoś innego. Jezus przypomina: niech cel (otwarcie na głos Boga) pozostanie celem samym w sobie. Z jednej strony taka koncentracja może wiązać się z materialnymi kosztami – zarówno dla całej wspólnoty, jak i dla poszczególnych jej członków. Z drugiej – czy autentyczna świadomość bliskości Boga nie daje takiego poziomu satysfakcji z życia, że gorączkowe dążenie do materialnego sukcesu staje się niepotrzebne?

Jeśli tak, to pojawia się tu kryterium, którym osoby poszukujące religijnego doświadczenia mogą się zasadnie kierować: nie idź do wspólnot, które są bogate, a tym bardziej tam, gdzie wymaga się od ciebie materialnej ofiarności na rzecz

tych, którzy ku religijnemu doświadczeniu prowadzą.

Pewność i chwała

Kolejna pokusa, którą przeszedł Jezus i której doświadcza Kościół poszukujący duchowego doświadczenia, jest związana nie tyle z dobrami materialnymi, ile z niezwykłymi zjawiskami dającymi pewność działania Boga oraz z ludzkim podziwem. Czytamy w tekście Pisma: „Wtedy wziął Go diabeł do Miasta Świętego, postawił na narożniku świątyni i rzekł Mu: »Jeśli jesteś Synem Bożym, rzuć się w dół, jest przecież napisane: Aniołom swoim rozkaże o tobie, a na rękach nosić cię będą, byś przypadkiem nie uraził swej nogi o kamień«. Odrzekł mu Jezus: »Ale jest napisane także: Nie będziesz wystawiał na próbę Pana, Boga swego«" (Mt 4, 5-7).

Wśród biblistów toczą się spory, do czego dokładnie odnosi się określenie „narożnik świątyni". Badacze zgadzają się jednak, że chodzi o miejsce widoczne dla licznych pielgrzymów przybywających do Świętego Miasta. Skok z tego miejsca zakończony bezpiecznym lądowaniem, niemożliwym dla zwykłego śmiertelnika, wzbudziłby zapewne sensację jako zjawisko nadprzyrodzone. Istnieją świadectwa, że w tamtym czasie rozpowszechniony był pogląd, że mesjasz – gdy przyjdzie – będzie się unosił w powietrzu. Szatan namawia zatem Jezusa do działania, któreby jednocześnie dało pewność, że niedawne przeżycie znad Jordanu nie było złudzeniem, i zapewniło religijne uwielbienie tłumów.

Przed podobną pokusą stają ludzie i wspólnoty podążający duchową ścieżką: niech się wśród nas ujawnią niezwykłe charyzmaty, niech się dzieją cuda proroctw i uzdrowień, niech dadzą nam pewność, że to, co przeżywamy, pochodzi od Boga i nie jest złudzeniem! Pragnienie cudowności dającej pewność splata się z innym – próżnością, czerpaniem satysfakcji z podziwu innych, traktujących nas jako ludzi duchowo zaawansowanych, bliskich Bogu, niemal świętych. Dotyczy to także całej wspólnoty – która chce roztaczać wokół siebie nimb miejsca szczególnie przez Boga wybranego, przestrzeni, w której z całą pewnością ma miejsce nadprzyrodzone działanie.

By wymknąć się tej pokusie, trzeba – dotyczy to również całego Kościoła – zdecydować się na post, czyli niezaspokojenie naszkicowanych wyżej pragnień.

Dojrzalsza jest ciemna niepewność wiary.
Nie powinniśmy wystawiać Boga na próbę przez oczekiwanie religijnych fajerwerków w postaci uzdrowień czy proroctw.

Nie wystawiać Boga na próbę – tj. zgodzić się na ciemną niepewność wiary, nie szukać niezaprzeczalnego potwierdzenia, że Bóg u nas (u mnie) działa. Trzeba też zrezygnować z poszukiwania wszelkiej nadzwyczajności, a tym bardziej – z poczucia własnej nadzwyczajności jako osoby czy też wspólnoty szczególnie przez Boga wybranej.

Władza

Ostatnia z pokus opisanych w ewangelii powiązana jest z tą wcześniejszą: „Jeszcze raz wziął Go diabeł na bardzo wysoką górę, pokazał Mu wszystkie królestwa świata oraz ich przepych i rzekł do Niego: »Dam Ci to wszystko, jeśli upadniesz i oddasz mi pokłon«. Na to odrzekł mu Jezus: »Idź precz, szatanie! Jest bowiem napisane: Panu, Bogu swemu, będziesz oddawał pokłon i Jemu samemu służyć będziesz«. Wtedy opuścił Go diabeł, a oto aniołowie przystąpili i usługiwali Mu" (Mt 4, 8-11).

Jest to pokusa władzy. Chodzi już nie tylko o pewność nadzwyczajnego Bożego działania i podziw otoczenia. Chodzi o to, że przeżyte religijne doświadczenie – autentyczne albo tylko pozorowane – zostaje wykorzystane do zdobycia władzy nad innymi ludźmi. Jest to pokusa najbardziej diabelska – stąd słowa szatana: „jeśli mi oddasz pokłon" – a więc najbardziej destrukcyjna, w swojej skrajnej postaci niosąca ogrom cierpienia.

Nie można przeoczyć, że motyw władzy nad ludźmi zdobytej za pomocą religijnych środków pojawia się niemal we wszystkich ujawnionych ostatnio skandalach, które wydarzyły się w kościelnej przestrzeni. Zniewolenie taką władzą miało miejsce niemal w każdym przypadku molestowania i gwałtów dokonywanych przez księży i innych liderów kościelnych wspólnot. A nawet tam, gdzie nie dochodziło do naruszenia nietykalności cielesnej, były krzywdy w sferze psychicznej i duchowej: skutek manipulacji prowadzącej do uzależnienia członków od wspólnoty i jej liderów.

Warto jednak pamiętać, że ostatnia z diabelskich pokus może przybrać postać bardziej subtelną, a mniej radykalną. Szatańskie „dam ci to wszystko" może odwoływać się do pozornie dobrego pragnienia, by wszyscy ludzie przyjęli nasze przesłanie i przyłączyli się do naszej wspólnoty. Samo to pragnienie nie jest jeszcze złe, ale łatwo może przybrać postać, która bałwochwalczo absolutyzuje własną tradycję. Dlatego odpowiedź Jezusa jest jednoznaczna: jedynie Bogu samemu można oddawać pokłon, tylko On jest absolutny – co znaczy, że takiego statusu nie ma żadna ludzka wspólnota.

W tej perspektywie post Kościoła, który pozwala przejść ostatnią pokusę za wzorem Jezusa, wiąże się z rezygnacją z uniwersalistycznej ambicji, by cały świat był „nasz". Jest to zgoda, że świat nie jest nasz, lecz Boga. Wyrazem boskiej stwórczej mądrej woli jest zaś – jak formułuje to wspólna deklaracja papieża Franciszka i imama Ibn Tayeba – „pluralizm i różnorodność religii, koloru skóry, płci, rasy i języka (...) Ta boska Mądrość jest źródłem, z którego wywodzi się prawo do wolności wiary i wolności do bycia różnymi".

Na poziomie bliższym naszemu indywidualnemu doświadczeniu post ten – wygaszenie diabelsko rozpalonego pragnienia, by świat był nasz – wyraża się w rezygnacji z prób politycznego zdominowania społeczeństwa, ale także w takiej prezentacji ewangelicznego przesłania, które pomaga każdej i każdemu wyzwalać się z rozmaitych zniewoleń i ograniczeń, osiągać dojrzałą zdolność samodzielnego myślenia i podejmowania autonomicznych decyzji, a ostatecznie – podążania bez lęku własną duchową drogą.

Historia Jezusa, w którą w Wielkim Poście wchodzi każda chrześcijanka, każdy chrześcijanin i cała wspólnota Kościoła, ma swoją jasną i ciemną stronę. Jest w niej doświadczenie „otwartego nieba" – bliskości Ojca, napełnienia Duchem. Jest w niej jednak i niebezpieczeństwo. Nasz Mistrz pokazał, jak wymknąć się diabelskim pułapkom: nie szukać materialnego zabezpieczenia, duchowej pewności, podziwu i jakiejkolwiek władzy. Czy Kościół jest na to gotowy?

©℗ PIOTR SIKORA

Święta przemoc

SALVATORE CERNUZIO, AUTOR KSIĄŻKI O PRZEMOCY PSYCHICZNEJ W ŻEŃSKICH KLASZTORACH:

Proces formacji polega na niszczeniu indywidualności. Zakonnica ma się stać „czystą kartą", wypraną z wszystkich cech osobowości.

EDWARD AUGUSTYN: Mobbing, szantaż emocjonalny, publiczne upokarzanie to – jak wynika z Twojej książki – codzienność w zakonach żeńskich.

SALVATORE CERNUZIO: Myślę, że nie ma zakonu, zgromadzenia czy instytutu religijnego, który byłby wolny od przemocy psychicznej i nadużycia władzy. Przypuszczam, że każda z zakonnic doświadczyła jej nawet nie raz, w większym lub mniejszym stopniu. Czasem jest to przemoc bardzo subtelna, trudna do rozpoznania i wywołująca poczucie winy u ofiary.

W zakonach męskich tego problemu nie ma?

Na pewno jest. Wszyscy płyniemy w tej samej łódce. Z mobbingiem można spotkać się wszędzie – w pracy, szkole, domu, instytucjach kościelnych. Tylko pytanie: czy się go zauważa i jak się na niego reaguje? Czy jest ktoś, kto nam pomoże, zaniepokoi się naszą sytuacją, czy też zostaniemy z problemem sami? W zgromadzeniach zakonnych, zwłaszcza żeńskich, pewnych zachowań w ogóle nie uważa się za przemoc. Na przykład – upokarzania sióstr. To środek na drodze ku zakonnej doskonałości. Zakonnice mają się umartwiać i cierpieć, żeby się uświęcić. Mówi się im, że posłuszeństwo, rozumiane w sposób bardzo anachroniczny, jako spełnianie każdej, nawet najbardziej absurdalnej woli przełożonej, to spełnianie woli Bożej.

Opisujesz historie 11 kobiet, byłych i obecnych zakonnic, z różnych krajów. Czy jest jakaś wspólna przyczyna ich problemów?

Powiedziałbym, że jest nim zamknięcie. Nie tylko fizyczne, jakim jest klauzura. Także zamknięcie wynikające z mentalności. Z przekonania, że wszystko musi pozostać za murami klasztoru. Zakony kobiece są dużo bardziej odizolowane od świata niż męskie. Prosty przykład: problemy ze zdrowiem, przede wszystkim psychicznym, ale też fizycznym, trzeba ukrywać, bo mogą przynieść wstyd zgromadzeniu. Stąd unikanie jakiejkolwiek pomocy z zewnątrz.

Aleksandra, jedna z bohaterek książki, opowiada, że przełożona nie zgadzała się na jej wizytę u lekarza. Bagatelizowała chorobę, kazała leczyć się domowymi sposobami. Inna z dziewczyn, Thérèse, mówi: „Siostry nie chodzą do psychologa".

W seminariach duchownych, diecezjalnych czy zakonnych klerycy mają zapewnioną pomoc psychologów czy psychoterapeutów. W zgromadzeniach żeńskich to wciąż rzadkość.

Chyba że, jak w przypadku Marii Eleny, psychologiem jest inna zakonnica. Która potem i tak o wszystkim informuje przełożoną.

Profesor Tonino Cantelmi, znany rzymski psychoterapeuta – rozmawiam z nim pod koniec książki – opowiedział mi o przypadku siostry zakonnej, która miała ataki paniki. To zdarza się wielu osobom. Jedyna rada, którą ta dziewczyna otrzymywała w swoim zgromadzeniu, brzmiała: musisz się więcej modlić, więcej pracować, zintensyfikować życie duchowe. Aż doszło do stanu patologicznego. Gdyby od początku miała profesjonalną pomoc, udałoby się uratować równowagę jej i całej wspólnoty.

Jakie są tego konsekwencje?

Pogorszenie stanu zdrowia, utrata powołania, depresja, myśli samobójcze. Wiem, że niektóre z dziewcząt, z którymi rozmawiałem, przez to przechodziły, nawet jeśli w książce nie mówią o tym wprost.

Bezwzględność, chłód, obojętność pojawia się w opowieściach wielu bohaterek Twojej książki. Jedną z nich przełożona poinformowała o śmierci matki tydzień po otrzymaniu tej wiadomości. Nie tylko nie pozwoliła jej jechać na pogrzeb, ale nie okazała cienia serdeczności czy współczucia.

Rozmawiamy o rzeczywistości, w której decyzja o losie i życiu pojedynczej siostry jest w rękach jednej osoby – przełożonej, która zarządza wspólnotą w sposób całkowicie arbitralny, a czasem okazuje się osobą niestabilną psychicznie, o zaburzonych emocjach, co wpływa na atmosferę w całym instytucie czy zgromadzeniu.

Jak przełożona Marceli w jednym z klauzurowych klasztorów w Rzymie.

To skrajny przypadek. Założycielka zgromadzenia była tam przez 35 lat przełożoną i ekonomką. Decydowała sama o wszystkim. Oczywiście nie w każdym klasztorze tak jest i nie wszystkie przełożone są takie.

Anne-Marie, pochodząca z Kamerunu, opowiada o poniżeniach, z jakimi spotkała się podczas nowicjatu w jednym z klasztorów w USA. Przełożoną była Polka, rasistka.

Niektóre zakonnice są traktowane gorzej ze względu na kolor skóry czy pochodzenie. Ale nie chodzi o to, by przywoływać skrajne przypadki. Upokarzanie, poniżanie czy robienie na złość to stały, powiedziałbym, normalny element życia zakonnego. I nikt tego nawet nie nazywa przemocą.

Oczywiście siostry z obcych krajów na pewno są w trudniejszej sytuacji. Także tu, we Włoszech. Nie mogą liczyć na wsparcie rodziny czy wspólnoty parafialnej. Gdy taka kobieta odchodzi z klasztoru, do którego wstąpiła przed 30 laty, nie ma dokumentów, wykształcenia, pracy, pieniędzy. Nie może wrócić do siebie, choćby dlatego, że nie stać jej na bilet lotniczy. Zdarza się, że trafia na ulicę. Niedawno doszło do samobójstwa zakonnicy z Indii. Przyczyny nie są znane, można się tylko domyślać. Gdy nie masz znikąd wsparcia, a nie dajesz już rady, nie widzisz

TOMASZ WIECH / AGENCJA WYBORCZA.PL

Zakonnice na Małym Rynku w Krakowie, luty 2009 r.

żadnego dobrego wyjścia. Nie jest łatwo porzucić dotychczasowe życie po wielu latach. Nie jest łatwo, mając lat 50, wymyślić się na nowo, znaleźć pracę, dom i miejsce w społeczeństwie.

Kilka z Twoich bohaterek przeszło przez schronisko dla bezdomnych byłych zakonnic. Co to za instytucja?

Właściwie to nie jest schronisko dla byłych zakonnic. Mówimy o dwóch ośrodkach w Rzymie, założonych w 2017 r. przez siostry skalabrynianki, dla kobiet potrzebujących wsparcia: imigrantek, samotnych czy młodocianych matek, ofiar przemocy domowej. Gdy potem trafiła do nich była zakonnica, bezdomna, uznały, że trzeba stworzyć specjalny program dla takich osób, by pomóc im odzyskać równowagę mentalną i duchową. Do tej pory skorzystało z niego pięć byłych zakonnic – poszły do szkoły, znalazły pracę.

Zakony werbują młode dziewczęta, składając im wiele obietnic, roztaczając piękne wizje, okazując serce i troskę. Ale później, gdy kobieta zmieni zdanie i postanawia odejść, zostawiona jest sama sobie.

I traktowana jak zdrajczyni albo opętana. Musi zniknąć. Natychmiast. Wielu ludzkim problemom można by zapobiec, gdyby w zgromadzeniu była osoba, która pomoże w takich sytuacjach. Także ekonomicznie. Jedna z byłych zakonnic powiedziała pół żartem, że powinna dostać odprawę za kilkanaście lat pracy. To dobry pomysł. Nie rozumiem, dlaczego zgromadzenia nie mogłyby mieć specjalnego funduszu na wsparcie dla odchodzących sióstr. Choćby na pierwsze dwa, trzy miesiące.

ARCHIWUM PRYWATNE

SALVATORE CERNUZIO jest dziennikarzem portalu Vatican News. Wcześniej pracował jako watykanista w agencji Zenit i dzienniku „La Stampa". Książka „Il velo del silenzio" ukazała się pod koniec 2021 r. nakładem Edizioni San Paolo.

W Twojej książce prawie nie mówi się o wykorzystaniu seksualnym, choć co najmniej jedna z bohaterek go doświadczyła.

To prawda. Ale nie chodziło mi o szukanie sensacji czy powtarzanie plotek. Chciałem sięgnąć do istoty problemu, która – jak mówi papież Franciszek – jest w nadużyciu władzy. Z niego rodzą się wszystkie inne, także molestowanie seksualne. Zresztą przeżycia byłych zakonnic, które doświadczyły przez wiele lat mobbingu, upokorzeń, odzierania z godności, psychologowie porównują do traumy osób wykorzystanych seksualnie.

Elisabeth, dziewczyna z Australii, mówi o procesie uprzedmiotowienia, który prowadzi do całkowitej bezwoli: „Gdyby wtedy ktoś chciał mnie wykorzystać seksualnie, poddałabym się, widząc w tym religijną powinność".

Elisabeth opowiada o dekonstrukcji osobowości, niszczeniu indywidualności, co zaczyna się od prostych rzeczy, jak obcięcie włosów czy zmiana oprawek okularów. Potem są kolejne ograniczenia, a w końcu taka pustka i podporządkowanie, że wszystko może się zdarzyć.

Dodam tylko, że bohaterki mojej książki to nie są słabe dziewczęta, o delikatnej psychice, które nie potrafiły się odnaleźć. Mówimy o osobach, które miały własne zdanie i znajdowały ↦

↦ odwagę, by je wypowiedzieć. O kobietach silnych, które chciały realizować swoje powołanie, a jednak stały się ofiarami przemocy.

Może właśnie dlatego miały problemy? Gdyby siedziały cicho, dostosowały się, pewnie by przetrwały.

Cały proces formacji polega na niszczeniu indywidualności. Zakonnica ma się stać „czystą kartą", wypraną z wszystkich cech osobowości.

Czyli to przemoc systemowa?

System sprzyja nadużyciom. Daje przełożonej władzę absolutną, pozwala jej decydować o losie i życiu drugiego człowieka. Wiele zakonnic mi mówiło, że zadawały cierpienie młodszym siostrom i traktowały je tak, jak same były kiedyś traktowane. Międzypokoleniowy łańcuch. Dopiero po odejściu z zakonu zrozumiały, że tak były uformowane.

I nikt z tym nic nie robi?

Władze kościelne nie interweniują, bo zwykle nie mają pojęcia, że tak się dzieje. Nie usprawiedliwiam ich, mówię o faktach – siostry nie piszą skarg do Watykanu. Nawet doświadczone zakonnice nie mają na to odwagi i sił. Zresztą zostały wychowane w kulturze milczenia.

To zamknięte światy, niczym małe wyspy, których jest tysiące, więc trudno, by władze kościelne wiedziały o każdym przypadku. Siostry są pozostawione samym sobie. Mało kto ma świadomość, jakie rzeczy dzieją się za klasztornym murem. Ja sam, jako dziennikarz zajmujący się problemami Kościoła i człowiek wierzący, nie miałem o tym pojęcia. Społeczeństwo ma też o nich dużo lepsze zdanie niż o księżach.

Papież Franciszek zareklamował Twoją książkę na spotkaniu z członkami Kongregacji ds. Instytutów Życia Konsekrowanego. Powiedział, że to historie codziennej przemocy – małej, ale zabójczej, niszczącej powołanie. Liczysz, że dzięki opisanym przez Ciebie historiom coś się zmieni?

Chciałbym, żeby inne zakonnice rozpoznały w tych sytuacjach swoje życie. Żeby dostrzegły przemoc – w systemie, w jakim żyją, w zachowaniach przełożonych. Żeby potrafiły powiedzieć – ja też jestem ofiarą. Żeby miały odwagę o tym rozmawiać. Żeby nadużycia nie były już uznawane za normę. To mi zupełnie wystarczy.

Myślisz, że to będzie początek zakonnego #MeToo?

Mam alergię na hashtagi i mainstreamowe akcje. Bólu, z jakim się spotkałem, rozmawiając z moimi bohaterkami, nie da się ująć w modne hasło. Wiesz zresztą, że książka zaczęła się od spotkania z bardzo bliską mi osobą, która po latach zdecydowała się opowiedzieć swoją historię. Zobaczyłem jej zniszczone życie, a nie akcję w mediach społecznościowych.

Ale tak – liczę na obudzenie się dziewcząt i kobiet, które doświadczają przemocy, nawet sobie tego nie uświadamiając. Na to, by żadna z nich nie obwiniała się za doznane krzywdy i cierpienie. By nie mówiła: to moja wina, bo za mało się starałam, za mało pracowałam, za mało modliłam. By kobiety, które przeżywają trudności, spotkały na kartkach mojej książki inne kobiety, które przez to przeszły. Żeby skorzystały z ich pomocy. Tu nie chodzi o bunt, tylko o świadomość.

©℗ Rozmawiał EDWARD AUGUSTYN

POŻEGNANIE

Z ogromnym żalem i smutkiem żegnamy

Jerzego Szperkowicza

wspaniałego autora i człowieka

Składamy wyrazy głębokiego współczucia żonie

pani Hannie Krall

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak

Medycyna wyzwolenia

ZUZANNA RADZIK

Inspirując się Ewangelią, zapewniał biednym najwyższe standardy opieki medycznej. Zmarł Paul Farmer.

„Pomysł, że życie jednych znaczy mniej niż życie drugich, to korzeń tego, co jest nie tak z naszym światem" – powtarzał Paul Farmer, lekarz i założyciel organizacji Partners in Health. Zmarł nagle we śnie 21 lutego, w wieku 62 lat. Osierocił rodzinę i organizację, którą stworzył. To zły moment na odejście tak ważnego orędownika wyrównywania dostępu do osiągnięć medycyny.

Jeszcze niedawno przypominał, że nigdy żadna pandemia czy epidemia nie wyrównywała szans, wręcz przeciwnie: zawsze pogłębiała nierówności i odsłaniała słabe punkty naszych społeczeństw. Apelował o globalną solidarność. Powtarzał, że nie ma trzech światów, tylko jeden. Jego życie było przykładem wcielanej w praktykę wiary, bo nigdy nie ukrywał, że to teologia wyzwolenia Gustava Gutiérreza nadała bieg jego zaangażowaniu.

Kościół ubogich

Farmer to człowiek, któremu łatwo napisać hagiografię. Lista nagród i honorowych wyróżnień w jego życiorysie ciągnie się na ponad 90 stron. Był profesorem medycyny na Uniwersytecie Harvarda i przewodniczącym Wydziału Globalnego Zdrowia i Medycyny Społecznej w tamtejszej szkole medycznej. Autorem setek artykułów naukowych i kilkunastu książek. Bohaterem bestsellerowej biografii i filmu dokumentalnego. Można by powiedzieć: celebrytą świata organizacji pomocowych. Mówił ze swadą, dlatego był zapraszany na tysiące wystąpień publicznych.

Sama usłyszałam go na katolickim Uniwersytecie Notre Dame w Stanach

LIZ CAMPA / MATERIAŁY PRASOWE PARTNERS IN HEALTH

Paul Farmer, współzałożyciel Partners in Health odwiedził Haiti, gdzie jego grupa pracowała nad poprawą opieki zdrowotnej w następstwie huraganu Matthew. Haiti, Les Cayes, 2016 r.

Zjednoczonych, gdzie pracował jego wieloletni przyjaciel i mistrz, Gustavo Gutiérrez. Podczas ogólnie mdłej konferencji o odpowiedzialności globalnej ostro mówił o tym, jakim nieporozumieniem jest zakaz antykoncepcji zestawiony z radykalna biedą. O prawie do kształtowania swojego życia przez kobiety dotknięte brakiem edukacji, biedą i przemocą powiedział na katolickiej uczelni, powodując tak mocny dyskomfort widowni, że do dziś go pamiętam.

Farmer mówił, że Gutiérrez był przez długi czas jego mistrzem, zupełnie o tym nie wiedząc. Dzieliło ich pokolenie, dzieliła ich geografia. Przyszły teolog początkowo planował zostać lekarzem. Gdy w 1971 r. w odległej od Florydy Limie opublikował swoją przełomową książkę o teologii wyzwolenia, która kazała interpretować wiarę z perspektywy biednych i marginalizowanych, Farmer miał zaledwie 11 lat. Wychowany w katolickiej rodzinie, chodził do kościoła z obowiązku i potwornie się nudził, a już w liceum zrezygnował z praktyk – bez sprzeciwu rodziców.

Przełom przyszedł w college'u. Zdolny uczeń trafił na Uniwersytet Duke, gdzie usłyszał więcej o wojnach prowadzonych w Ameryce Środkowej, a także o roli duchownych i Kościołów w oporze i walce o sprawiedliwość społeczną. „Jeden Kościół, jeden świat" – powtarzał potem wielokrotnie. Gdy w kaplicy uniwersyteckiej zebrano się na liturgii żałobnej po zabójstwie arcybiskupa Oskara Romero, te same słowa liturgii, które wcześniej go nudziły, wypowiadał w poczuciu, że inspirują.

Teologiczne inspiracje

Drugim – obok postaci i śmierci abp. Romero – formacyjnym doświadczeniem z tego czasu była dla młodego Farmera lektura świadectw o imigranckich pracownicach rolnych i wspierających ich zakonnicach, zwłaszcza o siostrze Juliannie DeWolf, z którą miał wkrótce podjąć współpracę. Uderzył go kontrast między jego własnym komfortowym życiem na kampusie a społeczną marginalizacją imigrantów. Wiedział, że coś jest nie tak.

Jako dwudziestoparoletni student Uniwersytetu Harvarda trafił na Haiti – i to tam zaczęła się misja jego życia. Po skończeniu studiów wrócił na wyspę i zaczął na niej spędzać większość roku. W bliskości biedy i cierpienia zainteresował się katolicką nauką społeczną. Natrafił na książki Gutiérreza, a jego opcja preferencyjna na rzecz ubogich pozwoliła nadać sens temu, co widział wokół. Powtarzał: „Na długo zanim się spotkaliśmy, był moim intelektualnym kompanem w rozumieniu biedy".

Na Haiti spotkał innego księdza, który zajmował się edukacją najbiedniejszych. Usłyszał od niego, że skoro ma zostać lekarzem, mógłby się przyłączyć. Potem Farmer opowiadał: „Chodziliśmy niewielką grupą po wioskach i pytaliśmy ludzi, co widzieliby jako odpowiedni system ochrony zdrowia. Ludzie trochę się z nas śmiali, ale mówili, że potrzebują szpitala. Myśleliśmy, że może będzie potrzebny system społecznych klinik, a oni chcieli szpitala. Dobrego szpitala, takiego – jak ktoś powiedział mi w 1984 r. – że jak masz problem ↦

↦ z urodzeniem dziecka, to tam uratują ci życie".

Po latach zbudowali taki szpital. Paul przez długi czas mieszkał w Cange, na centralnej wyżynie Haiti, tworząc tam infrastrukturę opieki medycznej, w której skład wchodziły szpital i szkoła.

Pierwsze zdanie określające misję Partners in Health, organizacji, którą współzakładał w 1987 r., jest zaczerpnięte z teologii Gutiérreza: „Naszą misją jest zapewnienie ubogim preferencyjnych możliwości korzystania z opieki zdrowotnej". Dalej mowa o budowaniu długotrwałych relacji z siostrzanymi organizacjami w społecznościach dotkniętych biedą, choć sam Farmer śmiał się potem, że jako student niewiele jeszcze wiedział o znaczeniu słowa „długotrwałe". Chcieli jednak, jak mówiła misja Partners in Health, udostępnić osiągnięcia współczesnej medycyny najbiedniejszym i łączyć doświadczenie elitarnych medycznych instytucji z rzeczywistością najbiedniejszych społeczności. Dziś organizacja działa na Haiti, w Rwandzie (gdzie zmarł Farmer) i w wielu innych krajach świata. Zakładając ją, podkreślali: „Nasza misja jest zarówno medyczna, jak i moralna, oparta na solidarności, a nie samej dobroczynności".

Używane meble

I tak chyba żył: pracując na prestiżowej uczelni, szybciej rozdawał pieniądze, niż je zarabiał. Gdy kupił rodzinie dom na Florydzie (by było blisko na Haiti, gdzie pracowali oboje z żoną Didi), znajomi kompletowali im używane meble. Jego model działania był oparty na założeniu, że system jest niesprawiedliwy i stworzony ludzkimi rękoma. To praca z biednymi, walczącymi o poprawę swojej sytuacji, a nie dobroczynność.

Podczas jednego z wielu spotkań ze studentami Farmer podkreślał: „Nie jestem teologiem, ale lekarzem, który stara się działać dla opcji preferencyjnej na rzecz ubogich. Po pierwsze, trzeba rozumieć biedę. Bieda nie jest wypadkiem natury, ale wynikiem sił historii i ekonomii. Ludzie tworzą świat społeczny. Zrozumienie biedy jest przedsięwzięciem męczącym intelektualnie i psychicznie. Wymaga zaangażowania wielu dyscyplin naukowych i słuchania tych, którzy z jej powodu cierpią. Słuchanie to ważny element towarzyszenia, podobnie zresztą jak w medycynie klinicznej. Zrozumienie biedy powinno się wiązać ze staraniami, żeby ją zlikwidować".

Zawsze opowiadał o fascynacji Gutiérrezem, o swojej z nim przyjaźni i o wpływie jego teologii na swój sposób myślenia. Przyznawał, że gdy w 1994 r. poznał twórcę teologii wyzwolenia, przywiózł mu do Limy swoje pierwsze książki, mocno przesiąknięte myśleniem mistrza. Jeśli chodzi o wiarę był dyskretny, ale jego współpracownicy wspominają żywą wyobraźnię religijną, miłość liturgii i Eucharystii, a także częstotliwość używania religijnego języka i symboliki. Po prostu rzadko mówił o tym publicznie, co zresztą potwierdzał o. Gutiérrez: „Dr. Farmer jest nieco nieśmiały i wstrzemięźliwy w wypowiadaniu się o teologii i duchowości". Jednak droga, jaką wybrał jako młody człowiek, była radykalnym wcielaniem chrześcijaństwa w praktykę – tak jak postulowała teologia wyzwolenia.

©℗ ZUZANNA RADZIK

REKLAMA

2CELLOS

WORLD TOUR 2022

13 MAJA 2022

ATLAS ARENA ŁÓDŹ

BILETY: BILETSERWIS.PL

2CELLOS.COM

PRESTIGE MJM WE WSPÓŁPRACY Z ONE FINIX LIVE PREZENTUJE

Prestige MJM

ALBUM W SPRZEDAŻY OD 17 WRZEŚNIA

Prestige MJM · BILET SERWIS · RMF Classic · TYGODNIK POWSZECHNY · VIVA! · TVP STYL · HELIOS · TUŁÓDŹ.PL · TOYA TV · VIXON · PRESS SERVICE

WOJCIECH

Bonowicz: *Notatki z pierwszego dnia*

„Niemożliwe – mówiliśmy sobie – to się nie zdarzy". „Niemożliwe, żeby był aż tak głupi". „Tylko straszy", powtarzaliśmy, może nawet z nutką ironii w głosie. „Oby się sam nie zakiwał". Teraz siedzimy przed ekranami i patrzymy na niemożliwe. Niemożliwe dzieje się na naszych oczach.

Oczywiście ci, którzy uważniej śledzili doniesienia i wnikliwiej czytali analizy, byli przygotowani, że może dojść także i do tego. Ale nawet ich musiała zaskoczyć skala rosyjskiej agresji. Nie mówiło się przecież o marszu na stolicę, o ostrzale zachodniej Ukrainy – te scenariusze uważano za mało prawdopodobne. Rosja koncentrowała wojska na granicy, ale wydawało się, że najważniejszy cel osiągnęła: wracała do międzynarodowej gry jako mocarstwo, z którym trzeba się liczyć. „Putin jest gotów na wiele – podkreślano – ale nie na to, żeby pogrążyć kraj i siebie razem z nim...". Gdy piszę te słowa, jest czwartek 24 lutego, wieczór. Wojska rosyjskie zbliżają się do Kijowa. A Putin zapowiada, że się nie cofnie.

Równolegle rozpoczęła się inna wojna... Wracając po południu z piekarni, mijałem starsze małżeństwo i nie chciałem wierzyć w to, co słyszę: wzburzony mężczyzna tłumaczył swojej żonie, że zdjęcia zasypanych gruzem mieszkań to manipulacja, zrobiono je wiele lat temu podczas innych ostrzałów. Znajoma znajomej rozsyłała esemesy z informacją, że Rosja jest gotowa do negocjacji, o ile Ukraina będzie skłonna... rozmawiać „o kwestiach bezpieczeństwa Moskwy". Tego, co się dzieje w internetach, nawet nie chcę opisywać. Przykro pomyśleć, że nie brak u nas takich, którzy zapewnienia Putina, iż chodzi mu jedynie o „denazyfikację" Ukrainy, potraktowali poważnie. Jak się zachowają, gdy rosyjski przywódca zapragnie „denazyfikować" Polskę?

Takie miały być wojny przyszłości: informacyjne, połączone z manifestacją siły, ale raczej symboliczną. Bez strat w ludziach, nastawione na konfrontację słów i technologii. Putin postawił na bezpośrednie uderzenie – na zniszczenia, krew i śmierć.

Mimo to znalazł się poseł, który nie zagłosował za rezolucją potępiającą rosyjską agresję. Który – to akurat łatwo było przewidzieć. Później na Twitterze zamieścił wpis zredagowany dokładnie wedle rosyjskiej strategii odwracania znaczeń. „Imperatyw humanitarny", napisał poseł, „NIE otwierać terytorium RP na przestrzał, nie tworzyć popytu na migrację uchodźców/nachodźców – ewentualnie uruchomić wahadłowy ruch pociągów... do granicy zachodniej. A poza tym, jasna rzecz, szczególnie żarliwie modlić się...". Poseł znany jest ze swej religijnej żarliwości: niechęć do uchodźców i do zachodniej Europy łączy zawsze z tradycyjnym „Szczęść Boże".

Wielu Ukraińców mieszkających nad Wisłą chce wracać i bronić ojczyzny. Nawet ci, których żony i dzieci są w Polsce, jadą, aby zadbać o bezpieczeństwo rodziców i walczyć o miejsca, w których dorastali i do których zamierzali kiedyś wrócić. „I was też będziemy bronić – mówią jedni – bo inaczej marsz Putina nie zatrzyma się ani w Kijowie, ani we Lwowie...". „Zapomnieliście już, jak to jest żyć w strachu i beznadziei" – dodają inni, a w ich głosie zamiast wyrzutu pobrzmiewa smutna rezygnacja.

„Nie słyszałem wybuchów. Słyszałem, jak sąsiedzi się spotykają – pisze na Facebooku poeta Andrij Bondar. – Będziemy się trzymać. Rosja spłonie w piekle".©

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu pod sygn. akt I Ns 319/20 toczy się postępowanie z wniosku Bronisławy Maciuszewskiej z udziałem Roberta Bańki o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Bańce, c. Józefa i Stanisławy, zm. 17 października 2011 r. w Nowej Dębie.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa, aby wszyscy zainteresowani w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Kielcach toczy się postępowanie w sprawie VIII Ns 1101/21 o stwierdzenie nabycia spadku po Krystynie Kłodawskiej, posiadającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Kielcach, zm. 16 maja 2010 r. W skład spadku po zmarłej wchodzą środki finansowe zgromadzone na rachunku bankowym.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się i udowodnili swoje prawa, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Pewien mądry człowiek, zresztą nasz czytelnik, powiedział o robieniu pism, w tym – tygodników: „Misja bez pieniędzy to utopia. Pieniądze bez misji – to cynizm”.

Łatwo nam się z tym zgodzić, bo „Tygodnik” wydajemy w poczuciu, że nasza wiarygodność jest zbudowana na niezależności od każdej, również finansowej, presji. Inny nie miałby przecież racji bytu. Innego nie chcielibyśmy wydawać. Uznaliśmy, że sponsorem, któremu możemy bezwzględnie zaufać, jesteście Wy, nasi Czytelnicy.
Dzięki Wam „Tygodnik” zachowuje niezależność, również teraz – w dobie kryzysu zaufania, inflacji, w niełatwych dla swobodnej myśli czasach.
A najwspanialsze jest to, że istnieje w świecie wielka wspólnota „Tygodnika Powszechnego”, pismo zaś jest jej dobrem. Planeta, na której jest życie.

Ks. Adam Boniecki

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

OGŁOSZENIE OPP // RYSUNEK JOANNA RUSINEK / FOT. GRAŻYNA MAKARA

Suwerenni dzięki Wam!

Od 20 lat Fundacja Tygodnika Powszechnego działa na rzecz demokracji, wolności i swobód obywatelskich. Trzy pierwsze cele w statucie naszej organizacji pożytku publicznego to:

- pogłębianie i promowanie demokratycznego modelu życia społecznego
- propagowanie modelu dialogu społecznego i rozwoju podstaw instytucji społeczeństwa obywatelskiego
- propagowanie i pogłębianie idei wolności słowa oraz wolnych i niezależnych środków masowego przekazu

---

1%

Przekaż 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego".

WPISZ W ZEZNANIU PODATKOWYM
nr KRS 0000125605

Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:
Santander Bank Polska S.A.

31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji: powszech.net/dar

WRÓG MOJEGO WROGA

Syberyjski niedźwiedź zaprzyjaźnił się z chińskim smokiem. Oba mocarstwa mają jednak sprzeczne interesy, a dysproporcja potencjałów rośnie z każdym rokiem na korzyść Pekinu.

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

Spotkanie przywódców Chin i Rosji, które odbyło się tuż przed rozpoczęciem igrzysk w Pekinie, mogło być najważniejszym z dotychczasowych trzydziestu ośmiu. Dwudziestostronicowe oświadczenie wydane z tej okazji przez Xi Jinpinga i Władimira Putina podkreśla nie tylko bliskie więzy największych autorytarnych państw na świecie, ale też otwarcie rzuca wyzwanie zachodniemu ładowi pod przewodnictwem USA. Pierwsze zimowe igrzyska zorganizowane przez Chiny mogą więc zostać kiedyś zapamiętane jako oficjalny początek nowej zimnej wojny.

Zbliżenie obu krajów następowało stopniowo od drugiej połowy lat 90. XX w. W 2001 r. podpisały one traktat o przyjaźni, cztery lata później uzgodniły ostateczny przebieg wspólnej granicy, a na początku kolejnej dekady Putin ogłosił, że gospodarcza przyszłość jego kraju leży na Dalekim Wschodzie, gdzie dominują Chiny. Przełom we wzajemnych relacjach stanowiła jednak aneksja Krymu przez Rosję w 2014 r. By zrekompensować straty wywołane zachodnimi sankcjami, Moskwa zacieśniła wtedy relacje z Pekinem. Było to naturalne o tyle, że na czele Chin stał już Xi Jinping, którego autorytarna polityka wewnętrzna i asertywne zachowanie wobec zagranicy skutkowały wzrostem napięcia w relacjach z Zachodem. Poza wymianą gospodarczą obydwa kraje intensyfikują też relacje wojskowe, przesuwając wspólne

MIKHAIL SVETLOV / GETTY IMAGES

Spotkanie Władmira Putina i prezydenta Chin Xi Jinpinga, Brasilia, listopad 2019 r.

manewry coraz bliżej obszarów kojarzonych z dominacją NATO i USA – na Morze Śródziemne, Bałtyk i Pacyfik. W październiku 2020 r. chińsko-rosyjska flotylla opłynęła dookoła największą wyspę Japonii Honsiu. Manewr ten określono w Tokio jako „niezwykły".

Teraz uznano, że czas podnieść te relacje na kolejny poziom. Wydany 4 lutego dokument oficjalnie odnoszący się do „międzynarodowej współpracy u początku nowej ery oraz trwałego rozwoju na świecie" mówi dużo o pogłębianiu współpracy chińsko-rosyjskiej w takich obszarach jak wojskowość, loty kosmiczne czy sztuczna inteligencja. Sygnatariusze wyrażają troskę o walkę z pandemią i zmiany klimatyczne, z innych źródeł wiemy też o planach uruchomienia nowego gazociągu. Uwagę przykuwa jednak co innego: fragmenty oświadczenia ↦

↦ poświęcone wspólnej postawie wobec zagranicy.

Chiny pierwszy raz w historii przyłączają się do Rosji w sprzeciwie wobec dalszej ekspansji NATO. Rewanżując się Moskwa krytykuje wraz z Pekinem powstanie AUKUS – aliansu Australii, Wielkiej Brytanii i USA na Dalekim Wschodzie. Oba państwa udzielają sobie także wsparcia w ochronie własnych „kluczowych interesów" i integralności terytorialnej oraz odrzucają mieszanie się obcych sił w ich wewnętrzne sprawy. Co prawda ani razu nie pada tam słowo „Ukraina", ale jest *passus* o konieczności utrzymania stabilności w regionach przygranicznych. Zarazem Rosja, idąc na rękę Pekinowi, uznaje Tajwan za „nienaruszalną część Chin". Obydwa kraje określają siebie jako „światowe mocarstwa" połączone „bezgraniczną przyjaźnią". Podczas rozmów plenarnych Putin zadeklarował nawet, że jest to relacja „bez precedensu".

Spróbujmy zajrzeć, co kryje się pod tą grubą warstwą lukru.

Wyraźne granice przyjaźni

W oczy rzuca się brak zobowiązań sojuszniczych, które obligowałyby drugą stronę do wsparcia w przypadku wojny. Obydwa kraje mogą jednak koordynować swoje działania, grając na osłabienie USA, które nie będą w stanie jednocześnie zapewnić bezpieczeństwa sojusznikom w Europie i na Dalekim Wschodzie. Wojna we wschodniej Europie mogłaby się więc zbiec z planem połknięcia Tajwanu przez Chiny. Wciąż nie oznacza to, że relacje Moskwy i Pekinu, wbrew deklaracjom, pozbawione są nieufności i sprzecznych interesów.

Problem numer jeden stanowi ich pogłębiająca się asymetria. O ile za czasów Związku Sowieckiego rosyjski niedźwiedź górował nad chińskim smokiem niemal w każdej dziedzinie, dziś jest na odwrót. Chiny mają dziesięciokrotnie większą gospodarkę i populację. Co więcej, z analiz wymiany handlowej wynika, że Rosjanie eksportują na południowy wschód głównie surowce, w zamian otrzymując coraz bardziej przetworzone produkty. Jedyną dziedziną, w której Rosja równoważy dziś siłę Chin, jest armia: arsenał nuklearny, technologie, doświadczenie w działaniach wojennych. I tu jednak Chiny szybko nadrabiają dystans, produkując już teraz więcej okrętów oraz dronów wojskowych.

Poza tym przyjaźń rosyjsko-chińska napotyka wyraźne granice tam, gdzie chodzi o pieniądze. W biznesie Chińczycy nie uznają sentymentów. Od czasu aneksji Krymu obustronna wymiana handlowa wprawdzie się podwoiła i wynosi dziś 147 mld dolarów (handel Rosji z Unią Europejską jest nadal wyższy), jednak za istotną część tego wzrostu odpowiada gazociąg Siła Syberii, którego uruchomienie w 2019 r. odbyło się na warunkach Pekinu. Wbrew pierwotnym zamiarom Rosji nie biegnie on przez Mongolię, tylko wprost do Chin, którym udało się też wynegocjować korzystny trzydziestoletni kontrakt. Jeśli po czwartkowym ataku na Ukrainę i nałożeniu sankcji przez Zachód Moskwa znowu poszuka wsparcia w Pekinie, ten zapewne wykorzysta sytuację, będąc pewnym swojej siły przetargowej. Tym bardziej że pomimo wzrostu importu rosyjskiego gazu Chińczycy, dbając o dywersyfikację dostaw, wciąż kupują go więcej w Azji Centralnej. Innym surowcem, który cieszy się u nich niesłabnącym apetytem, jest syberyjskie drewno. Rosjanie od dawna narzekają jednak na brak chińskich inwestycji w tym sektorze. Ścięte drzewa wywozi się po prostu do Chin i tuż za granicą poddaje dalszej obróbce, co pozwala sprzedawać drewno drożej.

Dostarczyciele surowców

Rosja znajduje się wobec Państwa Środka w ambiwalentnej sytuacji. Na azjatyckich połaciach swojego kraju potrzebuje ona kapitału, technologii, a nawet ludzi, wszystkiego zatem, czym dysponują Chiny. Ale chęć szerszego wykorzystania tego rezerwuaru rodzi instynktowne obawy o zdominowanie przez silniejszego sąsiada. Kiedy zatem pojawia się perspektywa otwarcia nowej nitki Jedwabnego Szlaku przez Arktykę, co znacznie skróciłoby podróż chińskich towarów do Europy, Rosja dostrzega dla siebie szansę zarobku. Z chwilą jednak, gdy Chiny zaczynają określać siebie w dokumentach jako „kraj bliski Arktyki", wzbudza to już w Moskwie niepokój o ich faktyczne intencje.

Między innymi dlatego swoim inicjatywom gospodarczym w regionie, jak choćby Wielkiemu Partnerstwu Eurazji, Moskwa stara się nadawać multilateralny charakter, włączając do nich Azję Centralną i kraje Dalekiego Wschodu. Chińska siła pozostaje wtedy bardziej zrównoważona, a Rosja w takich formatach widzi też dla siebie rolę „szeryfa", słabość gospodarki kompensując potencjałem wojskowym.

Rzecz w tym, że Chiny coraz śmielej poczynają sobie i na tym obszarze. Kiedy rosyjskie wojsko weszło ostatnio do Kazachstanu, Pekin od razu zaoferował swoją pomoc. Podobnie dzieje się na terenie innych republik postsowieckich. W zakresie bezpieczeństwa uchodziły one dotąd za strefę wpływów rosyjskich, ale ze swobodą dla penetracji chińskiego biznesu, który nierzadko przekupuje miejscowe elity. Teraz Chiny chronią tu swoje interesy dużo bardziej aktywnie. W Afganistanie wykryto ostatnio chińską siatkę szpiegowską.

Potencjalnych napięć w relacjach dwóch wielkich sąsiadów da się wymienić więcej, choćby tradycyjnie bliskie kontakty Rosji i Indii, które pozostają skonfliktowane z Chinami. Dziś jednak uwagę zwraca przede wszystkim niejednoznaczna postawa Pekinu wobec poczynań Putina z Ukrainą. Na monachijskiej konferencji bezpieczeństwa 19 lutego minister spraw zagranicznych Wang Yi wyraził zrozumienie dla stanowiska Rosji, ale jednak, że każdy kraj ma prawo do zachowania suwerenności terytorialnej, wskazując konkretnie Ukrainę. Opowiedział się też za powrotem do porozumień z Mińska, które dwa dni później zostały definitywnie przez Moskwę pogrzebane. I choć chińska cenzura internetu blokuje dziś antyrosyjskie akcenty, to na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa ONZ, gdy rozpoczynała się inwazja tego kraju na Ukrainę, przedstawiciel Pekinu oświadczył tylko, że konflikt powinien zostać zażegnany dyplomatycznie. Być może jest to mrugnięcie okiem do Zachodu, jakby Chiny chciały się nieco zdystansować od awanturniczych metod swojego „przyjaciela".

Wszystkie te różnice maleją wobec wyzwań, które stoją dziś przed obydwoma mocarstwami. Spoiwem chińsko-rosyjskiej relacji nie jest bowiem sympatia czy zaufanie, ale wspólny przeciwnik.

Inna genetyka

Niedługo po objęciu prezydentury Joe Biden nazwał w wywiadzie Władimira Putina „mordercą" i „człowiekiem bez duszy". Przywódca Rosji odpowiedział mu

telewizyjnym oświadczeniem, wypominając Amerykanom mordowanie Indian, niewolnictwo, współczesny rasizm, a nawet eksplozję atomową w Hiroszimie. Najciekawszy jednak był ten fragment wystąpienia: „Choć oni [Amerykanie] myślą, że jesteśmy tacy sami, my jesteśmy innymi ludźmi. Mamy inną genetykę, kulturowy i moralny kod. Wiemy jednak, jak obronić nasze narodowe interesy". Można uznać to za preludium do późniejszej retoryki Kremla, bliskiej już Pekinowi, a prowadzącej do zawłaszczania języka drugiej strony i odwracania znaczenia słów. Wystarczy spojrzeć na ostatni dokument Putina i Xi.

Obaj nie nazywają siebie autokratami – ich kraje reprezentują rzekomo „udane demokracje" (ang. *successful democracies*). Chiny zresztą od dawna już krytykują USA i Europę za narzucanie innym własnej definicji praw człowieka i demokracji. Stanowić ma to wyraz hegemonii świata Zachodu, odchodzącej w przeszłość. Chińczycy argumentują np., że podstawowym prawem człowieka jest bezpieczeństwo, głównie materialne, a w tej dziedzinie ich kraj ma ostatnio spore sukcesy. Wskazują też, że wybory powszechne (jeden człowiek – jeden głos) torują na Zachodzie drogę do władzy populistom, ciągła zaś rotacja polityków o odmiennych poglądach uniemożliwia stabilny rozwój kraju. Tymczasem Chińczycy twierdzą, że na kierownicze stanowiska wybiera się u nich najlepszych spośród członków partii, ludzi kompetentnych, z doświadczeniem w zarządzaniu administracją. Można oczekiwać, że podobna retoryka, wzmocniona głosem Rosji, stanie się odtąd donośniejsza na forum międzynarodowym.

Władimir Putin i Xi Jinping nie nazywają siebie autokratami. **Ich kraje to rzekomo „udane demokracje".**

Oba kraje hołdują też większej „demokratyzacji stosunków międzynarodowych". NATO prezentowane jest w tej narracji jako anachroniczny sojusz czasów zimnej wojny, podczas gdy wielobiegunowy świat powinien orientować się na Organizację Narodów Zjednoczonych. Opcję stanowią też nowoczesne partnerstwa strategiczne typu Chiny–Rosja, jak mówi Sergiej Ławrow: „całkowicie wolne od ideologii". Z punktu widzenia Pekinu i Moskwy wybór ONZ jest racjonalny. Opinie Zachodu wszak, jak mówi minister Wang Yi, stanowią światową mniejszość i dlatego postępowanie jego kraju wobec Ujgurów w Sinciangu nie spotyka się z dezaprobatą większości członków Komisji Praw Człowieka ONZ. Dodajmy, że zasiadają w niej Chiny, Rosja oraz wiele innych państw, którym daleko do „zachodniego" definiowania demokracji. Podczas ceremonii otwarcia igrzysk olimpijskich chińskie media kadrowały chętnie uśmiechniętą twarz Ujgurki trzymającej znicz, nie wspominając jednak o krajanie sportsmenki z letniej olimpiady w 2008 r., poddawanemu dziś więziennej reedukacji.

Paradoksalnie wspólne dla chińsko-rosyjskiej narracji jest też solidarne podkreślanie prawa do... suwerenności państwowej, co polega na krytyce USA i Europy za działalność „wywrotową" i narzucanie innym swojej „mniejszościowej" ideologii. Jak wytłumaczyć w tym kontekście postępowanie Rosji wobec Ukrainy? Poręcznym kluczem okazuje się argument historyczny: oba kraje stanowią tak naprawdę jedność, o podboju nie może być więc mowy. Kiedy indziej argumenty historyczne zastąpić można humanitaryzmem, np. w obronie „prześladowanej mniejszości rosyjskiej" na terenie państw bałtyckich albo też bezpieczeństwem, gdy na nowo trzeba będzie zaopiekować się „osieroconą", jak mówi Ławrow, Europą Środkową. Takich samych chwytów używają dziś Chiny wobec Tajwanu, ale również i części Morza Południowochińskiego, które uważają za swoje. By to udowodnić, odwołują się do odległej historii, negując prawo międzynarodowe. Tak samo, w chwilach zaostrzania się relacji Pekin–Tokio, Chińczycy przypominają, że japońska Okinawa należała kiedyś do nich.

Strach i złość satrapów

Były premier Australii Kevin Rudd, znawca Chin władający językiem tego kraju, opisywał kiedyś spotkanie Putina i Xi w Szanghaju, pierwsze po aneksji Krymu przez Rosję. Obaj przywódcy nie zaprzątali sobie głowy Ukrainą czy Tajwanem, mowa była natomiast o „kolorowych rewolucjach". Ten zwrot, nieco mimochodem, pada również w ostatniej deklaracji i kto wie, czy nie on jest tam najważniejszy. ↦

TYGODNIK POWSZECHNY

Bartoszewski – świadek wydarzeń niezwykłych

Był więźniem Auschwitz, działaczem Żegoty, uczestnikiem, a potem historykiem powstania warszawskiego, działaczem na rzecz pojednania polsko-niemieckiego i polsko-żydowskiego, dyplomatą, politykiem. Ikoną przyzwoitości. Specjalnie na stulecie urodzin Władysława Bartoszewskiego przygotowaliśmy dla Państwa serwis specjalny.

Więcej na TygodnikPowszechny.pl/Bartoszewski

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. JACEK TURCZYK

↦ Pomimo bowiem prężenia razem muskułów i projektów lepszego świata, kryje się za tym, jak u każdego satrapy, strach przed własnym społeczeństwem, swobodą wypowiedzi, ujawnieniem przestępstw władzy, a ostatecznie – sprawiedliwym osądzeniem. Władze obu mocarstw zdają sobie też sprawę, jak postrzegane są w oczach wolnego świata, który jeśli nie ustami swoich polityków, to dzięki wolnym mediom podważa faktyczną legitymizację ich władzy. To rodzi złość, poczucie zagrożenia i obsesyjne doszukiwanie się obcych sił pragnących obalić ich reżim. Dlatego Ukraina, Hongkong czy Tajwan, zażywające wolności, a czasem i *prosperity*, nie mają racji bytu. Pokazują bowiem, że można, mimo podobnej kultury i tradycji, rządzić bez dyktatury. To jest przyczyna, dla której Moskwa nie toleruje na wolności Aleksieja Nawalnego, a Pekin – miliardera z Hongkongu Jimmy'ego Laia, wydawcy antykomunistycznej gazety. I również dlatego oba reżimy, a zwłaszcza słabsza Rosja, sposobu na swoje przetrwanie upatrują w dzieleniu, demonizowaniu i wykorzystywaniu słabości wolnego świata. Nie przeszkadza to elitom obu krajów tam właśnie posyłać swoje pociechy do szkół i wyprowadzać pieniądze do zachodnich banków.

Choć igrzyska w Pekinie zostały zbojkotowane przez większość polityków demokratycznego świata, pojawił się tam korowód autorytarnych przywódców, w tym ośmiu z ciepłych krajów, które nie przysłały żadnego sportowca. Uwagę zwróciły też niektóre delegacje Ameryki Łacińskiej, kłaniające się Chinom w pas za sprawne dostarczenie szczepionek.

Niewykluczone, że część z nich chętnie przyłączy się do nowego porządku zapowiadanego przez Xi i Putina. Cel stanowi, jak zauważył Joe Biden, wykazanie, że wiek XXI jest zbyt skomplikowany dla funkcjonowania tradycyjnie rozumianej demokracji. I tylko silny, pewny swoich wartości wolny świat może skutecznie przeciwstawić się wyzwaniu rzuconemu przez przywódców Chin i Rosji.

© PIOTR BERNARDYN

Brudna szarża Trumpa

MARTA ZDZIEBORSKA

Były prezydent USA jest znów aktywny w mediach społecznościowych. Ale jego kłopoty prawne i wypowiedzi na temat agresji Putina zmniejszają szanse na powrót do Białego Domu. Tym bezpieczniej dla świata.

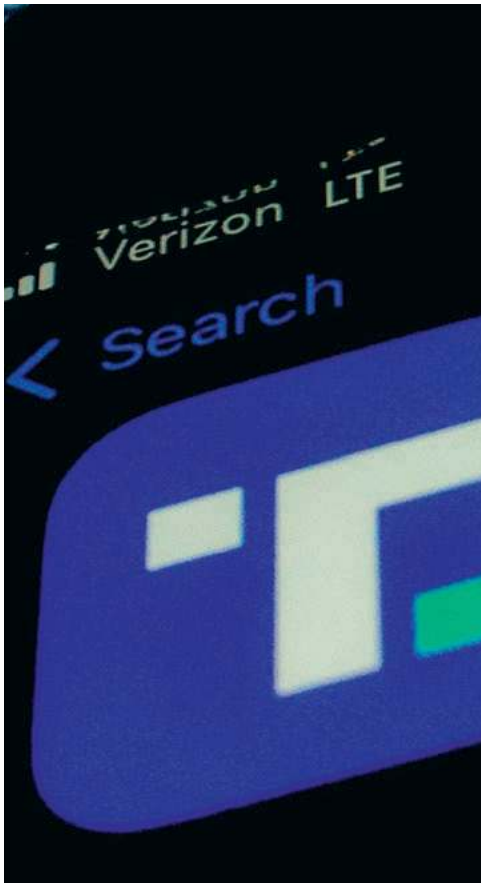

Strach pomyśleć, jak wyglądałaby dziś reakcja Stanów Zjednoczonych na rosyjską inwazję na Ukrainę, gdyby to Donald Trump rządził nadal w Białym Domu.

Podczas gdy prezydent Joe Biden wykonał najpierw „jedną wielką operację na rzecz zachowania pokoju" (tak były premier Ukrainy Arsenij Jaceniuk nazwał wyprzedzające działania prezydenta USA, które miały zapobiec rosyjskim prowokacjom, w oczach świata uzasadniającym inwazję Putina), a teraz nakłada na Moskwę kolejne surowe sankcje, to jego poprzednik... wychwala publicznie Władimira Putina.

Były przywódca USA kontrowersje wzbudził jeszcze przed rosyjską inwazją, rozpoczętą w miniony czwartek. W wywiadzie dla amerykańskiego programu radiowego „The Clay Travis and Buck Sexton Show" wypalił, że uznanie przez Putina niepodległości obu donbaskich „republik ludowych", donieckiej i ługańskiej, było „genialne". Przekonywał przy tym, że rosyjskie siły w tej okupowanej od ośmiu lat części Ukrainy to „najsilniejsze siły pokojowe, jakie kiedykolwiek widział", oraz twierdził, że chętnie wykorzystałby je do zatamowania napływu migrantów na południowej granicy USA.

Z kolei gdy kilka dni później doszło do ataku na Ukrainę, Trump obarczył za to winą... prezydenta Bidena. „Putin zadowoliłby się tak jak do tej pory skrawkiem Ukrainy, jednak do działań zachęciła go słabość, niekompetencja i głupota obecnej administracji" – perorował na antenie konserwatywnej stacji Fox News. Przekonywał przy tym, że do tej pełnowymiarowej już wojny by nie doszło, gdyby nie „skradzione" (to jego stała opowieść) amerykańskie wybory prezydenckie w 2020 r.

Czy znów wystartuje?

W obliczu inwazji, której celem jest przecież nie tylko Ukraina, ale też podważenie porządku międzynarodowego w Europie Środkowej (Putin żąda również wycofania sił USA i NATO z tego regionu, także z Polski) stało się jasne, że Trump gotów jest szkodzić interesom Ameryki i Europy, byle tylko dokopać swojemu byłemu rywalowi Bidenowi. Z nadzieją, że w ten sposób uda mu się zapunktować wśród wyborców liczących na jego ponowny start w wyścigu prezydenckim w 2024 r.

Jednak to, czy Trump stanie do walki o reelekcję, będzie zależało m.in. od przebiegu toczących się wobec niego postępowań sądowych. Większość z nich dotyczy

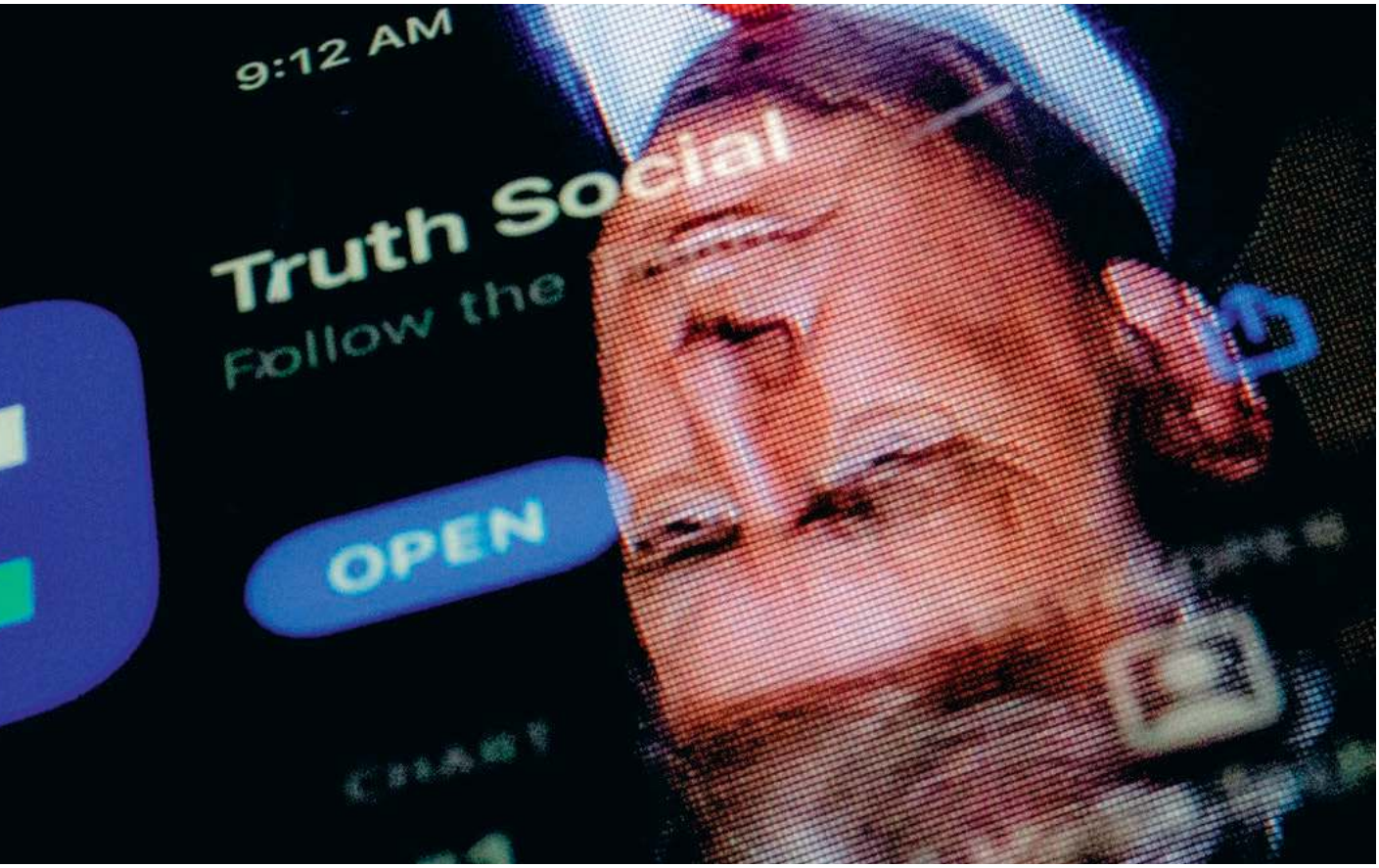

ALEXEI NIKOLSKY / TASS / GETTY IMAGES

Donald Trump, były prezydent USA, ogłasza inaugurację nowej aplikacji społecznościowej, Waszyngton, 21 lutego 2022 r.

zarzutów w sprawie jego powyborczych kłamstw, a także roli, jaką odegrał przed szturmem na Kapitol, oraz działalności deweloperskiego imperium Trump Organization, którym kierował przed objęciem rządów w 2016 r. Trump podejrzewany jest teraz o poważne nadużycia finansowe, w tym manipulowanie wycenami nieruchomości, by uzyskać lepsze warunki pożyczek i jak najmniej podatków odprowadzić do fiskusa.

Na sali sądowej

W wyniku lutowej decyzji nowojorskiego sądu Trump i jego dwójka dzieci – córka Ivanka i syn Donald Trump Junior – będą musieli zeznawać w tej sprawie pod przysięgą. To porażka dla byłego prezydenta, którego prawnicy od miesięcy próbowali do tego nie dopuścić, m.in. pozywając prokurator generalną stanu Nowy Jork Letitię James i twierdząc, że jej udział w śledztwie jest motywowany politycznie.

Wstecznego biegu nie udało się wrzucić także w sprawie żądań komisji śledczej badającej okoliczności szturmu na Kapitol. W połowie lutego Sąd Najwyższy USA udaremnił próby Trumpa, by zablokować przekazanie rejestru rozmów telefonicznych i innych dokumentów dotyczących jego działań w okresie przed i po 6 stycznia 2021 r.

To nie koniec potencjalnych problemów Republikanina: po zakończeniu prezydentury nie zwrócił on do agencji archiwów państwowych piętnastu kartonów z dokumentami zawierającymi także poufne informacje, co może potencjalnie doprowadzić do postępowania karnego. Dodatkowe komplikacje może wywołać też niedawne oświadczenie byłych już księgowych Trumpa: zrywając z nim dziesięcioletnią współpracę napisali, że „nie można polegać" na ich sprawozdaniach finansowych, które przygotowali dla Trump Organization.

„Twitter" Trumpa

Zmagający się z problemami prawnymi były prezydent USA przynajmniej w internecie ma dziś swoje pięć minut.

W poniedziałek 21 lutego wystartował jego serwis społecznościowy pod nazwą Truth Social. Po trwającej już ponad rok cyfrowej banicji Trumpa umożliwi mu on kontaktowanie się z internautami. Aplikacja, dostępna na razie tylko w sklepie App Store, przypomina w obsłudze Twittera, tak chętnie eksploatowanego przez Trumpa do czasu, gdy po szturmie jego zwolenników na Kapitol dożywotnio zablokowano mu tamtejsze konto (inne media społecznościowe – Facebook, Instagram i YouTube – zrobiły to tymczasowo).

Start medialnego przedsięwzięcia byłego prezydenta nie obył się jednak bez usterek: amerykańskie media donoszą, że użytkownicy dostawali powiadomienia o błędach technicznych i długimi godzinami czekali na możliwość założenia konta na platformie. Jak wynika z danych App Store, po dwóch pierwszych dniach osobisty profil Donalda Trumpa miał niecałe 50 tys. obserwujących (tzw. followersów). To garstka w porównaniu z czasami, gdy na Twitterze śledziły go dziesiątki milionów ludzi.

Będzie chyba bezpieczniej dla świata, jeśli tak pozostanie. ©

Gorzej niż pies

IGOR BANCER, BIAŁORUSKI OPOZYCJONISTA:

W systemie penitencjarnym każdy więzień, który stwarza zagrożenie, jest oznaczany plakietką. Polityczni mają pomarańczową.

BARTOSZ RUMIEŃCZYK: Rozmawialiśmy niecały rok temu, tuż po tym, jak zostałeś zwolniony z aresztu, gdzie prowadziłeś głodówkę. Zostałeś zamknięty za, jak mówiłeś, performens: pokazałeś milicjantom gołą dupę. Dostałeś za to 8 miesięcy „chemii", tj. pracy przymusowej.

IGOR BANCER: I kontynuowałem tam show, które zamówiło u mnie KGB. Mam łysą głowę, tatuaże, założyłem dżinsową kamizelkę ze znaczkami punkowych zespołów, do tego zrobiłem sobie kolorowe paznokcie. Tęczowy manicure i pedicure, bo było już ciepło i wszyscy chodzili w klapkach. Administracja zakładu od razu się na mnie rzuciła. Uparli się, że wyglądam nieodpowiednio. Na co ja: „Pokażcie przepis, który mówi, że mężczyzna nie może odbywać kary z pomalowanymi paznokciami". Oczywiście takiego nie ma.

Jak przywitali Cię inni skazani?

Tu już była inna rozmowa. Choć to zakład półotwarty i większość osadzonych nie była karana wcześniej, było kilku przedstawicieli subkultury więziennej, a ona – jak wiadomo – rządzi się swoimi prawami. Jeden z tych gitów, cieszący się autorytetem, poprosił mnie na rozmowę i grzecznie powiedział: „Bancer, śledzę, co robisz, i wiem, że jesteś równy gość. Trzymałeś głodówkę, nie dałeś się systemowi, ale ten lakier zmyj, tu nie można tak chodzić. Jakbyś pojawił się tak w więzieniu, od razu pojechałbyś do celi dla cweli".

Jak wygląda zakład w Witebsku?

Jak koszary: baraki z kratami w oknach, teren ogrodzony. Ale że to zakład półotwarty, więźniowie dwa razy w tygodniu są wyprowadzani do miasta: do sklepu i na pocztę.

Do pracy chodzi się z obstawą?

Nie, więzień dostaje wytyczoną trasę i grafik, a administracja dzwoni i sprawdza, czy dotarł na miejsce o wyznaczonej porze. Pytałem strażników, czy nie woleliby zakładać obrączek elektronicznych, żeby komputer pilnował ludzi, a oni mogliby spokojnie pić kawkę. Ale u nas cały system jest przestarzały.

Więźniowie nie uciekają, nie urywają się z roboty?

Wyobraź sobie, że nie. Idziesz do pracy ulicą, widzisz ludzi i aż się prosi, żeby prysnąć. Ale się nie da, bo zaraz ktoś na ciebie doniesie. Na „chemię" trafiają drobni przestępcy. Nie ma się co oszukiwać, nikt tam nie będzie się stawiał administracji. Donoszą na siebie, bo liczą, że dzięki temu szybciej wrócą do domu.

Politycznych ilu było?

Jak zaczynałem „chemię", to dziesięciu, a jak kończyłem, dwudziestu. Wszystkich więźniów było stu.

Byliście specjalnie oznaczani?

Oczywiście. W rosyjskim systemie penitencjarnym – a w zasadzie taki obowiązuje na Białorusi – każdy więzień, który stwarza zagrożenie, jest oznaczany plakietką. Plakietki dostają gitowcy, potencjalni samobójcy, a także ekstremiści, czyli polityczni. Polityczny dostaje plakietkę od razu na wejściu, zanim pomyśli, by coś odwalić. Polityczni mają ją koloru pomarańczowego. W więzieniu taką plakietkę nosi się na ubraniu. Na „chemii" nie trzeba jej nosić, bo do pracy i tak chodzi się w cywilnym ubraniu.

Jako polityczny byłeś inaczej traktowany?

Jasne, przecież to podstawowa różnica między nami a innymi więźniami. Pomarańczowa plakietka bardzo utrudnia życie. Oczywiście, w zależności od tego, jak ważnym politycznym jesteś. W areszcie śledczym w Witebsku rozmawiałem z jedną osobą, która siedziała z Wiktarem Babaryką, byłym kandydatem na prezydenta. Potwierdziła mi to, co słyszałem wcześniej: każdy, kto choćby przywita się z Babaryką, dostaje 10 dni karceru. No, ale to Babaryka – człowiek, który postawił się Łukaszence. Szeregowy polityczny może się jakoś prześlizgnąć. Choć uważam, że jak już zostałeś skazany za ten ekstremizm, to musisz się zachowywać odpowiednio.

Co to znaczy?

Wiesz, nie mówię, że trzeba się stawiać, siedzieć w karcerach i próbować – jak to mi wielokrotnie zarzucano – rozbijać system od środka. Ale trzeba powiedzieć sobie jasno: jestem więźniem politycznym i jestem gotów ponieść tego konsekwencje.

Nie każdy jest gotów.

Wiem. Zgarniali ludzi z protestów i mało kto był gotów, by iść do więzienia. Ludzie chcieli jak najszybciej wyjść i wrócić do rodziny. Rozumiem to. Tylko że to nie dla mnie. W Witebsku poznałem jednego mężczyznę, prosił, by wymieniać go z nazwiska, więc napisz: nazywa się Dmitrij Abramow. Różniło nas wszystko: ja jestem punkowcem i lewicowcem, on miał poglądy prawicowe i był byłym chuliganem klubu Dynamo Brześć, ale otwarcie głosił antyłukaszenkowskie poglądy. Gdy była jakaś presja ze strony administracji, zawsze się stawiał. Za to go szanuję.

„Chemia" to zsyłka na roboty. Gdzie pracowałeś przez te osiem miesięcy?

Nigdzie. Przydzielili mnie do zakładów mleczarskich, w kołchozie na 11 tys. krów. Powiedziałem, że chętnie, ale najpierw muszę zadbać o zdrowie. Po głodówce cały czas mam z nim duże problemy. I tu wyciągnąłem stosowne przepisy. Zabrali mnie więc do przychodni raz i drugi, a potem sprawę olali i zaczęli mnie zamykać do karceru.

Za co?

Jeden z pierwszych karcerów dostałem za to, że byłem nieogolony. A co to znaczy być nieogolonym? Golę się co rano tępą żyletką, bo nie mam kasy na nową, skoro nie pracuję, a o piętnastej słyszę, że jestem nieogolony. Pytam więc: na ile milimetrów mam być ogolony? Gdzie to napisane? Innym razem dostałem karcer za

KATERINA GORDEEVA

IGOR BANCER (ur. 1980) jest białoruskim muzykiem polskiego pochodzenia, pochodzi z Grodna. Lider punkowego zespołu Mister X, opozycjonista. W latach 1999-2002 studiował w Warszawie. Po powrocie do kraju był redaktorem naczelnym „Głosu znad Niemna na uchodźstwie" (polski tygodnik, dziś wydawany w Polsce) i rzecznikiem Związku Polaków na Białorusi. Wielokrotnie zatrzymywany i karany; w marcu 2021 r. uznany za więźnia sumienia przez Amnesty International. W kwietniu ub.r. opublikowaliśmy z nim rozmowę (nr 16/2021 – zobacz powszech.net/bancer). Pod koniec grudnia 2021 r. skończył odbywać karę – zsyłkę na pracę przymusową w Witebsku, gdzie spędził ponad osiem miesięcy.

spanie na krześle. W dzień leżeć na łóżku nie można, ale można siedzieć na krześle. Można zamknąć oczy siedząc na krześle? Można. A spać na krześle można? Okazało się, że nie. Choć w przepisach nic na ten temat nie ma. Ale z systemem nie wygrasz.

Mimo że chcesz postępować zgodnie z przepisami.

Te przepisy są tylko po to, żeby naczelnik mógł cię, za przeproszeniem, udupić. Ilekroć padał rozkaz, mówiłem: dawajcie, sprawdzimy, czy jest taki przepis. I wiesz, co zrobili? Zaczęli przeszukiwać ludzi po powrocie ze sklepu, robić rewizję pokojów, a wieczorem na apelu pytali: „I co, Bancer? Dalej mamy robić wszystko zgodnie z przepisami?". A wszyscy skazani wbili wzrok we mnie.

Taki naczelnik potrafi człowiekowi zrobić z życia piekło. U siebie w Grodnie dzień w dzień przechodzę koło więzienia, w którym już niemal rok siedzi Denis Iwaszyn – mój kolega z dawnych lat i dziennikarz śledczy. Oskarżyli go o zdradę stanu, notorycznie zamykają go w karcerze, doprowadzili niemal do zawału. Postawił się systemowi i jest traktowany gorzej niż pies. Gdy rozmawiam z jego żoną, to – mimo że golę się na łyso – włos mi się na głowie jeży. Iwaszyn siedzi w tym więzieniu, gdzie spędziłem pięć miesięcy przed wysłaniem na „chemię". Mnie może i traktowali ulgowo – bo wariat, rockandrollowiec – ale zobacz, jak traktują poważnych politycznych. Na to nie ma mojej zgody i zawsze będę o tym mówił.

W pewnym momencie „chemii" i Tobie groziła kolonia karna, czyli przeniesienie do zakładu o zaostrzonym rygorze.

Popełniłem jedenaście wykroczeń, a po trzech można już człowieka przenieść z automatu, administracja nie musi kierować sprawy do sądu. Ale mnie skierowali. Wypisali wniosek, że Bancer jest niereformowalny i musi trafić do kolonii karnej.

Nie pomyślałeś sobie: „Igor, weź się uspokój, w sumie masz dużo szczęścia, a zaraz możesz trafić do ciężkiego zakładu, gdzie będzie gorzej"?

Nie kryję się z moimi poglądami. Nie kalkuluję. Albo jestem wierny moim przekonaniom, albo nie. Albo ryzykuję więzienie, albo wyjeżdżam z kraju. Dużo osób, moich znajomych, wyjechało z Grodna, żeby nie trafić do więzienia. Ale są też inne przykłady, jak Mikołaj Dziadok: jedyny teoretyk anarchizmu na Białorusi i działacz, karany wielokrotnie. Mikołaj znów dostał pięć lat. Wymień też proszę Pawła Seweryńca, z którym znam się od końca lat 90. Paweł działał w chrześcijańskich demokratach, głosił idee przeciwstawiania się złu metodami pokojowymi. Znów dostał wyrok: siedem lat. Jeśli i mnie przyjdzie siedzieć za to, że jestem Bancerem, że mam zespół Mister X i wygłaszam ze sceny polityczne spicze, to trudno, pójdę siedzieć. Mam szacunek do tych, którzy zostają na Białorusi i chcą zmieniać kraj metodami pokojowymi.

Też mam szacunek dla więźniów politycznych, ale mam także szacunek dla uchodźców, którzy zostawili całe swoje życie i wyjechali, by nie dać się zamknąć Łukaszence. Wielu toczy walkę na emigracji, choćby w Polsce.

Ale u nas nikt nikogo nie ocenia! Nikt nie nazywa uchodźców zdrajcami! To są wybory osobiste. Jeśli ktoś wybiera emigrację, to pakuje się w kilka godzin i ucieka, często szlakami partyzanckimi. To nie jest wycieczka albo wyjazd za lepszą pracą. To są trudne wybory. A jeśli ktoś wybiera bycie wolnym w Polsce czy na Litwie, ale dalej angażuje się, działa w fundacjach i organizacjach, to robi ważną robotę. Jakby każdy poszedł siedzieć, kto by o nas mówił? Szanuję wybór każdego, bo każdy ma swoją historię i robi, co w jego mocy.

Proszę tylko o jedno: żebyśmy pamiętali – mimo tego, co się dzieje dookoła – że najważniejsze to pozostać człowiekiem i patrzeć w przyszłość z optymizmem. Wierzę, że zwyciężymy. Łukaszenka rządzi już 27 lat, ale drugich 27 lat już na pewno nie porządzi. Biologia mu na to nie pozwoli.

© Rozmawiał BARTOSZ RUMIEŃCZYK

PORTRET

TEST WOJNY

Oto jak Wołodymyr Zełenski przestał być sympatycznym Wową z medialnym uśmiechem, a stał się coraz bardziej pochmurnym i zmęczonym – ale także zdecydowanym – liderem Ukrainy.

TADEUSZ IWAŃSKI

MATERIAŁY PRASOWE / PRESIDENT.GOV.UA

W czwartek 24 lutego o piątej rano zwierzchnik ukraińskich sił zbrojnych prezydent Wołodymyr Zełenski wydał rozkaz zadania wrogowi maksymalnych strat. Pełnowymiarowa agresja rosyjska na Ukrainę stała się faktem – oraz najpoważniejszą próbą, przed jaką stanął cały kraj w 31. roku niepodległości. A także, osobiście, prezydent. Celem Putina jest bowiem nie tylko podporządkowanie Ukrainy, ale także jej „denazyfikacja", którą należy rozumieć jako pociągnięcie do odpowiedzialności karnej prozachodnich – „faszystowskich" w języku rosyjskiej propagandy – elit politycznych i wymianę ich na posłuszne, prorosyjskie.

W noc poprzedzającą atak Zełenski podjął ostatnią próbę rozmowy z Putinem, jednak bez skutku. Nagrał też oświadczenie wideo – to jego standardowy sposób bezpośredniej komunikacji ze społeczeństwem – tym razem jednak adresatem byli także obywatele Rosji. Po rosyjsku stwierdził: „Jesteśmy różni, lecz to nie powód, by być wrogami. Chcemy sami określać i budować swoją historię – pokojowo, spokojnie i uczciwie. Usłyszcie nas. Naród Ukrainy pragnie pokoju". W kolejnych filmach – nagrywanych już na bieżąco, komórką i bez scenografii – niewyspany i niedogolony apelował do Ukraińców o spokój i ufanie tylko sprawdzonym źródłom informacji.

Brawa i działania

Zbierający krwawe żniwo obłęd Putina jest najlepszym dowodem na to, że wbrew temu, co od początku prezydentury Zełenskiemu zarzucali jego przeciwnicy z patriotycznie nastawionej opozycji, nie oddał on Ukrainy Rosji i nie paktował potajemnie z Kremlem – za plecami społeczeństwa i wbrew racji stanu.

Zamiast tego twardo, szczególnie w ostatnich miesiącach, artykułował interes państwa i jasno, na granicy dyplomatycznego faulu, a czasami wręcz poza nią, nazywał rzeczy po imieniu – tak działania Rosji, jak i działania Zachodu.

W tym duchu najpełniej swoje stanowisko wyłożył podczas Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa 19 lutego. Do Bawarii poleciał na pół dnia, pomimo sygnałów z USA, by poważnie rozważył opuszczanie kraju w tak newralgicznym momencie. W emocjonalnym przemówieniu mówił m.in., że światowa architektura bezpieczeństwa jest zrujnowana i że czas myśleć nie o jej remoncie, a o budowie nowej; że potrzebne są działania, a nie „tweety i oświadczenia". Dziękując za pomoc dyplomatyczną i militarną Zachodu stwierdził, że nie są to „charytatywne datki", o które Ukraina ma prosić lub się upominać, lecz wkład w bezpieczeństwo Europy i świata.

Kolejny już raz skrytykował histerię wojenną, którą uprawiały światowe media podając kolejne daty inwazji, jako szkodliwą dla ukraińskiej gospodarki, i zaapelował o nałożenie na Rosję sankcji jeszcze przed jej rozpoczęciem – „skoro na sto procent wiadomo, że nastąpi". Upomniał się też o członkostwo w Unii Europejskiej i NATO sarkastycznie stwierdzając, że choć „drzwi do Sojuszu stoją dla Ukrainy otworem", to jednak „postronnym wstęp wzbroniony".

Nie obyło się bez błędów. Groźbę przywrócenia Ukrainie statusu państwa atomowego w reakcji na brak realizacji tzw. memorandum budapeszteńskiego (w 1994 r. Kijów zrezygnował z broni jądrowej w zamian za gwarancje bezpieczeństwa od USA, Wielkiej Brytanii i Rosji) natychmiast wykorzystała kremlowska propaganda. Tym niemniej przemówienie w Monachium odzwierciedlało tę

Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski z wizytą w obwodzie równieńskim, 16 lutego 2022 r.

jakże frustrującą prozachodnie ukraińskie elity sytuację – z powodu agresywnej polityki Rosji droga do instytucjonalnego Zachodu jest dla Kijowa zamknięta. Grzęznąc w szarej strefie bezpieczeństwa to Ukraina, a nie Kreml, płaci wysoką cenę.

Wygłoszone po ukraińsku przemówienie – pełne gry słów, bon motów i celnych metafor – w symultanicznym tłumaczeniu na angielski wiele straciło. Niemniej po odpowiedzi na kilka pytań moderatorki Zełenski opuścił salę przy owacji na stojąco. „Niestety kolektywne brawa nie przełożyły się na kolektywne działania" – ten komentarz Zełenskiego z początku wystąpienia do apelu kanclerz Angeli Merkel sprzed trzech lat o „wspólne złożenie fragmentów światowego porządku" wybrzmiał wtedy jeszcze raz, gorzko.

Nieustępstwa

Rozwiązanie konfliktu w Donbasie było jednym z najważniejszych celów politycznych Zełenskiego jeszcze w czasie kampanii wyborczej przed zwycięskimi wyborami prezydenckimi w 2019 r. Mniej mówił wówczas o walce z korupcją, systemowych reformach i euroatlantyckim kursie w polityce zagranicznej (ta ostatnia sprawa w jego opinii dzieliła społeczeństwo, a on chciał je łączyć). Główny nacisk kładł na oddanie państwa obywatelom, wymianę elit politycznych i właśnie uregulowanie kwestii donbaskiej – powrót do ojczyzny wszystkich zakładników przetrzymywanych w Donieckiej oraz Ługańskiej Republice Ludowej i uzyskanie trwałego zawieszenia broni w celu zminimalizowania ofiar.

Już po wyborze na najwyższe stanowisko wielokrotnie przyznawał, że dzień ↦

PAVLO GONCHAR / SOPA IMAGES / EAST NEWS

Dziś polityka, kiedyś show-biznes: Wołodymyr Zełenski podczas pokazu komediowego. Browary k. Kijowa, 29 marca 2019 r.

↦ zaczyna od czytania raportów z frontu, często zamieszczał w mediach społecznościowych relacje ze spotkań z rodzinami ofiar i odwiedzał żołnierzy na wschodzie kraju. Trudno było nie odnieść wrażenia, że los Donbasu leżał mu na sercu i że wierzył w możliwość pokojowego uregulowania konfliktu.

W ciągu pierwszych dwóch lat prezydentury każde jego „nieustępstwo" wobec Rosji spotykało się na Ukrainie z poczuciem ulgi. Tak było choćby po szczycie Formatu Normandzkiego w Paryżu w grudniu 2019 r. – pierwszym spotkaniu Zełenskiego z prezydentami Francji i Rosji oraz niemiecką kanclerz. Grono to powstało latem 2014 r., by wypracować polityczne porozumienie w sprawie możliwości uregulowania konfliktu w Donbasie. Wobec niechęci Ukrainy do jednostronnej realizacji niekorzystnych porozumień mińskich z lutego 2015 r. – zawartych przez ówczesnego prezydenta Poroszenkę *de facto* z rosyjskim pistoletem przy skroni – Putin długo uzależniał udział w szczycie od ustępstw Kijowa. Nowe ukraińskie władze postanowiły takie kroki zamarkować, by w ogóle doprowadzić do spotkania. Zgodziły się na tzw. formułę Steinmeiera (określającą porządek przeprowadzenia wyborów lokalnych na terenach Donbasu utrzymywanych przez tzw. separatystów), jednak nie wdrożyły jej.

Takie kroki Zełenskiego, połączone z sukcesem kilku pierwszych tur wymiany jeńców i zakładników, windowały jego sondaże. Wówczas Kreml miał nadzieję, że z Zełenskim będzie można się dogadać – wszak nawet zbyt dobrze nie znał ukraińskiego, urodził się w Krzywym Rogu na zindustrializowanym i sowiecko-nostalgicznym południu, nie brał też aktywnego udziału w kolejnych ukraińskich „majdanach". Wraz jednak z oporem Zełenskiego wobec realnych ustępstw rozczarowanie nim w Moskwie rosło. Zeszłotygodniowa decyzja o inwazji jest tego pokłosiem, a jednocześnie kulminacją – Putin uznał, że ukraiński prezydent jest niereformowalny i dalsze zwlekanie z „ostatecznym rozwiązaniem kwestii ukraińskiej" jedynie powiększy koszty tak wewnętrzne, jak i międzynarodowe.

Bez paniki

Na początku kadencji Zełenski głosił potrzebę porozumienia z Rosją i, jak się wydaje, szczerze wierzył w taką możliwość. W odróżnieniu od poprzednika unikał jawnie antyrosyjskiej retoryki, dążył do niezaogniania relacji, szukając realnych możliwości zbliżenia stanowisk. Rosja zaś liczyła na wykorzystanie jego politycznego i dyplomatycznego niedoświadczenia. Jednak rozczarowanie rosło też w Kijowie. Zgoda na formułę Steinmeiera nie została odwzajemniona, kompromis się nie zbliżał i w otoczeniu prezydenta rosła świadomość, że Putinowi nie zależy na rozwiązaniu konfliktu, a na instrumentalnym wykorzystaniu Donbasu do podporządkowania całej Ukrainy.

Kropką nad i był początek kryzysu konstytucyjnego w październiku 2020 r., wywołanego decyzją Trybunału Konstytucyjnego – podjętą na wniosek deputowanych prorosyjskiej partii Opozycyjna Platforma Za Życie – która wykoleiła reformę antykorupcyjną. Po około półtora roku prezydent uznał, że Rosja celowo destabilizuje sytuację w rządzonym przez niego kraju. Wątek osobisty nie jest tu bez znaczenia, Zełenski wiele spraw traktuje nie tyle jak regularną walkę polityczną, co jak personalny atak na siebie i autorytet zajmowanego stanowiska, który zdobył drogą wyborów, gdy zagłosowało na niego 73 proc. wyborców.

Brak konstruktywnej współpracy z Rosją w kwestii Donbasu, jej szkodliwe intrygi polityczne na Ukrainie i wzrost poparcia dla prorosyjskiej OPZŻ zmusiły Zełenskiego do działania. Ich efektem było nałożenie sankcji, wydanie aktu oskarżenia i zablokowanie mediów kontrolowanych przez jednego z jej liderów Wiktora Medwedczuka – wręcz jawnego agenta Putina na Ukrainie. Od tego czasu retoryka prezydenta zmienia się na bardziej krytyczną wobec Moskwy, w wystąpieniach więcej jest odwołań do euroatlantyckiego wyboru w polityce zagranicznej, a sam Zełenski przestaje być sympatycznym Wową z uśmiechem brylującym w mediach społecznościowych, a staje się coraz bardziej pochmurnym, zmęczonym i zdecydowanym liderem, głową państwa.

Przez ostatnie miesiące rosyjskiej presji militarnej poprzedzającej inwazję Zełenski tonował nastroje paniki, wytykał alarmistyczne przecieki z amerykańskich danych wywiadowczych i wzywał do konsolidacji tak wewnętrznej, jak międzynarodowej wokół Ukrainy. Poza powtarzanymi postulatami spotkania z Putinem gdziekolwiek i w dowolnej kon-

stelacji personalnej – aby osiągnąć pokój – w jego wypowiedziach nie pobrzmiewały sygnały gotowości do ustępstw. Zełenski nie chce przejść do historii jako zdrajca, który oddał Ukrainę pod kontrolę Rosji. Choć nie uosabia tradycji tzw. rewolucji godności 2013-14 – nie angażował się wówczas w politykę po żadnej ze stron wewnętrznego sporu – wyciągnął z niej lekcję. Zwrócenie się przez ówczesnego prezydenta Wiktora Janukowycza przeciwko nastrojom aktywnej części społeczeństwa i podpisanie umowy kredytowej z Rosją zamiast umowy stowarzyszeniowej z UE skończyło się jego wymuszoną ucieczką z kraju w ciągu trzech miesięcy. Zełenski nie chce powtórzyć jego losu, co więcej, chce rządzić dłużej nie tylko niż Janukowycz, ale także wybrany po nim, w pierwszej turze, Petro Poroszenko.

Najważniejszy egzamin

Wreszcie nie bez znaczenia jest ukraiński kontekst polityczny. Na ustępstwa nie pozwala prezydentowi jednoznacznie proukraińskie i antyrosyjskie stanowisko najważniejszej partii opozycyjnej, Europejskiej Solidarności, kierowanej właśnie przez Poroszenkę, do którego Zełenski pała nieskrywaną antypatią i z którym przegrana w wyborach w 2024 r. byłaby porażką przede wszystkim osobistą. Rozpoczęta już walka o reelekcję wymusza zajęcie takiej postawy, gdyż inną naraziłby się na zarzuty kapitulanctwa i zdrady. Byłoby to polityczne samobójstwo.

Twarde stanowisko wobec rosyjskiego szantażu odbiera tej części opozycji argumenty, którymi do tej pory na co dzień atakowała prezydenta. Wraz z totalną krytyką w innych kwestiach była to strategia skuteczna – według niektórych pracowni były prezydent zrównał się z obecnym w sondażach. Myśląc o drugiej kadencji, Zełenski poważnie studiuje nastroje społeczne. Z nich także wynika, że nie ma przyzwolenia na ustępstwa wobec Rosji, rezygnację z suwerenności i orientacji na członkostwo w UE i NATO. Nie ma też zgody na poddanie Ukrainy: badania pokazują, że prawie 40 proc. Ukraińców jest gotowych z bronią w ręku stawić opór Rosji. Niemniej ta pisze własny scenariusz.

Eskalujące działania militarne każą brać pod uwagę prawdopodobieństwo porażki Ukrainy – różnica potencjałów obu armii jest zdecydowanie dla niej niekorzystna. Wydaje się, że siły rosyjskie dążą do okrążenia Kijowa i wymuszenia na władzach kapitulacji lub ucieczki bądź do zrealizowania zapowiedzi pochwycenia i osądzenia władz za „ludobójstwo" w Donbasie. Jeśli to nie zadziała – możliwe są zmasowane ataki rakietowe, głęboka ofensywa lądowa z południa, wschodu i północy, dodatkowe działania hybrydowe i informacyjne, by złamać opór społeczeństwa, wywołać panikę i poczucie, że jedynie negocjacje mogą uratować osobiste bezpieczeństwo.

Putin nie ukrywa, że celem jest zainstalowanie w Kijowie posłusznych władz. Nie będzie łatwo go osiągnąć – w sytuacji gdy liberalna i patriotyczna stolica będzie bronić się zacięcie, a marionetkowy rząd nigdy nie uzyska legitymacji społecznej.

© TADEUSZ IWAŃSKI

Tekst ukończono 24 lutego

TYGODNIK POWSZECHNY

Słuchaj i rób, co chcesz!

W cyklu „Tygodnik" na ucho
co tydzień 5 wybranych tekstów z bieżącego wydania – do odsłuchania w dowolnym czasie, miejscu i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki z GooglePlay lub AppStore i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów – dla nowych abonentów 14 dni gratis!

audioteka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ZA PAMIĘCI

HANNA

Krall: *Strach*

Zaraz otworzą się drzwi i oni wejdą.

Żeby schwytać, zetrzeć mnie z powierzchni ziemi.

Uciekać. Ale dokąd?

Przez okno...

Wysoko...

Zamknę drzwi...

Słyszę kroki...

Elżbieta B. – w Leningradzie w latach dwudziestych. W sztuce Daniiła Charmsa.

Wiedziałam, zaraz wejdą, co to dla nich wyważyć drzwi. Czują mój strach, oni są specjalistami od strachu.

Zamknęłam – na zasuwkę, na łańcuch, na klucz.

Starali się nie oddychać, ale ich psy... Nie powiesz psu, żeby nie oddychał, słyszałam to sapanie esesmańskie. Wczołgałam się pod łóżko.

Elżbieta E., wykładowca, autorka książek. Prestiżowa uczelnia w Cambridge koło Bostonu.

Przeczucie?

Podobno miewał prorocze wizje. Przewidział przyszłość Leningradu. Będzie oblężony i śmiercią głodową będzie umierał, mówił, na długo przed wojną.

Elżbietę przeczuł? Nawet imię. I strach, który miał być nad Charles River, nie nad Newą. Za sześćdziesiąt lat.

Pisał dla dzieci i dla dorosłych, wiersze, prozę i sztuki teatralne.

Kochał ironię i groteskę.

Władza miała pretensję, że pisze bez sensu – swoimi bzdurami odwracał uwagę od budowy socjalizmu.

Przyszli po niego dwa razy.

W trzydziestym pierwszym dostał trzy lata, łagry zamieniono na zesłanie, wrócił po dziewięciu miesiącach.

W czterdziestym pierwszym przyszli drugi raz. Sierżant odczytał uzasadnienie: rozpowszechnia oszczercze pogłoski i sieje panikę.

Udawał obłęd.

Umarł na oddziale psychiatrycznym więziennego szpitala. W lutym, najbardziej głodnym, najbardziej śmiertelnym miesiącu blokady Leningradu.

Miał trzydzieści sześć lat.

Czy myślał: – Zaraz otworzą się drzwi...?

Czy spał w ubraniu, jak Dymitr Szostakowicz? Przyjaźnił się z kompozytorem, mógł posłuchać jego życzliwej rady – po co mają cię zastać w wymiętej piżamie, w ubraniu śpij, będziesz gotowy.

Nauczycielka gimnazjum numer 168 w Sankt Petersburgu czytała w klasie utwory Charmsa.

Nie tylko czytała. Przepisała je i rozdała na kartkach uczniom.

Podobno były to smutne teksty.

Podobno o śmierci.

Zaniepokoiły dyrektora szkolnego muzeum, pułkownika w stanie spoczynku.

Pułkownik przypomniał, że zbliża się rocznica bitwy o Moskwę – okrągła rocznica, osiemdziesiąt lat! Z takiej okazji o bohaterstwie, o heroicznych czynach należy mówić, nie o śmierci.

Dyrekcja szkoły zawiadomiła nauczycielkę, że straciła do niej zaufanie.

Dyrekcja poradziła nauczycielce, by odeszła ze szkoły na własną prośbę.

Nauczycielka spełniła życzenie dyrekcji szkoły.

Nie od razu opowiedziała o wszystkim, o Charmsie i o zwolnieniu.

Myślała – opowiem, zrobi się afera, po co mi to, pracy nie mam, mam małe dziecko...

Podkast Powszechny.
Dlaczego Putin zaatakował Ukrainę

Putin, który nie lubi ryzyka, właśnie wyszedł do gry na otwartym polu. Patrzy na kalendarz i widzi, że ma mało czasu, by zrealizować plan
– twierdzi **Anna Łabuszewska**, znawczyni tematyki wschodniej.

Wszelkie planowanie tutaj już dawno umarło. Jest za to poczucie, że trzeba działać na własną rękę, bo nikt Ukrainy nie obroni
– mówi **Paweł Pieniążek**, korespondent „Tygodnika" w Charkowie.

Słuchaj na **powszech.net/putin** oraz m.in. w Spotify, Apple Podcasts, Google Podcasts i w aplikacji Lecton.

TYGODNIK POWSZECHNY
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
PATRONITE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
COMMONS.WIKIMEDIA.ORG / CC BY-NC-SA 4.0

Potem pomyślała: – Czyżbym się bała? Tak, boję się. Nie spodziewałam się tego po sobie.

Potem pomyślała: – To jest tamten strach, z czasów Charmsa.

I tamto milczenie.

Opowiedziała to wszystko na Facebooku.

Władze oświatowe Petersburga przypomniały jej, że odeszła na własną prośbę.

Jakie teksty czytała nauczycielka swoim uczniom?

Podobno o śmierci.

„Staruchę"? Tę, co zegar miała bez wskazówek, ale potrafiła godzinę odczytać? Przyszła, rozsiadła się w fotelu i nie dość, że od razu umarła, to trzeba ją było w walizce wynosić i dźwigać do pociągu.

Może o synu, który po pracy mył się w misce z wodą? W wodzie pływały karaluchy i drobnoustroje i pływało odbicie syna. Stary człowiek wylał wodę z miski razem z odbiciem syna, ale odbicie uwięzło w rurze i spłuczka nie działała.

(No nie, nie mogła tego uczniom czytać. Dziesiąta klasa, ale mimo wszystko).

W trumnie leży człowiek zielony ze śmierci. Żeby wydawać się żywym, mówi przez cały czas... Wnosząc z tego, co mówił człowiek, był to oczywisty nieboszczyk.

(Też raczej nie).

Ludzkości! no oddychaj, żyj!
Bez tchu, a jednak przecież ciebie
uciekinierkę odnajdziemy
i nasze dojdą cię pogonie!
(To już prędzej).

Albo:

Ptaszyna z malutką główką
ponad obłoki szybuje
a tam ktoś z dubeltówką
już do ptaszyny celuje

No cóż. Czy można się dziwić dyrekcji szkoły, że w rocznicę bitwy o Moskwę utraciła do nauczycielki zaufanie?

Nauczycielka, Serafina Saprykina, magister filozofii, poetka, lat trzydzieści trzy, blondynka z długimi włosami i pogodnym uśmiechem, matka trzyletniego syna, znalazła nową pracę.

Nowy szef poprosił ją, by nie robiła wokół siebie zbędnego szumu.

Nauczycielka wyłączyła telefon. ©

Teksty Daniiła Charmsa przetłumaczyli: Ziemowit Fedecki i Wiktor Woroszylski („Elżbietę Bam"), Adam Pomorski i Jan Gondowicz.

Z napięcia między ortodoksją a nieortodoksją tworzy się dialog, z którego powstaje opowieść i z którego bierze się świat.

Olga Tokarczuk
w rozmowie z Tomaszem Stawiszyńskim
„Tropem herezji"

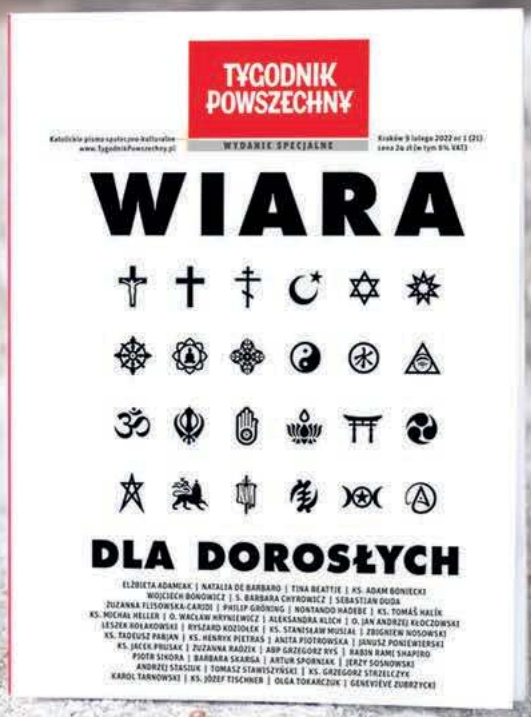

Czytaj więcej
w najnowszym wydaniu specjalnym „Tygodnika Powszechnego"

Wydanie specjalne „Wiara dla dorosłych" dostępne w najlepszych miejscach z prasą. Sprawdź na **TygodnikPowszechny.pl/dladoroslych**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN DLA „TP"

BOSKA GONITWA

Gra w piłkę albo bieg na dwieście metrów brzmią jak interesujący sposób na spędzenie popołudnia. Dla naszych przodków mogły być jednak oknem na świat rzeczywistości boskiej. Mogły też skończyć się śmiercią.

PIOTR KOŁODZIEJCZYK

Gry polegające na kopaniu lub rzucaniu piłki znane były wielu dawnym kulturom, by wspomnieć chociażby o greckiej grze *episkyros* czy rzymskim *harpastum*, uznawanym za poprzednika dzisiejszej gry w rugby. Grano także w Mezoameryce, i to właśnie tam niewinne dziś dla nas odbijanie piłki miało najbardziej krwawy, rytualny przebieg. *Ulama* czy też *pelota* (znana także pod aztecką nazwą *ullamaliztli*) to jedno z najbardziej fascynujących i jednocześnie niezrozumiałych dla Europejczyków zjawisk kulturowych znanych ludzkości. Bo choć dzisiaj gra w piłkę to najpopularniejszy sport na świecie, to nikt przecież grając w nią nie walczy zaciekle o życie.

Aztecka gra w piłkę

Dla dawnych społeczności mity były czymś absolutnie kluczowym. Pełniły ważne funkcje poznawcze i światopoglądowe, wyjaśniając to, czego nasi przodkowie nie potrafili wytłumaczyć. Nic więc dziwnego, że pierwsze „sportowe" obrzędy związane z grą w piłkę czy – jak w przypadku starożytnego Egiptu – rytualnym biegiem miały silne mitologiczne podłoże. Nie inaczej jest w przypadku gry *ulama*, której kanwą stał się jeden z mezoamerykańskich mitów.

W tej pradawnej opowieści spotykamy dwóch braci, Huna Hunahpu (czyli boga kukurydzy) oraz jego brata Vucuba Hunahpu, zwabionych w mroczne zaświaty przez surowych bogów podziemnej krainy Xibalba, zdenerwowanych ich hałaśliwą grą w piłkę. Według jednej z wersji mitu bracia zostali poddani szeregowi trudnych testów, m.in. zaproszono ich do rozgrywki przeciwko mieszkańcom Xibalby, podczas której podstępnie podłożono piłkę z wetkniętym w nią ostrzem. Ostatecznie bracia zostali złożeni w ofierze, by następnie na skutek wielu nadprzyrodzonych zdarzeń odrodzić się w swych dzieciach i dokonać bezlitosnej zemsty.

Boisko do gry w ulamę staje się więc polem rozgrywki między siłami dobra i zła, a sama gra symbolem zmagań tych dwóch odwiecznych sił. Jest to także mitologiczny opis narodzin dwóch ciał niebieskich – Słońca i Księżyca, w które finalnie zamienili się dwaj potomkowie zamordowanych przez bogów braci. Ilość zidentyfikowanych przez archeologów boisk do tej rytualnej gry świadczy dobitnie o randze tej opowieści w życiu indiańskich społeczności tego regionu. W całej Mezoameryce zidentyfikowano ich kilka tysięcy, w niektórych miejscowościach znajdowało się nawet kilkanaście tego typu miejsc. Najstarsze z nich wydatowano na 1650 rok p.n.e., co oznacza, że w ulamę gra się od przynajmniej 3600 lat.

Rytualną grę *ulama* rozgrywano na prostokątnym placu ograniczonym na dłuższych bokach kamiennymi ścianami. Sama gra polegała na odbijaniu piłki wyłącznie przy użyciu ramion, bioder i pośladków, a czasem także kolan i brzucha, otoczonego specjalnym ochraniaczem. Zadaniem graczy było niedopuszczenie do tego, aby piłka dwukrotnie z rzędu odbiła się od ziemi. Obowiązywał też system punktów, które naliczano, gdy piłka znalazła się poza boiskiem, nie odebrano zagrania przeciwnika lub gdy piłka przeleciała przez pionową, kamienną obręcz umieszczaną czasami na ścianach boiska. W niektórych okresach do gry używano także specjalnych kijów i rękawic. Rozgrywka odbywająca się w takich warunkach była niezwykle trudna, a przecież nie powiedzieliśmy jeszcze ani słowa o samej piłce!

Nie był to nadmuchiwany „worek", lecz lita kula, wykonywana z elastycznego kauczuku, ważąca nawet pięć kilogramów. Już samo uderzenie taką piłką – przypominającą raczej nasze ciężkie „piłki lekarskie" – w głowę lub brzuch mogło trwale zwalić człowieka z nóg. Jeśli dodamy do tego opisu informację, że przegrana drużyna bywała składana w ofierze bogom zaświatów, to łatwo wyobrazić sobie, jaki był poziom brutalności i agresji między zawodnikami.

Gdy w XVI w. dominikanin Diego Durán opisywał kulturę Azteków, był pod wielkim wrażeniem gry w piłkę. W jego „Historii Indian z Nowej Hiszpanii" znajduje się m.in. taki urywek: „Niektórych mężczyzn ściągano z boiska martwych, a to z następującego powodu. Zmęczeni i bez chwili na odpoczynek, biegali za piłką po całym boisku, widząc jak nadciąga z góry, śpiesząc się, aby dobiec do niej jako pierwsi, jednak odbijająca się piłka trafiała ich w usta lub żołądek lub jelita, tak że w jednej chwili padali na ziemię. Niektórzy umierali od uderzenia na miejscu, ponieważ byli zbyt chętni, by dotknąć piłki jako pierwsi. Inni byli bar-

OMAR TORRES / AFP / EAST NEWS

Meksykański tancerz Isaac Luna jako Mictlantecuhtli (mitologiczne bóstwo zmarłych) w prekolumbijskiej grze ulama, miasto Meksyk, 21 sierpnia 2019 r.

dzo dumni ze swojej gry i wykonywali wiele prawdziwie wspaniałych sztuczek". W porównaniu z tym, co działo się na boisku do ulamy, dzisiejsze faule i stadionowe sprzeczki między futbolowymi drużynami to niewinny i niegroźny wyraz emocji czy zwykły efekt zmęczenia.

Według jednego z niewielu polskich badaczy prowadzących prace archeologiczne na obszarze Jukatanu, profesora Jarosława Źrałki z UJ, zwyczaj ten praktykowany był przez wszystkie największe grupy kulturowe zamieszkujące Mezoamerykę – Olmeków, Majów i Azteków, a wiązano z nim nie tylko opisany powyżej mit o dwóch braciach, ale także wiele innych opowieści o walce dobra ze złem. Boiska do ulamy symbolizowały nie tylko arenę tych zmagań, ale także wędrówkę Słońca i gwiazd czy mityczną bramę do krainy zaświatów. Zalane wodą, stawały się z kolei żyznym polem dla odradzającej się przyrody, odwzorowując jej niezmienny i jakże oczekiwany cykl.

Gdy na tereny Ameryki Środkowej przybyli pierwsi Europejczycy, nie mogli pojąć, jak ważną rolę w funkcjonowaniu tamtejszych społeczności odgrywa ich religijno-mitologiczne rozumienie świata. W tym samym czasie, gdy w Europie ↦

krwawe żniwo w postaci tortur i egzekucji zbierała działalność inkwizytorów, na obszarze tzw. Nowego Świata dokonywała się kulturowa rzeź tradycji, zwyczajów i obrzędowości indiańskiej ludności. Do naszych czasów zachowały się jedynie pojedyncze opisy rytualnych gier i związanych z nimi wierzeń, jak choćby wspomniane urywki z dzieła Diega Durána, i nie zawsze można im całkowicie ufać. Opisywany w fascynujący sposób przez bułgarsko-francuskiego badacza kultury Tzvetana Todorova „problem innego", czyli trudne spotkanie dwóch kompletnie odmiennych światów, musiał skończyć się konfliktem i pogrzebaniem dawnych kultów.

Niektórych elementów dawnej tradycji nie udało się jednak zniszczyć całkowicie. Taki właśnie los spotkał piłkarskie rozgrywki, które zostały pozbawione religijno-rytualnego, krwawego znaczenia, ale przetrwały w palimpseście pamięci potomków rdzennych mieszkańców. Najpierw stały się na wiele lat areną hazardu i brutalnej rozrywki, by w końcu pozostać w kulturze jako wydarzenie sportowe, praktykowane dziś często jako budząca dreszczyk emocji atrakcja dla turystów.

Biegnący władca

Na długo przed tym, gdy majańscy i azteccy gracze rozpoczęli swe brutalne piłkarskie rozgrywki, w odległym o tysiące kilometrów Egipcie, uznawanym często za ojczyznę rozbudowanej obrzędowości, pierwsi faraonowie odbywali swój rytualny bieg. To sportowe – z naszego punktu widzenia – wydarzenie miało głęboko mitologiczne i rytualne podłoże.

W 30 lat od objęcia tronu władca musiał poddać się ceremonii zwanej Heb Sed. To jedno z ważniejszych egipskich świąt, praktykowane w celu odrodzenia i odnowienia władzy królewskiej, obchodzone według tradycji w rocznicę koronacji. Podobnie jak w przypadku rytualnej ulamy, także u podstaw tego rytuału leżał mit. I tym razem była to opowieść o walce dobra, uosabianego przez Ozyrysa, ze złem, którego sprawcą miał być jego brat Set. Zamordowany przez brata Ozyrys został przywrócony do życia przez swoją żonę Izydę, by nieść nadzieję na wieczne życie wszystkim Egipcjanom. Rytuał był realizacją mitu o odrodzeniu Ozyrysa i reliktem zamierzchłej przeszłości, kiedy władca sprawował urząd przez określony czas, a następnie był pozbawiany życia.

Święto Heb Sed miało zatem wymiar religijny, faraon zaś, „zawieszony" między dwoma światami, poprzez realizację rytuału odnawiał swoją władzę i zapewniał krajowi dobrobyt, odradzając się dzięki wypełnieniu ceremoniału. Według niektórych wierzeń fizyczna sprawność władcy miała także wpływ na wzrost roślin i żyzność pól. Mit odrodzenia Ozyrysa ilustrował bowiem i tłumaczył także naturalne procesy zachodzące w przyrodzie.

Przebieg samego rytuału znamy dość dobrze dzięki temu, że był on praktykowany przez niemal trzy tysiące lat i pozostało po nim wiele śladów, odnajdywanych dziś przez archeologów na ścianach świątyń lub w egipskich papirusach. Rozbudowana ceremonia rozpoczynała się od składania ofiar bogom i uroczystej koronacji władcy – najpierw białą koroną Górnego Egiptu, a potem czerwoną koroną Dolnego Egiptu.

Następnie odbywała się „sportowa" część obrzędu. Na specjalnie przygotowanym placu lub dziedzińcu król, ubrany w krótki kilt z ogonem zwierzęcia z tyłu, czterokrotnie odbywał rytualny bieg pomiędzy specjalnymi znacznikami. Sądząc po rozmiarach zachowanego w kompleksie faraona Dżosera w Sakkara dziedzińca, przeznaczonego do odprawiania tego rytuału, odległość między tymi punktami wynosiła około 50 metrów. Być może jednak nie była to liczba stała i jednakowa dla wszystkich ceremonii tego typu. Na tym jednak ceremonia się nie kończyła. W dalszej kolejności faraon wstępował na poczwórny tron i strzelał z łuku w cztery kardynalne kierunki. Był to widoczny i czytelny dla wszystkich symbol jego władzy nad całym państwem, a także jego niezawodnej zdolności do poddania innych narodów wpływom Egiptu oraz powiększania bogactwa i potęgi tej krainy.

Po wykonaniu tych czynności król był niesiony w wielkiej procesji do kolejnych kaplic bogów Górnego i Dolnego Egiptu, gdzie odbywały się końcowe rytuały świątynne, obejmujące liczne ofiary i akty oddania. To wszystko miało oczywiście na celu wzmocnienie i odmłodzenie faraona oraz jego sił witalnych i zapewnienie mu przychylności bogów, jakże potrzebnej do dalszego skutecznego panowania. Festiwal kończyło publiczne ukazanie się władcy wraz z rodziną, co po raz kolejny symbolizowało jego wstąpienie na tron. Źródła egipskie wskazują, że święto to znajdowało swe ludowe odbicie w całym Egipcie, a mieszkańcy okolicznych osad byli zachęcani do zabawy, ucztowania i radowania się. Stało się przecież coś dobrego – król odnowił swe siły i może nadal prowadzić lud Egiptu do dobrobytu, bezpieczeństwa i wiecznej szczęśliwości. Podobnie jak podczas wszystkich wielkich egipskich festiwali i świąt oficjalnych, państwo zapewniało ludziom jedzenie i piwo na czas trwania wydarzenia.

„Notes" powędruje – nie, nie do biblioteczki! – marsz do kuchni! Przyszła także pora na dokończenie (pisanej na życzenie córek) książki smaków i zapachów mojej kuchni.
Natalia Kuźmicka, prenumeratorka „Tygodnika" w liście do redakcji

Powolny, marzycielski, swobodny, dowcipny, pachnący... Ten notes to bilet do analogowej rzeczywistości, która jest prawdziwym życiem.
Grzegorz Łapanowski, kucharz, aktywista i dziennikarz kulinarny

Wielu badaczy doszukuje się źródeł tego „niegroźnego” rytuału w krwawych obrzędach, których ślady odkrywają archeolodzy badający cmentarzysko pierwszych władców Egiptu, znajdujące się w górnoegipskim Abydos. To właśnie tam obok grobowców faraonów pierwszej i drugiej dynastii znaleziono liczne pochówki osób uśmiercanych po to, by udały się wraz z władcą w zaświaty. Z badań etnograficznych prowadzonych w XIX i XX w. wiemy także, że wśród plemion zamieszkujących górny bieg Nilu praktykowany był zwyczaj zabijania starzejącego się władcy lub skłaniania go do rytualnego samobójstwa. Tradycje te znane są m.in. z plemienia Szylluków, żyjącego do dziś na lewym brzegu Nilu Białego, w rejonie Sudanu Południowego.

W tej nilotyckiej społeczności odejście starego władcy miało bowiem z reguły charakter rytualny. Fakt ten jednak ogłaszano zawsze z pewnym opóźnieniem, dopiero po ponownym objęciu tronu przez nowego króla. Obawiano się chaosu wywołanego przez brak władcy i panującą z tego powodu żałobę. Sam pogrzeb władcy łączono z uroczystymi, a niekiedy i przerażającymi obrzędami. Z tej okazji składano liczne ofiary z ludzi. Zabijano żony króla, jego służbę i niewolników, a także bydło, by cały ten tłum i dobytek towarzyszyły zmarłemu w czasie jego dalszej, niebiańskiej wędrówki.

Dziś wiemy, że na kulturę starożytnej egipskiej cywilizacji złożyły się liczne elementy tradycji ludów zamieszkujących dolinę Nilu i okoliczne tereny. Być może więc festiwal Heb Sed był symboliczną, pozbawioną przemocy wersją dawnych, krwawych rytuałów? Nie byłoby w tym nic dziwnego, wszak to właśnie Egipcjanie doprowadzili do perfekcji język znaków i symboli, które odzwierciedlały rzeczywiste przedmioty lub czynności i miały dla nich taką samą rangę i moc jak materialne, namacalne i widzialne zjawiska.

> Na specjalnie przygotowanym placu król Egiptu, ubrany w krótki kilt z ogonem zwierzęcia z tyłu, czterokrotnie odbywał **rytualny bieg pomiędzy specjalnymi znacznikami.**

Ceremonia na boisku

Nie ulega wątpliwości, że dla naszych przodków gry czy aktywności, które dziś nazwalibyśmy sportowymi, miały swój aspekt mityczny i rytualny, stanowiły kanalizację ich emocji i napięć, ilustrację ich wiedzy o świecie, były wreszcie odbiciem relacji społecznych. Wiemy, że greckie agony i olimpiady – protoplaści dzisiejszych igrzysk – odbywały się zawsze w otoczeniu rytuałów, a ich mitologicznym zapleczem były wyczyny bogów i herosów. W zhierarchizowanych i zróżnicowanych etnicznie społecznościach dawały upust niebezpiecznym frustracjom i stanowiły odpowiedź na lęki związane choćby ze śmiercią czy zagrożeniami zewnętrznymi. Rytualne gry odwzorowywały mityczny porządek świata i oswajały ludzi z działaniem bogów, którzy pozostawali przecież poza ich fizycznym zasięgiem. Zabiegi pokazujące siłę władcy miały na celu legitymizację jego władzy i pokazanie ludowi, że jest on zdolny do dalszego panowania, były także zapewne symbolem i substytutem dawnych krwawych ofiar, które z biegiem lat przestały być przez społeczność akceptowane. Obrzędowe gry i ceremonie z elementami zawodów były w końcu rodzajem odskoczni od realnego życia i pozwalały dotknąć niedostępnego boskiego świata. Spełnienie rytuału dawało ludziom poczucie bezpieczeństwa i opieki bogów na kolejne miesiące czy lata.

To wszystko skłania nas także do refleksji nad współczesnym postrzeganiem gier i wydarzeń sportowych, które niepozbawione jest mitologizacji i rytualizacji. Fanatyzm, skrajne emocje wstrząsające sportowcami i kibicami czy rola wydarzeń tego typu w budowaniu murów lub mostów między społecznościami są naszym dniem codziennym. Historia tzw. wojny futbolowej między Salwadorem a Hondurasem, opisana przez Ryszarda Kapuścińskiego, jest jednym z wielu dowodów na to, że znane naszym odległym przodkom emocje i motywacje buzują w nas do dziś.

Wielu socjologów uważa, że sport jest dla dzisiejszych społeczeństw jedyną legalną i akceptowalną możliwością uczestniczenia w walce lub jej obserwowania. To także płaszczyzna, na której realizuje się społeczna gra, nieustannie tocząca się między biednymi i bogatymi, silnymi i słabymi, marginalizowanymi i wynoszonymi na piedestał statusu społecznego. Bo przecież, jak zwykliśmy uważać, w sporcie wszystko jest możliwe, a każdą barierę da się pokonać. W tym sensie jest on, podobnie jak dla naszych majańskich czy egipskich przodków, odbiciem boskiego porządku i bramą prowadzącą do lepszego świata.

© PIOTR KOŁODZIEJCZYK

KLAUDYNA SCHUBERT

Obraz/y uczuć, reż. Krzysztof Popiołek

CZEMUŚ MNIE OPUŚCIŁ?

2 marca rusza 13. edycja Festiwalu Nowe Epifanie, organizowanego przez Centrum Myśli Jana Pawła II. Festiwal potrwa do 10 kwietnia, a centralnym punktem będzie postać Jezusa – w wymiarze zarówno historycznym, jak i metafizycznym.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Dla jednych Syn Boży, dla innych postać literacka, o której pierwowzorze nie wiemy nic pewnego – od dwóch tysięcy lat Jezus pozostaje jedną z centralnych figur naszej kultury. Najlepszym tego dowodem jest tegoroczny program Festiwalu. „Kim dzisiaj jest dla nas syn cieśli z Nazaretu? Za kogo ludzie go uważają? Z tym pytaniem zwróciliśmy się do artystów, których zaprosiliśmy do udziału w tegorocznej edycji Festiwalu" – mówią organizatorzy.

Słowa Jezusa, zarówno te zapisane w Nowym Testamencie, jak i w tekstach apokryficznych, wciąż rezonują z naszą duchowością oraz z artystyczną wyobraźnią. Choćby rozpaczliwe zawołanie „Czemuś mnie opuścił?" – hasło tegorocznej edycji – do dziś bywa podstawą religijnej kontemplacji, ale też punktem wyjścia dla rozważań filozoficznych najróżniejszych nurtów i proweniencji.

Festiwal Nowe Epifanie od lat przekonuje, że duchowość wymyka się prostym kwalifikacjom, idzie w poprzek współczesnym sporom ideologicznym, jest przeciwieństwem dogmatyki i logiki właściwej wszelakim spetryfikowanym instytucjom. Jest miejscem, gdzie sztuka może swobodnie stawiać pytania zarówno o to, co uniwersalne, jak i o problemy, z którymi zmagamy się tu i teraz.

©℗ MS

Wybrane wydarzenia 13. edycji Festiwalu Nowe Epifanie:

OBRAZ/Y UCZUĆ
We współczesnych sporach o religię potrzebujemy nowej platformy dialogu. Teraz po jednej stronie słyszymy narracje o profanacjach, bluźnierstwie i obrażaniu uczuć religijnych, po drugiej – zarzuty o powierzchowność praktyk, kłamstwo i hipokryzję. Dlaczego tak to wygląda? Jednocześnie kiedy słyszy się pytanie: „Czy chciałby Pan/Pani porozmawiać o Jezusie?", reakcją jest zażenowanie. Ale może „rozmawiać o Jezusie" to rozmawiać o tym, gdzie znaleźliśmy się z naszym humanizmem w XXI wieku, obojętnie, czy określamy siebie jako wierzący, postwierzący, niewierzący czy ateiści. Gdzie jest nasze chrześcijaństwo, kiedy na naszej granicy umierają ludzie? Na projekt składają się pokaz teatralny w reżyserii Krzysztofa Popiołka oraz spotkania ze współczesnymi autorytetami myśli i idei, które poprowadzi Piotr Sikora z „Tygodnika Powszechnego".
▪ **3-4 marca**

FILOKTET EX MACHINA
Mityczny Filoktet, samotny i cierpiący, ciągnie dotkniętą chorobą stopę po plaży Lemnos. Niewiele myśląc, realizuje zapisany mu wyrok. Jako człowiek podległy jest woli losu i bogów. Bunt nie przychodzi mu nawet do głowy. Setki lat później świat wygląda zupełnie inaczej. Coraz odważniej marzymy o kształtowaniu otaczającej nas rzeczywistości. Już nie przeraża nas nieznane, a na horyzoncie majaczy nieśmiertelność. Czy jednak sen o nieskończonych możliwościach nie jest wyłącznie ułudą? Mimo ciągłego rozwoju życie pojedynczych ludzi wciąż bywa naznaczone cierpieniem i bezsilnością. Do pracy nad spektaklem w reżyserii Agaty Koszulińskiej twórcy zaprosili artystkę chorą na nieuleczalną chorobę, wobec której współczesna medycyna pozostaje bezradna. Dlatego też jej osobiste doświadczenie staje się swoistym odbiciem sytuacji Filokteta.
▪ **19-20 marca**

BARDO THODOL
Utwór Ignacego Zalewskiego oparty został na „Tybetańskiej Księdze Umarłych". Nowe tłumaczenie klasycznego buddyjskiego tekstu przygotował poeta i filolog Mateusz Żaboklicki. Będzie to rodzaj requiem osadzonego w tybetańskiej tradycji eschatologicznej, jakby druga część „Stabat Mater", dzieła, które kompozytor stworzył w 2018 roku, również specjalnie na Festiwal Nowe Epifanie. Mimo różnic w zapleczu kulturowym obu dzieł łatwo dostrzec ich wspólny mianownik, czyli doświadczenie cierpienia i śmierci. W „Bardo thodol" tematem są stany przejściowe, których doświadcza umysł i świadomość osoby umierającej. Bezpośrednią inspiracją do skomponowania tego utworu były ostatnie rozmowy Ignacego Zalewskiego z Marcinem Błażewiczem, kompozytorem, profesorem Uniwersytetu Fryderyka Chopina, dotyczące filozofii buddyjskiej, NDE (ang. *near death experience*) i neuronauk.
▪ **6 marca**

JOSQUIN NIEUMARŁY
Nowy program Björna Schmelzera i zespołu Graindelavoix „Josquin the Undead" wdarł się błyskawicznie na belgijską listę przebojów, plasując się zaraz za Lady Gagą i Adele. Zespół skwitował to błyskotliwym hasztagiem #polyphonyforthemasses – „polifonia dla mas". Fenomen ostatniego nagrania zespołu Schmelzera jest echem fenomenu samego Josquina Despreza. O ile w przypadku muzyki dawnej często stykamy się z „rezurekcyjną" retoryką – pisze się o „przywracaniu do życia" – o tyle Josquin umrzeć wciąż nie chce lub nie może. Schmelzer przywołuje słowa niemieckiego wydawcy, który w 1540 roku, prawie 20 lat po zgonie kompozytora, mówił: „Gdy Josquin nie żyje, tworzy ięcej utworów niż za życia". I właśnie ten „pogrobowy" repertuar jest materiałem programu Graindelavoix. Wybór utworów, które usłyszymy podczas Festiwalu Nowe Epifanie, nosi podtytuł „Lamenty, opłakiwania i tańce śmierci". Choć składają się nań również pieśni, a nawet polifoniczne opracowania piosenek o tragikomicznych czy komicznych tekstach, wyczuwalna jest w nich melancholia oraz obsesja śmierci i przemijania.
▪ **7 marca**

AGAPE & FILEO
Kim jest dziś Jezus dla nas jako społeczeństwa? Czy Kościół może stać się znów przestrzenią, gdzie prezentowana jest sztuka współczesna? W programie sztuk wizualnych będziemy obcować z figurą Jezusa przedstawionego w formie klasycznej rzeźby inspirowanej renesansowym mistrzem – Michałem Aniołem. Czerpiąc z ikonografii osadzonej w kulturze Kościoła katolickiego, spróbujemy przybliżyć się do częściowo zapomnianego wizerunku Jezusa nagiego. Autorka rzeźby, Aleksandra Koper, kładzie nacisk na formę cielesną bez krzyża, jednocześnie nie rezygnując z gestu ukrzyżowania. Nie definiuje cierpienia, ale akcentuje Agape, czyli bezwarunkową miłość Boga do ludzi. Jezus Aleksandry Koper ma być Jezusem wszystkich ludzi: wierzących i niewierzących, kobiet i mężczyzn, starych i młodych. Ma jednoczyć, a nie dzielić.
▪ **28 marca – 2 kwietnia**

Bilety i spektakle dostępne przez platformę eWejściówki, biletyna.pl i w kasach teatrów w cenach 30-70 zł.

Więcej na:
www.noweepifanie.pl

Organizatorem Festiwalu Nowe Epifanie jest Centrum Myśli Jana Pawła II, Instytucja Kultury m.st. Warszawy.

SKORUPA, AKCJE I REAKCJE

Furię władzy wywołała „zdrada", polegająca na zainstalowaniu wrogiego przedstawienia w miejscu uznanym za własne. Gra nie idzie nawet o tę własność, ale o reakcję publiczności modelowo wręcz nieskorej do zaangażowania.

DARIUSZ KOSIŃSKI

Wszyscy już wiedzą: zarząd województwa małopolskiego rozpoczął procedurę odwołania Krzysztofa Głuchowskiego ze stanowiska dyrektora Teatru im. Juliusza Słowackiego. Siedem lat po katastrofie w Starym Teatrze na sąsiedniej scenie narodowej w Krakowie zaczyna się kolejny teatralny dramat.

Znowu?! Aż nie chce się wierzyć, że jeszcze raz przerabiamy to samo. Po Krzysztofie Mieszkowskim i Janie Klacie, po Dorocie Ignatjew i Waldemarze Zawodzińskim (by pozostać tylko przy ludziach teatru i pominąć PiS-owskie miotły pracujące w innych sferach kultury), kolejny dyrektor staje u progu odwołania, nie pomimo, ale właśnie dlatego, że odniósł oczywisty sukces artystyczny. Słów się już nie chce ważyć, a że się słowa wielkie dawno zużyło, to zamiast hańby, skandalu i cenzury pojawił się nawet „partyjny terroryzm".

Druga strona zapewne jak zawsze mówić będzie, że „totalna opozycja" wpada w histerię, że wszystko zgodnie z prawem i nie ma o co tak krzyczeć. Znów któryś z naczelnych gębaczy zacytuje coś dowcipnie, a inny coś równie dowcipnie zlekceważy (ależ muszą mieć sny o wypadnięciu z łaski!). Media poszumią, poszumią, a potem pójdą gdzie indziej. Sprawa przycichnie i się wymieni dyrektora na któregoś z zawsze jakoś się znajdujących „swoich", albo niekoniecznie swoich, ale takich, co to na pewno broić nie będą, tylko pracować na umocnienie „kanonu dobra i piękna". I będzie, jak było, przy akompaniamencie szumu wzruszania ramionami większości, która zdaje się głównie troszczyć o to, co w Polsce zawsze najświętsze – własny spokój.

Pisać znów o tym samym? Wylewać jeszcze raz czary goryczy ku uciesze tych, którzy świetnie wiedzą, że wylewanie owo bezradne i poza ulżeniem sobie niczemu nie służy? Przedłużać te Dziady, to Wesele, te narodowe noce masochistycznej rozkoszy, że nic się przecie zrobić nie da, i słuchać potem różnych mądrali, którzy wolni od zgubnych emocji spokojnie tłumaczą, że o inne rozumienie tkanki chodzi? Nawet Naczelny, gdy to proponował, przepraszał, że znów to samo.

A przecież, przecież nic dwa razy się nie zdarza, powtórzenie nie istnieje, więc znowu nie jest znowu takie samo. Spróbujmy popatrzeć pod innym kątem. Jak w tej dawnej prasowej zabawie: spójrz uważnie na te dwa identyczne obrazki i znajdź różnice.

Jan Peszek jako Senator w spektaklu „Dziady", reż. Maja Kleczewska, Teatr im. J. Słowackiego wKrakowie, listopad 2021 r.

BARTEK BARCZYK / MATERIAŁY PRASOWE

Powtórzenie i różnica

Po pierwsze, jednak dziwi mnie, że władza gra znowu to samo i na dodatek w Krakowie. Tak, wiem – Teatr Słowackiego, zbudowany i przez dziesięciolecia działający jako miejski, na skutek dziwactw niedoreformy lat 90. podlega władzom wojewódzkim, więc to inna władza wyrzuca dyrektora Głuchowskiego, a inna pozbywała się z Krakowa Jana Klaty. Klata – dodać jeszcze można – przegrał konkurs, Głuchowski zaś ma być odwołany w trakcie kadencji za rzekome dawne sprawki.

Te różnice są jednak pozorne i drugorzędne. Każde dziecię nieletnie, interesujące się choć śladowo polską polityką wie, że rządzi nami tak zwana Zjednoczona Prawica, która – choć wewnętrznie napięta – nie jest luźnym związkiem autonomicznych podmiotów, gdzie marszałek województwa podejmuje decyzje bez konsultacji z centrum. Gdzie to centrum jest, to rzecz inna i do sprawy nie należy. Dość, że w powszechnym przekonaniu i odbiorze Głuchowskiego chce wyrzucić PiS z przyległościami mniej więcej za to samo, za co wyrzucono Klatę, Mieszkowskiego, Ignatjew i Zawodzińskiego – za przedstawianie takiego obrazu rzeczywistości, jaki PiS skazał na nieistnienie. Niegdysiejsi czytelnicy Zbigniewa Herberta, głusi na jego ironię (sam zresztą z wiekiem na nią ogłuchł), wielbią ornamentatorów podtrzymujących miłą iluzję mozaiki nad bramą („gołąb, gałąź albo słońce w kwiatach") i bardzo się denerwują, gdy ktoś pokazuje, jak się przy tym pędzi ciemne młyny i czyja ręka pociąga symbole za sznurek.

Ale obecnemu atakowi towarzyszą jednak nowe okoliczności. Choćby skojarzenia z „Dziadami" marcowymi z 1968 r. Było przecież oczywiste, że marszałek i zarząd województwa, rozpoczynający właśnie w tym momencie procedurę odwołania dyrektora teatru, który wystawił irytujące władze „Dziady", natychmiast sami siebie osadzą w rolach pierwszego sekretarza partii Władysława Gomułki i jego najbliższego współpracownika od „tych spraw", Zenona Kliszki. Można było nawet odnieść wrażenie, że krakowski wojewoda Witold Kozłowski nie miał na to ochoty i stąd jego dziwne dementi po pierwszych medialnych zapowiedziach, że odwołanie będzie. Czyżby nie chciał, a musiał?

Na pytanie, co tak władzę rozeźliło, że jednak weszła w te buty – było nie było – marcowe, odpowiedź jest oczywista, co nie znaczy: banalna. Arcydramat ją rozeźlił, a dokładnie – wystawienie arcydramatu w sposób, w jaki zrobiła te „Dziady" Maja Kleczewska. Dajmy spokój powtarzaniu, że kluczową rolę odegrała tu jakaś małopolska kurator oświaty. Zagończycy przyciągają uwagę, ale nie oni wypowiadają wojny i wszczynają bitwy. Działał ktoś inny, choć oczywiście bezpośrednie przyczyny tkwiące w samym przedstawieniu były podobne.

Tych zaś aż nadto: osadzenie w roli męskiego Bohatera Polaków pozbawionych głosu kobiet, odczytanie proroctwa księdza Piotra jako biskupiego kazania przesłaniającego nadto ludzkie grzechy czy wreszcie osadzenie w miejscu Nowosilcowa zupełnie innej osoby sprawującej podobnie niekontrolowaną władzę – każda z tych rzeczy już pojedynczo wzbudziłaby gniew, a co dopiero wszystkie jednocześnie! I to włożone w przedstawienie, któremu nie sposób przy odrobinie choćby rozeznania zarzucić niskiej jakości artystycznej, będące na dodatek inscenizacją dramatu, którego – jak żadnego innego – nie da się wykreślić z kanonu.

Doprawdy zbyt jawnie i na zbyt wysokim poziomie zakwestionowane zostało PiS-owskie wyobrażenie o „kulturze" jako miłym potwierdzeniu słuszności obranej drogi. To, że jacyś „wściekli" (prawica uwielbia to słowo) robią w warszawskim Teatrze Powszechnym kolejną rebeliancką inscenizację mniejszościowych fantazji, jakieś kolejne „Radio Maria", nie jest groźne, a bywa nawet przydatne, bo pomaga zdopingować grupy wsparcia i wzmacnia mury oblężonej twierdzy. Ale żeby tak „Dziadami" prosto w twarz? Mickiewicz przecież ma być i powinien pozostać wyłączną własnością tych, którzy się (skutecznie niestety) osadzili w rolach obrońców narodowej tradycji. Gdy się okazało, że jego arcydramat doskonale się sprawdza jako narzędzie zdiagnozowania sytuacji, w której owi „obrońcy" są skorupą, a nie lawą, kontratak musiał nastąpić. ↦

Scena wielka otwarta

Nie jest bez znaczenia, że do gorszącego władzę incydentu doszło w teatrze, którego eklektyczne wnętrza spełniają drobnomieszczański sen o elegancji i gdzie tak dobrze się wychodzi na zdjęciach w wieczorowej sukni i garniturze. Gdyby na początku sezonu 2021/22 ktoś mnie zapytał, przez jaki teatr będzie przebiegała nowa gorąca linia konfliktu między władzą a środowiskiem teatralnym, nie wskazałbym na Teatr Słowackiego.

Choć historyczna scena już od roku 2016 była konsekwentnie budzona z wieloletniego snu zimowego przez Krzysztofa Głuchowskiego, współdziałającego do roku 2019 z Bartoszem Szydłowskim, to jej relacje z władzą wydawały się opierać na zasadzie niedrażnienia niedźwiedzia i zachowywania równowagi między różnymi modelami działania. Wprawdzie do współpracy zapraszano reżyserów kojarzonych od lat raczej z teatrem krytycznym (Wojtek Klemm, Michał Borczuch, Wiktor Rubin), ale zarazem troszczono się o zachowanie dobrych relacji z publicznością, przyzwyczajoną do „Słowaka" z czasów poprzedniego dyrektora, Krzysztofa Orzechowskiego, kiedy scena przy placu Świętego Ducha funkcjonowała jako przeciwieństwo Starego Teatru Jana Klaty.

W Krakowie – o czym Klata dowiedział się zbyt późno i boleśnie – nie ma wiele sympatii dla krytycznych i intelektualnych prowokacji, ostrego myślenia i teatru zbyt gwałtownie przerywającego miłe pogawędki na wysokościach. Rzecz oczywista – Kraków nie Warszawa. Tu nawet najbardziej rewolucyjne projekty wcześniej czy później grzęzną w fędesieklowych mgłach i zamieniają się w tematy niekończących się dyskusji seminaryjnych. Głuchowski wydawał się to świetnie wiedzieć i jako dyrektor wielkiej historycznej sceny obciążonej wieloma zobowiązaniami poruszał się po tych labiryntach zręcznie, zapewniając względne zadowolenie każdej ze stron. Rewolucjoniści oczywiście pomstują na politykę „Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek", ale realność podminowanej Polski jest taka, że jak się chce coś zrobić, a nie efektownie wylecieć w powietrze, to wcześniej czy później oba światełka zapalić trzeba.

Tym bardziej więc warto zadać pytanie o powody zaproszenia Mai Kleczewskiej do zrobienia „Dziadów". Wiem, wiem – arcydramat, znakomita i głośna reżyserka, więc dlaczegóżby nie? Pozwalam sobie jednak na tyle wysoko oceniać inteligencję Krzysztofa Głuchowskiego i jego znajomość świata, by nie sądzić, że nie zdawał sobie sprawy, co zaproszenie Kleczewskiej do pracy nad Mickiewiczem może oznaczać. Nie sposób też przypuszczać, że nie widział, jakie przedstawienie powstaje, i nie zdawał sobie sprawy z tego, co się wydarzy. Nie przypuszczam też, by zgodził się na koncert Marii Peszek bez związku z całą sytuacją.

> Media poszumią, a potem pójdą gdzie indziej. **Sprawa przycichnie i wymieni się dyrektora na któregoś ze swoich.** Albo na takiego, co przynajmniej broić nie będzie, tylko pracować na umocnienie kanonu „dobra i piękna".

Pamiętajmy, że praca nad „Dziadami" przebiegała równocześnie z rozmowami o współprowadzeniu Teatru im. Słowackiego przez Ministerstwo. Ten ruch od początku wydawał mi się bardzo dwuznaczny, bo z jednej strony trudno mieć do dyrekcji pretensje, że szuka wsparcia, ale z drugiej jego uzyskanie zawsze opłacane jest większym wpływem PiS-owskiej poprawności politycznej na program teatru. W tej sytuacji wystawienie „Dziadów" musiało oznaczać spektakularne zerwanie rozmów o współprowadzeniu, choć oczywiście Ministerstwo we właściwym sobie stylu zapewnia i zapewniać będzie, że nic nie wie, nic nie planowało i o niczym nie decydowało (minister Piotr Gliński powtarza to tak często, że aż zaczynam myśleć, że to rzeczywiście prawda).

Pytanie brzmi: dlaczego Głuchowski zdecydował się na zagranie godne Krzysztofa Mieszkowskiego, szefa Teatru Polskiego we Wrocławiu (2006-2016). Nie zdzierżył i w końcu kopnął stolik, przy którym właśnie próbował jeszcze wygodniej usiąść? Chciał inaczej, ale sprawy wymknęły się spod kontroli? Gdzieś przekalkulował, a potem już nie można się było wycofać? A może świadomie przygotował ten dramat ujawniający klarownie stan sytuacji, w jakiej jesteśmy? Pewnie – jak to zwykle bywa – wszystko naraz. Ale to, że tę właśnie „sztukę" wystawia dyrektor teatru, o którym pół roku temu na pewno nie pomyślałbym jako o scenie takiej demaskacji, z pewnością dowodzi, że jesteśmy w innym miejscu i o co innego toczy się gra niż wtedy, gdy Ministerstwo Kultury rękami zhańbionej już na zawsze komisji niszczyło Narodowy Stary Teatr.

A wolicie spać?

Różnica ta, powtórzę, wynika też z odmienności miejsca, jakie Teatr Słowackiego zajmował w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu na mapie kulturalnej Krakowa i Polski. Wprawdzie u swoich początków, za sprawą legendarnej dyrekcji Tadeusza Pawlikowskiego (1893-99) oraz z powodu cudownej eksplozji o nazwie Wyspiański, scena ta zaistniała jako centrum zmiany, ale potem się ustatkowała i nawet gdy tacy dyrektorzy jak Teofil Trzciński czy Mikołaj Grabowski, albo tacy artyści jak Wacław Radulski, wprowadzali powiewy odmienności, to nie były to wichry wywracające porządek rzeczy, a raczej miłe podmuchy odświeżające powietrze.

Teatr im. Juliusza Słowackiego od dekad stanowi modelowy wręcz przykład tego, co nazwałem kiedyś Teatrem Kulturalnego Miasta. Nazwa ta brzmi w wielu uszach ironicznie, ale naprawdę ironiczna nie jest. Kulturalne Miasto, czyli środowisko ludzi odczuwających i – co ważne – realizujących potrzebę stałego uczestniczenia w „wydarzeniach kulturalnych", traktowanych właśnie tak – jako świadomie oddzielone od spraw codziennego życia – ma ogromne znaczenie dla kultury i społeczeństwa. To może nie są ludzie walczący o sprawy większe niż sztuka, a zarazem sztuką serio żyjący, ale jest jasne, że bez ich zainteresowania sztuka znajduje się w śmiertelnie groźnej izolacji. Działają tu mechanizmy bardzo złożone i poplątane, niepodlegające prostym opozycjom, bo życzliwe zainteresowanie konesera podsiąknięte snobizmem i hipokryzją miesza się z autentycznym poszukiwaniem rodzącym się z nieugaszonego pragnienia i poczucia braku, a społeczny rytuał i eskapistyczna potrzeba dwuznacznej rozrywki spotyka się z duchowym głodem.

Co ważne, Teatr Kulturalnego Miasta to nie teatr twórczyń i twórców, ale publiczności. Artystki i artyści mają wła-

JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Krzysztof Głuchowski, dyrektor Teatru im. J. Słowackiego (w środku) wraz z zespołem. Kraków, 17 lutego 2022 r.

sne cele i potrzeby, wypracowują własne, osobiste trasy przebiegające przez różne sceny i instytucje. Teatr Kulturalnego Miasta udziela im gościny w ramach prowadzonej konsekwentnie polityki różnorodności, pozwala im więc wytyczać autorskie szlaki, ale sam z zasady nie jest programowy, bo publiczność, która nad nim sprawuje władzę, oczywiście różnorodna, różnorodności też oczekuje i wymaga. Nawet jeśli interesują ją mocne sygnatury estetyczne czy ideowe, to jednak źle reaguje, gdy żąda się od niej zbyt wiele.

Owszem – może od czasu do czasu dać się wciągnąć nawet w jakieś polityczne współaktywności, ale jednak nie na długo i bez przesady. To samo dotyczy „eksperymentów", za jakie generalnie uważa odejście od modelu teatru dramatycznego, teatru „wystawiającego sztuki". Bo na „sztuki" ta publiczność przychodzi. Ważne są dla niej tradycyjne wyznaczniki dramatu – akcja, postacie, ważna, budząca afekt i posługująca się efektem gra aktorska, ważna mityczna „magia sceny".

Publiczność tworząca Teatr Kulturalnego Miasta to w obecnym konflikcie element kluczowy. Jeśli słuszna jest teza, że furię władzy i wspierających ją środowisk wywołała „zdrada", polegająca na zainstalowaniu wrogiego przedstawienia w miejscu uznanym za własne, to gra nie idzie nawet o tę własność, ale o reakcję publiczności modelowo wręcz nieskorej do zaangażowania. Mnożąc konflikty i zarządzając przez nie życiem społecznym, PiS wytwarza poszerzające się pole zniechęcenia i bezsilności, o które dokładnie mu chodzi. Kolejny społeczny protest zakończony nie przemocową kontrakcją, ale uciszeniem przez przeczekanie i zlekceważenie, umacniać ma i skutecznie jak dotąd umacnia podstawowy polski gest – machnięcie ręką.

Skoro udało się przeczekać tak masowe i gwałtowne protesty jak Ogólnopolski Strajk Kobiet, skoro buntu nie wznieca ani przemoc na granicach, wykonywana wszak „dla wspólnego bezpieczeństwa", więc w moim i twoim imieniu, ani inflacja i podatkowy chaos, ani kolejne kroczki poza Europę, to trudno oczekiwać, że wzbudzi go usunięcie dyrektora jakiegokolwiek teatru. Dotychczas zresztą nigdy nie wzbudziło i doprawdy zdziwiłbym się, gdyby za Krzysztofem Głuchowskim stanęła murem taka grupa publiczności, która ilościowo i/lub jakościowo byłaby dla władzy istotna. Z drugiej jednak strony, po raz pierwszy linia konfliktu przebiega przez sam środek Teatru Kulturalnego Miasta, a nie, jak w przypadku Klaty czy Mieszkowskiego, przez ich autorskie sceny, które dość łatwo było oskarżyć o zerwanie kontraktu z Kulturalnym Miastem i jego jedynym „prawdziwym teatrem".

Choć więc konflikt obecny wygląda jak kolejna powtórka, kolejne „raz dokoła", to istnieje możliwość, że jego efekt będzie jednak inny. Nie mam przekonania, że rozleje się na kręgi pozateatralne, że sprawa „Dziadów" stanie się zarzewiem jakiegoś szerszego buntu (choć z tym Mickiewiczem naprawdę trzeba uważać). Możliwe jest jednak, że dojdzie do pewnej pozornie drobnej, ale w dłuższej perspektywie znaczącej zmiany nastawienia, którą najkrócej ująć można przy pomocy tak bliskiej obecnej władzy opozycji „my" i „oni".

Dotychczas ten podział wcale nie był wśród kulturalnej publiczności tak oczywisty. Nie było tak, że sprawujący władzę „oni" pozostawali poza granicami Kulturalnego Miasta – wprost przeciwnie: wydawali się dążyć raczej do jego oczyszczenia z „lewackiego wrzasku" i przejęcia nad nim władzy, w przekonaniu, że w istocie „TKM" (ktoś jeszcze pamięta, jak ten skrót rozwijano kiedyś w polskiej polityce?). Jeśli – czego jestem pewien – władzę w Teatrze Kulturalnego Miasta sprawuje wytwarzająca go publiczność, to odwołanie Krzysztofa Głuchowskiego może sprawić, że choć formalnie – jak w wielu innych instytucjach – jacyś „oni" rzeczywiście przyjdą na jego miejsce i zdejmą przedstawienie Kleczewskiej, to już nigdy nie staną się „my", a ich „teraz" nie nadejdzie. Kulturalne Miasto wyleczy się z iluzji, że rządzący kulturą przywracają jakąś „normalność".

Oczywiście nie będzie to oznaczać utraty znaczącej części elektoratu ani raczej nie wpłynie na wynik wyborów. Ale może oznaczać prestiżową przegraną w sferze, która dla konserwatystów (zwłaszcza krakowskich) zawsze była istotna. Gdy wstyd się będzie pokazać w „Słowaku", partyjni aktywiści pójdą pewnie gdzie indziej – na koncert Kukiza, na Sylwestra Marzeń, na mecz albo na koniecznie metropolitalną mszę. A gdzie pójdzie wcale nie rewolucyjne Kulturalne Miasto?

Krótko i podsumowująco: wyrzucenie Krzysztofa Głuchowskiego za inscenizację „Dziadów" będzie trudnym do podważenia dowodem, że obecna władza jest zdecydowana zniszczyć wszelką zagrażającą jej twórczość i w swoich prawdziwych celach jest konsekwentnie antykulturalna i antykreacyjna. Niby wiadomo to było od dawna, ale zawsze dobrze mieć – nawet mimo kosztów – jasną sytuację.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

JIMMY KETS / MATERIAŁY PRASOWE

BJÖRN SCHMELZER jest założycielem i dyrygentem grupy wokalnej Graindelavoix. Z wykształcenia antropolog i muzykolog, zajmuje się badaniem średniowiecznych i renesansowych tradycji wokalnych oraz ich późniejszej recepcji.

Budowniczy ruin

BJÖRN SCHMELZER:

Sztuka powinna wskazywać na ślepe plamki w naszym rozumieniu świata, na tym polega jej polityczny wymiar. Nie może też służyć budowaniu twardej tożsamości – powinna ją nieustannie podkopywać, konfrontować nas z niemożliwością stabilnego istnienia.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Jak każda płyta Waszego Graindelavoix, „Josquin The Undead" rozpętał dyskusję o braku szacunku dla tradycji. Konserwatywne myślenie wciąż dominuje wśród ludzi zajmujących się muzyką dawną? Brzmi to jak sprzeczność.

BJÖRN SCHMELZER: Konserwatyści muzyczni postrzegają przeszłość wyłącznie jako rezerwuar sprawdzonych pomysłów i wielkich osiągnięć, do których współcześni muzycy mają sięgać i je utrwalać. A to wszystko jedynie po to, aby opisywać chwałę i doskonałość czasów minionych. Oczywiście w kontrze do naszej, jak to mówią, katastrofalnej teraźniejszości.

Nie wierzy Pan w stare, dobre czasy?

Ludziom się wydaje, że dawna muzyka, zapewne ze względu na swoją rzekomą „nieskazitelną formę", odzwierciedla świat bardziej harmonijny, pozbawiony napięć i sprzeczności. No, uduchowiona sielanka po prostu. A to przecież nieprawda. Każda epoka miała swoje problemy, czasem potworne, a sztuka próbowała sobie z tym radzić. Kiedyś robiła to inaczej niż dziś. Jak? Tego właśnie próbuję się dowiedzieć, studiując stare kompozycje i repertuary. To właśnie jej sposoby radzenia sobie ze sprzecznościami są intrygujące. Prawdziwa sztuka z definicji musi przekraczać porządek symboliczny – dopiero na tym poziomie można z nią pracować.

Niektórzy nazywają Was barbarzyńcami, ale dla Pana to chyba jest komplement.

Owszem, bywałem też nazywany ikonoklastą. W przypadku Josquina des Prés szczerze uważam, że naszą płytą wyświadczamy mu przysługę. Staramy się, aby każde nasze nagranie było autorską interpretacją danego repertuaru, którego najczęściej prawie nikt dziś już nie wykonuje. A jeśli, to bez żadnego pomysłu albo zwyczajnie źle. Zawsze staramy się robić coś nowego, wcześniej niesłyszanego. Nie uważam siebie za szczególnie utalentowanego muzyka. Jedyne, co dobrze mi wychodzi, to wsłuchiwanie się w mało znane dzieła z przeszłości i wydobywanie ich potencjału. Chcę, żeby muzyka zyskała plastyczność, przestała być ogólnikowa, pseudoobiektywna. Każde wykonanie powinno być skrajnie subiektywne i osobiste. Szczególnie kiedy dotyczy flamandzkiego śpiewaka i kompozytora, pracującego we Włoszech w XVI wieku.

Subiektywne? To może znaczyć bardzo różne rzeczy.

Oczywiście, i właśnie w tym jest wartość. Zdarza się, że to samo wykonanie nazywane jest bardzo naturalnym czy spontanicznym, jak również sztucznym

i zmanierowanym. Jedni mówią o autentyczności, inni o postmodernistycznej bladze. Te sprzeczne reakcje mówią coś ciekawego i ważnego o naszej muzyce. Być może to właśnie gdzieś między nimi leży jej autentyczność.

Wytrącać z równowagi tak zrównoważoną muzyką?

Według wielu osób muzyka dawna ma sprawiać, że poczujemy się lepiej. Kompletnie się z tym nie zgadzam. Muzyka powinna brzmieć inaczej, niż się spodziewamy, powinna być doświadczeniem dziwności, wybiciem ze swojskości. Sztuka powinna wskazywać i prześwietlać ślepe plamki w naszym rozumieniu świata – na tym polega jej polityczny wymiar. Sztuka nie może służyć budowaniu twardej tożsamości – przeciwnie, powinna ją nieustannie podkopywać, konfrontować nas z niemożliwością istnienia stabilnego i pewnego siebie „ja".

Partytury muszą być nieustannie reinterpretowane, do czego zresztą same zapraszają. Musimy czytać je ciągle od nowa, nawet jeżeli na koniec nie przypominają już samych siebie, a raczej naszych o nich wyobrażeń.

Spory o tradycję to często spory o prawdziwe znaczenie sztuki.

Tradycja? Przecież ona jest wrogiem sztuki. Więcej: sztuka jest tym, co pozwala z tradycją zerwać, nawet jeżeli wciąż funkcjonuje w narzuconych przez nią ramach. Tak było zawsze – prawdziwy wyłom da się zrobić wyłącznie od środka. Tradycja może stanowić horyzont możliwości sztuki, ale prawdziwe dzieło nigdy nie powinno być wyłącznie jego ilustracją czy potwierdzeniem. Kiedy pracuję nad kompozycjami choćby takiego Josquina, staram się przede wszystkim zrozumieć jego wyjątkowość – sposób, w jaki przekracza horyzont epoki, z której wyrasta. Co nie musi oznaczać robienia rzeczy szalonych czy powszechnie uważanych za prowokację.

Czyli czego w nich szukacie?

Nasze najnowsze nagrania bliskie są na przykład immanentnej muzykalności tych dzieł, której jednak nikt chyba do tej pory nie dostrzegł. Zdecydowanie bardziej wierzę w ogólną muzykalność niż w tak zwaną „specjalistyczną wiedzę historyczną". Broniąc „tradycyjności", często zapomina się o napięciu między dziełem a kontekstami, z których korzysta. Ta różnica nie ma znaczenia jedynie w sztuce folklorystycznej i narodowej – w obu tych przypadkach ludzie mogą się z nią bezpośrednio identyfikować. A dla mnie alienująca moc dzieła sztuki jest właśnie kluczowa – i nie jest to wcale wynalazek romantyzmu. Zarówno msze Guillaume'a de Machaulta, jak i dzieła Johanna Sebastiana Bacha czy innych tzw. przednowoczesnych mistrzów działały dokładnie na tej zasadzie, dlatego okazały się tak ważne dla kształtowania się naszego współczesnego świata i jego sztuki.

Nazwa Waszego zespołu, czyli „Ziarno głosu", pochodzi od Rolanda Barthes'a. Nieubłaganie prowadzi nas to do dyskusji o cielesnym, bardzo indywidualnym odbiorze muzyki, o którym francuski filozof sporo pisał.

Barthes to jedno, ale dawna muzyka polifoniczna, która składa się z wielu różnych głosów słyszanych jednocześnie, również prowokuje do takiego myślenia. To pierwsza rzecz, na jaką zwraca się uwagę w tej muzyce, nawet jeżeli nic się o niej nie wie. To prosty mechanizm. Każda osobowość musi wyrazić się w ciele, podlega inkarnacji, a to wabi słuchających, przyciąga ich do repertuaru – wtedy nie ma znaczenia, czy jest on trudny albo hermetyczny. To samo tyczy się wszystkiego, co wykracza poza treść partytury. O dziwo, słuchacze, nawet nieznający utworu, słyszą te wszystkie odchylenia, zagięcia, obejścia, zmiany tempa itp.

Na czym polega to „o dziwo"?

Repertuar może być hermetyczny, ale to nie ma znaczenia, bo głosy wabią cię w klastry i fakturę muzyki. Zamiast fetyszyzacji głosu, jak to często bywa w muzyce klasycznej czy operowej, słuchacz otrzymuje inkantacje – ale nie chodzi tu o oczarowanie w dosłownym znaczeniu tego słowa, bo to byłaby dalej fetyszyzacja, której chcę uniknąć. Chodzi mi o oczarowanie, które jest konfrontacją z niewysłowioną dziwnością zawartą w głosie, być może nawet bolesną, niczym ość w gardle. Śpiew przecież zawsze wymaga ciała, ale nasza sztuczka polega na obejściu tego, co dosłownie zawarte w partyturze. Można to nazwać eksploracją wirtualnego pola, które krąży wokół skwantyfikowanego zapisu. Istnieje jednak granica tej plastyczności, szczególnie w przypadku nagrania. Utrwalone wersje naszych kompozycji są zawsze mniej lub bardziej znormalizowanymi adaptacjami tego, co dzieje się na koncertach. Zapisu całego spektrum możliwości, które staramy się eksplorować, nie udźwignęłaby żadna płyta (*śmiech*).

Dochodzimy do pytania o esencję muzyki? Czuję się zmuszony, by je zadać, sam bym nie śmiał...

Esencję da się wyabstrahować wyłącznie z pojedynczych wykonań. Im więcej wkładamy w nie osobistego zaangażowania, tym więcej uniwersalnej esencji jesteśmy w stanie uchwycić. Wiedział o tym w XX wieku Theodor Adorno, ale wiedział też w XVIII wieku – długo przed nim – Hegel: tak, to substancja jest podmiotem. W obrębie chrześcijaństwa zrodził się fascynujący koncept kenozy, czyli Boga, który wyczerpuje, wyniszcza samego siebie w postaci Chrystusa. W katolickiej ikonografii pojawia się obraz Jezusa, którego krew wyciskana jest przez mistyczną tłocznię do winogron – zbiera się w beczkach jak wino. Bardzo lubię tę ideę dosłownego, fizycznego wyciskania esencji. Tak właśnie robię z partyturą – dążę do muzycznej kenozy. Są oczywiście granice, trzeba wiedzieć, jak daleko można się posunąć, ile dany utwór jest w stanie wytrzymać, podobnie jak głosy, z którymi się pracuje.

Testuje Pan granice wytrzymałości dzieła sztuki?

Powiedzmy, że to odkształcanie i deformowanie sprawia, że dzieło jest w stanie wyartykułować własny rozpad, oczywiście bez doprowadzania do dosłownego rozpadu. To dla mnie definicja gotyku – pierwszego stylu w architekturze, który zawarł w sobie wizję własnych ruin. Gotycki budynek, gdy powstaje, jest prawie nie od odróżnienia od dużo późniejszego stanu, gdy znajduje się już w rozkładzie. Proszę pomyśleć o niedokończonych wieżach kościoła św. Barbary na rysunku Jana van Eycka. Dzieło niedokończone to wynalazek gotyku. Na tym właśnie polega rewolucja, jaką przynosi muzyka polifoniczna i sztuka gotycka. Nie są już ilustracją tego, co boskie, ale działają właśnie zgodnie z logiką kenozy i wcielenia – pokazują upadek i rozpad; Boga, który pozbawił się własnej esencji, oddał ją. Jest w tym coś głęboko ateistycznego, ↦

KOEN_BROOS / MATERIAŁY PRASOWE

Koncert zespołu Graindelavoix odbędzie się 7 marca w Warszawie w ramach festiwalu Nowe Epifanie. Dzień później odbędzie się pokaz filmu „Van Eyck Diagrams". Więcej informacji na noweepifanie.pl.

↦ bo całkowicie odrzuca gloryfikację boskości. Zgodnie z tą myślą prawdziwy ateizm może wywodzić się jedynie z chrześcijaństwa.

Odruchowo zakładamy, że muzyka dawna jest trudna w odbiorze, że wymaga wiedzy i doświadczenia.

Trudna w słuchaniu jest muzyka źle wykonywana. Argumenty z erudycji czy maestrii służą legitymizacji wykonań, które po prostu źle wyszły. Niektórzy twierdzą też, że skoro ludzie kiedyś żyli i myśleli inaczej, to nie mamy bezpośredniego dostępu do ich dzieł. Musimy więc dogłębnie poznać kontekst danej epoki oraz lokalne realia, żeby zrozumieć dany utwór. Jednocześnie ci sami ludzie przeczą sobie, bo mówią o uniwersalnym charakterze dawnej muzyki. W tym środowisku panuje szkolna mentalność – mówi się wyłącznie o „dawnych mistrzach", a źródła nauczanej wiedzy muszą niknąć w pomroce dziejów. To skrajnie paternalistyczne i pseudopedagogiczne podejście, które Adorno przewidział już siedemdziesiąt lat temu – najpierw odzieramy dawne repertuary z estetycznego i muzycznego potencjału, a potem podgrzewamy je na folklorystycznej kuchence i serwujemy podczas odpustowych jarmarków.

Historycy muzyki szkodzą muzyce?

Nie sami historycy, ale podejście historyczne, które neutralizuje wszystko, co w dziele obce i niejednorodne, nazywając je anachronicznym. Dla mnie sztuka ma antagonistyczny charakter i dobre wykonanie potrafi to uchwycić. Nigdy nie podchodzę do muzyki z pozycji mistrza czy eksperta. Interesuje mnie za to odzyskanie perspektywy tych ślepych plamek, pól niewidzenia, zarówno we mnie, jak i partyturze. Bo czego właściwie oczekuje od nas partytura? To pytanie mógłby zadać nawet sam kompozytor tuż po jej stworzeniu.

Poza zawężającym historyzmem dzisiejsza refleksja nad muzyką dawną nie ma zbyt wiele do zaproponowania: to jedynie krytyka oparta na emocjonalnych opiniach. A przecież mogłaby stanowić genialny punkt wyjścia dla dyskusji o sztuce, estetyce, filozofii... Marzy mi się festiwal, który obejmowałby muzykę wszystkich epok: koncerty, reinterpretacje, improwizacje. Czyli przerzucanie mostów między różnymi repertuarami, a także wykłady, dyskusje, warsztaty... Wydaje mi się, że powinniśmy zmieniać nie tyle samą muzykę, co horyzont społeczny i kulturowy, w której ona powstaje i jest słuchana.

Ignorując historyczny kontekst muzyki – zyskujemy?

Zapytam odwrotnie – co znaczy „nie ignorować historycznego kontekstu"? Ośmielę się stwierdzić, że każdy utwór muzyczny zawsze i z zasady ignoruje swój kontekst historyczny – przez zmianę perspektywy i miejsca, rzucenie się w niewiadomy świat i, przede wszystkim, przez sam fakt bycia wykonywanym. Dla mnie ahistoryczni są raczej eksperci, kurczowo trzymający się niezmiennych historycznych kontekstów, bo nie biorą pod uwagę tego, co Freud nazwał *Nachträglichkeit*, życiem po życiu.

Żadne dzieło nie jest sumą autorskich intencji i kontekstów epoki – wręcz przeciwnie. Dzieło musi się przeciwko nim zbuntować, umrzeć, jak mówił Marcel Proust, aby odrodzić się na nowo. Albo inaczej – załóżmy na chwilę, że historycznie wierne wykonanie danego utworu jest możliwe. Jakby ono miało właściwie wyglądać? Musiałoby bazować na wyświechtanych do bólu kulturowych kliszach, być koszmarnie nudnym i bezpłodnym zlepkiem abstrakcyjnych frazesów. Czyli zła muzyka plus pseudoumiejętności. Inna sprawa, że wielka muzyka rzadko była rozumiana przez sobie współczesnych. Raczej czekała w uśpieniu na nas, którzy dopiero z perspektywy czasu potrafimy dostrzec jej piękno i potencjał. Fascynujące są te sprzeczności.

Skąd wziął się Josquin w Waszym repertuarze?

Wezwanie zazwyczaj pochodzi z zewnątrz – pojawia się czasem okazja, żeby pokazać własną wersję danego repertuaru. Tak właśnie było w przypadku Josquina w 2021 r., gdy wypadała 500. rocznica jego śmierci. Czekaliśmy do ostatniej chwili, aby pokazać się z naszą płytą i jej specyficzną okładką. Chcieliśmy zmienić kicz nieśmiertelności w grunge nieumarłych... (*śmiech*)

Ale co konkretnie Was urzekło?

Na początku chciałem nagrać płytę poświęconą jego motetom i zatytułować ją „Cudowne maszyny", bo wyczuwałem w nim coś wyraźnie maszynowego właśnie. Być może popęd do śmierci i popęd do maszynowości to dwie strony tego samego medalu? Potem zauważyłem, że większość jego pieśni była przez lata zaniedbywana i rzadko wykonywana.

Czyli wyzwanie?

Owszem, żeby je uczynić maksymalnie muzykalnymi, jednocześnie pozwalając ich wielkości powoli narastać, z dbałością o wszystkie szczegóły, dysonanse i efekty. Namawiałem wszystkich śpiewaków do emocjonalnego zaangażowania w ten projekt, co słychać na płycie. Ogromnie się cieszę, że ich obecność – w całej swojej

kruchości, miękkości i plastyczności – jest tak słyszalna. Każdy z nich ma zupełnie inne doświadczenie i indywidualny sposób ekspresji, a jednak potrafią porzucić na chwilę ten bagaż i złączyć się z innymi – tak powstało wykonanie, które nie jest charakterystyczne dla żadnej epoki ani kultury. Śpiew polifoniczny to coś w swojej istocie bardzo sztucznego, mechanicznego właśnie. Dlatego możliwe jest tu oddzielenie głosów i tożsamości, które za nimi stoją, aby stworzyć coś nowego. Cała idea zachodniej polifonii polega na podpinaniu się do muzycznej maszyny. Absolutne wyobcowanie albo lepiej – wydzielenie artystycznej operacji, rezygnacja ze szczególnej pozycji artysty na rzecz zbiorowego przedsięwzięcia. A ostrzem, które tnie, jest samo ciało.

Jak wyglądała praca z muzyką Josquina?

Cieszę się, że udało się nam utrzymać na całej płycie właściwe muzyce Josquina poczucie zakleszczenia. Poszczególne utwory są oczywiście różnorodne, ale jednocześnie bardzo powtarzalne – w zasadzie jeden lament po drugim. Mówi się, że to nasza najlepsza płyta, co tylko pokazuje, że współcześni słuchacze doceniają te różnorodne formy przymusu powtarzania, tak typowe dla kompozycji Josquina. Był on niezwykle świadomym kompozytorem. Większość twórców tamtej epoki czuła potrzebę różnorodności motywów, melodii czy technik, ale nie on. U niego różnorodność pojawia się wyłącznie w powtarzaniu tego samego. Nie ja odkryłem tę cechę jego kompozycji, ale postanowiłem ją stematyzować na płycie. Ta powtarzalna poezja lamentacyjna wytwarza silny popęd śmierci, prowadzący do muzycznej katastrofy. A to z kolei jest szczególnie bliskie mojemu podejściu do sztuki jako budowania ruin.

> Marzy mi się festiwal, który obejmowałby muzykę wszystkich epok: koncerty, reinterpretacje, improwizacje. **Powinniśmy zmieniać nie tyle samą muzykę,** co horyzont społeczny i kulturowy, w której ona powstaje i jest słuchana.

Płyta „Josquin The Undead" trafiła na listy przebojów w Belgii. Ludzie są znudzeni banalnością współczesnej muzyki?

Muzyka każdej epoki potrafi być banalna. Wiele wczesnonowożytnych kompozycji jest zwyczajnie nudnych, dlatego coraz rzadziej sięgam poza wąskie grono swoich ulubionych twórców i repertuarów. Oczywiście wiele zależy od konkretnego wykonania. Z drugiej strony wciąż szukam w muzyce dawnej czegoś, co byłoby istotne i ciekawe dla współczesnego odbiorcy. A do tego trzeba mieszać, burzyć ustalone relacje między tym, co swojskie i obce. ↦

REKLAMA

POLSKIE SŁUŻBY DZIAŁAJĄ POZA KONTROLĄ

FUNDACJA PANOPTYKON

Nikt ci nie powie, kiedy będą cię podglądać.
Pomóż to zmienić: wejdź na **niktciniepowie.org** i przekaż 1% podatku (**KRS: 0000327613**)

Już trzeci raz będziecie grać w Polsce.

Uwielbiam polską publiczność, bo potrafi być jednocześnie entuzjastyczna i krytyczna, lubi też wyzwania. Miałem okazję występować tu dwukrotnie, za każdym razem było inaczej, ale zawsze interesująco. Dlatego też w tym roku występujemy nie tylko z koncertem podczas festiwalu Nowe Epifanie, ale chcemy też pokazać nasz film „Van Eyck Diagrams".

Hołd dla malarza?

Nie tylko. Nagraliśmy go w samym środku pandemii. Początkowo był to projekt teatralny, ale musieliśmy zmienić go w film. To komedia, która opowiada o kondycji artystów w czasach covidu, ale również sprzeciw wobec ślepej gloryfikacji przeszłości i kulturowemu patrymonium. Tej krytycznej opowieści towarzyszy fantastyczna muzyka polifoniczna z mniej więcej 1430 roku, wykonywana przez trzon śpiewaków z Graindelavoix (Hallock, Riera, Peterson & Malfliet).

Film jest także antidotum na powracający we Flandrii, za sprawą radykalnej prawicy, konserwatyzm w sztuce. W ich wizji Jan van Eyck jest przednowoczesnym malarzem, który pracował dla Kościoła i bogatych sponsorów, co ma legitymizować późniejsze, neoliberalne zjawiska związane z prywatyzacją sztuki i wycofywaniem się państwa z roli mecenasa. Co oczywiście nie przeszkadza wpisywać go w nacjonalistyczną narrację o wspaniałej przeszłości Belgii. Zależy nam, żeby stworzyć znacznie bardziej złożony portret tego artysty. Jestem pewien, że polska publiczność również dostrzeże wagę tego problemu, który przecież ma charakter globalny. Przy okazji – to komedia. A dziś – zamiast wpadać w pułapkę *cancel culture* – potrzebujemy emancypacyjnych komedii. Krytyczna komedia przeciwko karnawałowi władzy!

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Zakopane – 100,0 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Gorlice – 97,4 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Andrychów – 98,8 FM
www.radiokrakow.pl

Uśmiech królowej

ANITA PIOTROWSKA

Olivia Colman to urodzona antygwiazda. Zanim stała się faworytką publiczności i królową ekranu, zjadła zęby na serialach i sitcomach. Dziś nazywa się ją dobrem narodowym.

Jej role uchodzą za esencję brytyjskości, zazwyczaj w sztywnym, arystokratycznym wydaniu, choć przecież wnoszą do filmu naturalne iskrzenie, coś uroczo swojskiego i „babskiego". Na ekranie wcielała się w postacie biegunowo różne, bo i w monarchinie, i służące, bywała wyrodną matką, wredną macochą i troskliwą córką. A także podwójną morderczynią, zdeterminowaną detektyw z prowincji, ciężarną agentką wywiadu i żandarmem w spódnicy. Niezależnie od kameleonowych zdolności Olivia Colman reprezentuje aktorstwo nowej ery, uprawiane przez dojrzałe, błyskotliwe, świadome swojej wartości kobiety.

Angielski humor

Jest zaprzeczeniem hollywoodzkiego glamouru. Podczas gdy jej rówieśnice (rocznik 1974), jak Penélope Cruz, Amy Adams i Eva Mendes, z powodzeniem udają, że ciągle mają najwyżej trzydzieści lat, ona chętnie grywa osoby starsze od siebie i zdaje się nie wstydzić lekkiej nadwagi czy zmęczonej twarzy. Ani króliczego – lub kociego, rodem z Cheshire – uśmiechu, który może oznaczać wszystko. Bywa przepraszający i jednocześnie bezczelny. Serdeczny i filuterny, z charakterystycznymi dołkami w policzkach. Rozbrajająco szczery i jakby skrywający napięcie. Plastyczna twarz Colman stała się sojuszniczką jej talentu.

DES WILLIE / NETFLIX / MATERIAŁY PRASOWE

Olivia Colman jako królowa Elżbieta w serialu „The Crown", sezon 3.

Na ironię mógłby zakrawać fakt, że dopiero u progu pięćdziesiątego roku życia, kiedy wiele jej koleżanek po fachu drży przed przymusową emeryturą i staje się zakładniczkami medycyny estetycznej, otrzymała najlepsze propozycje i zyskała wreszcie należyte uznanie. Seriale „Broadchurch" i „The Crown" tudzież Oscar za rolę królowej w „Faworycie" Yorgosa Lanthimosa zapoczątkowały ciąg spełnień. Dzisiaj jej dorobek ekranowy liczy ponad setkę tytułów i pod względem jakości przejawia tendencję zwyżkową.

Niebawem do polskich kin trafi najnowszy film z jej udziałem – „Córka", reżyserski debiut Maggie Gyllenhaal na podstawie powieści Eleny Ferrante. To ukoronowanie (*nomen omen*) talentu Colman, której wróży się drugą statuetkę Amerykańskiej Akademii. Jeśli miałaby w przyszłości dostać nagrodę za całokształt, w laudacji powinny znaleźć się nie tylko wyrazy uznania dla jej zawodowych umiejętności, ale i określenia „inteligencja", „skromność", „poczucie humoru", „ludzkie ciepło".

Nawet podczas oscarowych podziękowań w 2019 r. strzepnęła z siebie brokat i spontanicznie zaczęła wspominać trudne aktorskie początki, kiedy to musiała chwytać się dorywczych prac, m.in. jako sprzątaczka (rozważała też bycie położną). Wcześniej studiowała nauczanie początkowe na Cambridge, gdzie zresztą poznała swego męża, Eda Sinclaira, niedoszłego prawnika, przyszłego scenarzystę i producenta – są w związku do dziś i wychowują razem trójkę dzieci. To on specjalnie dla małżonki napisze w 2021 r. znakomity miniserial „Ogrodnicy", dostępny na HBO GO. Ale pierwsze role telewizyjne rozmaitego kalibru grywała już dwadzieścia lat wcześniej, zaraz po ukończeniu bristolskiej Old Vic Theatre School.

Bo zanim stała się faworytką publiczności i królową ekranu, Colman zjadła zęby na serialach i sitcomach. Tamże, w produkcjach kręconych dla Channel 4 czy BBC, mogła ćwiczyć swój komediowy dryg, i to w najlepszym towarzystwie. Dość przypomnieć, że jej debiut „Bruiser" miał wśród scenarzystów takie głośne dziś nazwiska, jak Ricky Gervais i Richard Ayoade. Pojawiła się także w brytyjskiej wersji „The Office", a jej występy w popularnych serialach typu „Peep Show", „Zielone skrzydło" albo „Piękni ludzie" to kwintesencja tego, co się zowie angielskim humorem, z całym jego sarkazmem i autoironią.

Kino się upomniało

Przez lata szukała możliwości, by zagrać wreszcie na poważnie, w każdym tego słowa znaczeniu. Z pomocą przyszedł jej znajomy reżyser Paddy Considine i zaproponował udział w „Tyranozaurze" (2011) u boku Petera Mullana. Wcieliła się tam Colman w pracownicę sklepu charytatywnego, ofiarę przemocy domowej i kobietę u progu alkoholizmu, która mimo głębokiej wiary i miękkiego serca zostaje doprowadzona do ostateczności. Z tego filmu pamięta się przede wszystkim przepastne oczy aktorki, podbite fioletowym sińcem. Ale jest w nich czystość i nadzieja, a poniekąd i zapowiedź innych ról dramatycznych, na czele z „Ojcem" Floriana Zellera. Dziesięć lat temu kino wreszcie upomniało się o nią na serio.

To chyba Lanthimos jako pierwszy zobaczył w owym dobrotliwym spojrzeniu zupełnie inny potencjał – dwuznaczność czy wręcz okrucieństwo. Nim powierzył aktorce główną rolę w „Faworycie", obsadził ją w surrealistycznej dystopii „Lobster" (2015), gdzie była dyrektorką hotelu dla singli, przemieniającą swych klientów w zwierzęta, o ile w wyznaczonym czasie nie udało im się znaleźć swej drugiej połówki. Egzekutorkę brutalnej inżynierii społecznej zagrała Colman z iście angielskim chłodem, lecz w pierwszoligowej międzynarodowej obsadzie, przekraczając tym samym krąg aktorów i aktorek ściśle brytyjskich.

Sukces serialowej trylogii „Broadchurch" (2013-17) przypieczętował tę pozycję, stawiając ją w jednym szeregu z takimi osobowościami rodem z Wysp, jak Helen Mirren czy Judi Dench. Amerykański serial „Mare z Easttown" jest w dużej mierze dłużnikiem filmowego śledztwa w hrabstwie Dorset, współprowadzonego przez miejscową sierżant Ellie Miller. W finale pierwszego sezonu zwyczajność i emocjonalność pani detektyw zostały wystawiane na wyjątkowo ciężką próbę. Czy ktoś zdołałby wyrazić to lepiej niż Colman?

Odtąd jej kariera toczy się wartko na małym i dużym ekranie. Sporo w niej kompromisów – rólek w średnich komediach romantycznych czy filmach grozy, ale i zaskakujących, nowych wyzwań, typu występ w dokumentalno-musicalowym eksperymencie „London Road" (2015), jako że Olivia Colman potrafi także zaśpiewać. Skupmy się jednak na aktorskich perełkach. Do takich należy bez wątpienia rola w serialu „Fleabag" (2016-19) Phoebe Waller-Bridge. Postać dwulicowej matki chrzestnej, która podstępnie staje się macochą, a zarazem pseudoartystki, która z tym samym wyrachowaniem pogrywa seksem w swojej sztuce, pozwoliła lepiej wybrzmieć tytułowej Fleabag – pogubionej, ciągle eksperymentującej, choć na swój sposób autentycznej trzydziestoparolatce. Podobno Colman uprosiła twórczynię serialu, by jej bohaterka została przedstawiona w jak najgorszym świetle. Po czym swoją interpretacją sprawiła, że właśnie ta przebiegła i arcyzłośliwa mistrzyni drugiego planu stała się ulubienicą wielu widzów – czysta perwersja.

Królowe i inne

Wszystko to miało być dopiero preludium do rozpisanej na dwa sezony kreacji – w serialu „The Crown", gdzie Colman dźwigała koronę Elżbiety II w średnim wieku. Nie popadając w karykaturę, doskonale podrabiała jej sposób bycia i akcent, co wymagało pracy nad motoryką ↦

↦ („mówią, że poruszam się jak farmer") i nad wrodzonym cockneyem. Ponieważ mało kto posiada zakulisowy dostęp do tej postaci, wykreowała ją w ścisłym tego słowa znaczeniu, pokonując mielizny scenariusza, zarzuty o niezgodność z pierwowzorem i własną nadekspresję.

Dodajmy, że nie było to jej pierwsze spotkanie z monarchinią – jeszcze w 2012 r. zagrała królową matkę w „Weekendzie z królem" Rogera Michella, który przeszedł bez większego echa. Za to wspomniana wyżej produkcja o brytyjskich royalsach okazała się wielkim osiągnięciem w dziedzinie telewizji, również za sprawą aktorki. Jej słynny króliczo-koci uśmiech idealnie wyrażał królewską strategię; żelazna etykieta była tutaj przykrywką dla emocji i niepopularnych decyzji. Tylko niespokojne oczy Colman zdradzały czasami to, co być może kryło się pod powierzchnią. Jej wysokość, grana w serialu przez trzy wykonawczynie w różnym wieku, wiele zawdzięcza swemu środkowemu wcieleniu, a już na pewno uczłowieczenie i ocieplenie wizerunku.

Trudno też patrzeć na serialową monarchinię bez odniesień do tej o rok wcześniejszej – we wspomnianej „Faworycie". Królowa Anna Stuart została sportretowana przez Lanthimosa w końcówce swego panowania, czyli na początku XVIII w., ale scenarzyści wyjmują tę postać z typowo historycznego kontekstu. Dla Colman to okazja, by ożywić na ekranie cudownego potwora, wyłuskać z monarszych krynolin marudną, schorowaną, starzejącą się kobietę, o której względy rywalizują, głównie w alkowie, młode dwórki. Ale która pomimo swej uprzywilejowanej sytuacji pozostaje osobą nieszczęśliwą, traktowaną marionetkowo, niespełnioną w miłości i macierzyństwie. Jeżeli udaje się nam zobaczyć tragizm w tej groteskowej bohaterce – królowej otoczonej królikami – to znowu dzięki aktorstwu. Colman przytyła na potrzeby filmu aż szesnaście kilogramów i zagrała nad wyraz cieleśnie, bez zahamowań w kwestiach erotycznych. Pod względem psychologicznym, o czym wspomina w wywiadach, zdała się raczej na instynkt i empatię niż na tradycyjny proces budowania roli – i znowu się opłaciło.

Podobną, budzącą współczucie monstrualność udało się jej stworzyć we wspomnianych „Ogrodnikach". Oto niepozorna bibliotekarka w szarym prochowcu i wełnianym berecie morduje wraz z mężem swoich starych rodziców i zakopuje ich zwłoki w ogrodzie. Ale z odcinka na odcinek ta psychopatka i mitomanka uciekająca w świat filmowej fikcji stopniowo odsłania ukrytą w środku skrzywdzoną dziewczynkę, chorobliwie uzależnioną od miłości, bezbronną wobec swoich demonów. Scena sądowa, gdy Susan zostaje skonfrontowana z faktami, to popis aktorskiej wrażliwości najwyższej próby, odnajdujący w przerysowanej antybohaterce coś głęboko ludzkiego.

Zmysłowa obecność

Jednak prawdziwą miarą kunsztu Colman są role bardziej kameralne i dyskretne, również te rozegrane w cieniu pochłaniających ekran kreacji. Na przykład w „Ojcu", gdzie Anthony Hopkins był chorym na alzheimera starcem, ona zaś jako jego córka starała się umościć go w obcej, powyginanej przez chorobę czasoprzestrzeni. Na twarzy aktorki, nominowanej za tę skromną rolę do Oscara, bezgraniczna cierpliwość ścierała się z coraz większą bezradnością i stopniowe „znikanie" ojca stawało się tym bardziej bolesne.

Istny wachlarz sprzecznych, acz subtelnie artykułowanych emocji wyraża i wyzwala jej najnowsza kreacja, w „Córce". Gdyby ktoś się obawiał, że nie mógł się udać transfer Ferrante na wyspy greckie i że profesor literatury ściśle związana z Neapolem stała się tu Amerykanką, może być spokojny. Mimo licznych przesunięć i skrótów adaptacja dokonana przez Gyllenhaal wydobywa uniwersalność tej prozy. A Colman jako Leda Caruso, która podczas samotnych wakacji rozpamiętuje swoje macierzyństwo, w szczególności trudną decyzję o porzuceniu na kilka lat dwóch małych córek, wprowadza nas w rzadko uczęszczane rejony kobiecej intymności.

W jednej z pierwszych scen obwarowana książkami Leda, wylegująca się na plaży niczym zadowolona z siebie foka, zauważa młodą kobietę, baraszkującą z córeczką w grajdołku nieopodal. Ów obrazek szczęśliwego macierzyństwa zaczyna ujawniać niewidzialne dla innych pęknięcia – zmęczenie, znudzenie, ciągłą kontrolę ze strony rodziny... Tajemnicza więź, jaka wytwarza się między dwiema kobietami na różnych etapach życia, o różnej pozycji społecznej, przywołuje wspomnienia kluczowe dla przeszłości Ledy, kiedy po urodzeniu dzieci jej uniwersytecka aktywność stanęła pod znakiem zapytania. W serii retrospekcji, gdzie Ledę gra rozedrgana i również nominowana do Oscara Jessie Buckley, powraca nieudane małżeństwo, frustracja wywołana domowym chaosem, hałasem, kieratem, a wreszcie nagłe przebudzenie i jego dramatyczne następstwa.

Zaczynamy rozumieć, skąd wzięła się postać Colman – zdystansowanej obserwatorki, wchodzącej w kurtuazyjne relacje i zarazem powściągliwej przy bliższym poznaniu. Aktorka całą sobą wy-

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Tychach, Wydział I Cywilny, pod sygn. akt I Ns 93/21 toczy się postępowanie sądowe o stwierdzenie nabycia spadku po Andrzeju Skupnym, ostatnio stale zamieszkującym w Tychach, zm. 30 lipca 2019 r. w Tychach.

Wzywa się spadkobierców bądź ich następców prawnych, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do sądu, w którym toczy się postępowanie, i udowodnili swoje prawo do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o nabyciu spadku.

W Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie I Wydziale Cywilnym pod sygnaturą I Ns 704/20 toczy się postępowanie z wniosku Piotra Szczurka o stwierdzenie nabycia spadku po Zygmuncie Konradzie Kucu, s. Antoniego i Marii, zm. 19 lutego 2013 r. w Nikozji (Republika Cypru), mającym ostatnie miejsce stałego pobytu w Nikozji (Republika Cypru).

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

MATERIAŁY PRASOWE

Olivia Colman w filmie „Córka”

raża tę osobność i pewien rodzaj zdziwaczenia bohaterki. Jednocześnie z każdą sceną coraz lepiej rozumiemy jej irracjonalne zachowanie, czasem ledwie prowokacyjne, to znów ocierające się o ryzykowne przekroczenie.

Nie jest to bowiem opowieść o macierzyństwie jako źródle cierpień. „Córka”, chwilami śmiało flirtując z konwencją thrillera, opowiada raczej o tych wszystkich niewypowiedzianych, wstydliwych myślach czy emocjach, jakie towarzyszą kobiecie w wypełnianiu najtrudniejszej z życiowych ról. Poprzez osobę Ledy film uruchamia dyskusję o prymacie instynktu macierzyńskiego i o rodzicielstwie za wszelką cenę. Polemizuje z mitami narosłymi wokół „cudu narodzin” i z jego dobroczynnym wpływem na kobiecą samoidentyfikację. Ukazuje ambiwalencję zarówno utraty, jak i odzyskiwania siebie. Kiedy w jednej ze scen kobieta bierze do rąk ukradzioną na plaży lalkę, z wnętrza zabawki wylewa się szlam i wypełza obły robal.

Niejedyna to w filmie metafora (Gyllenhall gospodaruje nią nader szczodrze), służąca konfrontacji dojrzałej bohaterki z własną historią, ukazaniu zasadniczej przemiany, jaka się w niej dokonuje, tudzież zintegrowaniu obecnej Ledy z tą dawną. Widzowi pomaga w tym intensywnie zmysłowa obecność Colman w kadrze. Trzeba przyznać, że jeszcze nigdy kamera nie była aktorce tak oddana. Jej naturalna, oblana słońcem twarz w obiektywie Hélène Louvart staje się osobną opowieścią. W zbliżeniach tych zawiera się cała filozofia filmu, będącego jedną wielką introspekcją, to znów percepcją zapośredniczoną, filtrującą wszystko przez skórę i mózg Ledy. Na taką rolę czeka się całe życie i Colman w pełni na nią zasłużyła.

Dziś nazywa się ją dobrem narodowym – za chwilę zobaczymy ją jako zdziwaczałą pannę Havisham w „Wielkich nadziejach”, miniserialu BBC według Dickensa – a przy tym udało jej się pozostać sobą: zatwardziałą domatorką, zaangażowaną bardziej w pracę charytatywną niż życie towarzyskie. W krótkim czasie zdążyła otrzymać najważniejsze nagrody filmowe, w 2019 r. dołączył zaś do tej kolekcji Order Imperium Brytyjskiego otrzymany z rąk księżniczki Anny, niedługo przed premierą trzeciego sezonu „The Crown”. Biorąc pod uwagę indyjskie korzenie aktorki (jeden z jej XIX-wiecznych przodków poślubił kobietę pochodzącą z Biharu) można dopatrzyć się w tym jeszcze jednej ironii losu. Ciekawe, co na to brytyjska królowa. © ANITA PIOTROWSKA

CÓRKA *(„The Lost Daughter”) – reż. Maggie Gyllenhaal. Prod. Grecja/USA/Wielka Brytania/Izrael 2021. Dystryb. Monolith Films/Velvet Spoon. W kinach od 4 marca.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Poufne lekcje perskiego

Dramat, reż. Vadim Perelman, Niemcy/Rosja/Białoruś 2020, VoD, od 4 III

Aby przetrwać w obozie koncentracyjnym, młody belgijski Żyd udaje, że jest Persem. Bierze go pod swoje skrzydła niemiecki oficer pragnący uczyć się języka, o którym jego „nauczyciel” nie ma pojęcia i musi wymyślać go na poczekaniu. Jak długo utrzyma się ta mistyfikacja? Pochodzący z Ukrainy reżyser opowiada bajkę o Zagładzie, pielęgnując wiarę w cud.

2. Bo we mnie jest seks

Komedia, reż. Katarzyna Klimkiewicz, Polska 2021, Netflix, od 8 III

Premiera filmu o Kalinie Jędrusik w Dniu Kobiet nie jest przypadkowa. To bowiem nie tyle film biograficzny czy musical o peerelowskiej seksbombie, co nakręcona z dzisiejszą świadomością i osadzona w umownych dekoracjach fantazja na temat kobiety po swojemu walczącej ze stereotypami. W roli głównej Maria Dębska, aktorka wielu talentów.

3. Wielki strach

Dokumentalny, reż. Pawlina Carlucci Sforza, Polska 2020, DAFilms

Wydarzenia sprzed ponad 70 lat przez długi czas otaczała zmowa milczenia. Autorka tego krótkiego dokumentu postanowiła ją przełamać. W podkarpackim lesie niedaleko Przeworska zakopane są ciała Polaków, którzy tuż po wojnie wracali z pracy przymusowej w Niemczech i z powodów rabunkowych padali ofiarą innych Polaków. Dziś opowiadają o tym naoczni świadkowie.

4. Lokatorka

Thriller, reż. Michał Otłowski, Polska 2021, VoD

Z inspiracji historią Jolanty Brzeskiej, zamordowanej aktywistki ruchu lokatorskiego (gra ją nagrodzona w Gdyni Sławomira Łozińska), powstała historia, która próbuje łączyć społeczny przekaz z kryminalną intrygą. Prowadząca śledztwo policjantka (Irena Melcer) zderza się z warszawskim „układem zamkniętym”, kładąc na szali swe bezpieczeństwo i młodzieńczy idealizm.

JAN

Klata:
Drabinka eskalacji

Niezależnie od tego, jak się wszystko skończy, ludzkość musi powiedzieć: „Rosyjski okręcie...". I dobro zwycięży, być może pośmiertnie. A przecież trzynastu bohaterów z Wężowej Wyspy zatryumfowało nad śmiercią, nawet jeśli żyją. Liczą się intencje, nieprawdaż? Oto przykład dla ludzkości, przykład heroiczno-optymistyczny.

Zło szerzy strach – nie od dziś o tym wiadomo, ale teraz wiadomo jakby bardziej. Ukraińcy nie dali się pokonać lękowi, dają światu przykład, jak się nie poddać, wydaje się, że wszyscy ludzie w przyspieszonym tempie odrabiają lekcję dawania oporu złu, szerzeniu dobra, pomocy potrzebującym. Tyle dobra w bliźnich, niesamowicie dużo dobra. Czas próby, stawianie czoła, wszystkie patetyczne sformułowania materializują się zdumiewająco, w ramach metafizycznej zgoła dziwności istnienia. Wszystko w szaleńczym tempie. Wszystko się rozgrywa w czasie rzeczywistym, którego już wkrótce może nie być, po prostu. Dobro zatrzymało czołgi, czy zatrzyma nuklearne grzyby? Czy ludzie w rosyjskich mundurach zdają sobie sprawę, że są granice kompromisu z dowódcą? Czy dysponują kaftanem bezpieczeństwa uszytym z flagi ZSRR? Na końcu szczebelków legendarnej rosyjskiej strategicznej drabinki eskalacyjnej taki właśnie przyodziewek powinien się znajdować, zamiast czerwonego guzika Wowy. Ukraińcy ratują świat przed zagładą, teraz czas na Rosjan.

Piszę w Warszawie, w niedzielę, 27 lutego 2022 r., o godzinie 15.00. Zdaję sobie sprawę, że nigdy jeszcze sytuacja nie była tak dynamiczna, oby wszystko, co piszę, było za chwilę po prostu śmieszne, jak zaprzeszłe przewidywania Wróża Łukasza, czy jak mu tam. Zdaję sobie sprawę, że ludzkość była w podobnym zwrotnym punkcie ze dwa razy wcześniej, ale mnie przy tym nie było, a jaką mam mieć perspektywę, jak nie naiwnie osobistą? Dziwny jest ten świat, oby pozostał z nami jeszcze jakiś czas. Wierzę, że będzie dobrze, chociaż się boję. Strachy na Lachy. Wrzucam list do butelki, butelkę do wody, w nadziei, że nie wyparuje. ©

Lektor:
Czarne baśnie

▪ *Leonora Carrington*
SIÓDMY KOŃ. OPOWIADANIA ZEBRANE
Przełożyli Maryna Ochab i Michał Kłobukowski.
Wydawnictwo Filtry,
Warszawa 2022, ss. 222.

Wchodzimy dziś w ten surrealistyczny świat zawieszonych reguł prosto z realności, która także, choć w inny sposób, oszalała. Świat pełen gadających zwierząt (ze szczególnym uwzględnieniem koni), dziwacznych hybryd i ekscentrycznych postaci. Próżno szukalibyśmy w tej prozie schronienia czy pociechy, za to poszerza ona granice naszego poznania, rozbija schematy, wedle których postrzegamy rzeczywistość, przywraca poczucie, że samo nasze istnienie jest czymś dziwnym i niekoniecznym.
Olga Tokarczuk w blurbie na okładce napisała o „oczyszczającej kąpieli dla naszego znękanego konwencjami i mechanicznymi nawykami umysłu". Tak, to jest lektura oczyszczająca, a zarazem wywrotowa.
Leonora Carrington, malarka i pisarka (wcześniej przełożono u nas jej powieść „Trąbka do słuchania", która teraz osiąga na Allegro rekordowe ceny), urodziła się w 1917 r. w zamożnej anglo-irlandzkiej rodzinie aspirującej ku arystokracji. Zawsze była buntowniczką, jak bohaterka opowiadania „Debiutantka", która na bal wprowadzający młode dziewczęta w dworski świat wysyła zamiast siebie... zaprzyjaźnioną hienę z ogrodu zoologicznego. I miłośniczką bardzo czarnego humoru: by wejść na bal, hiena nie tylko przebiera się w suknię, ale i pożycza twarz od pokojówki, resztę pokojówki spożywając.
Co po takim debiucie? Bunt przeciw wartościom, którym hołdowali jej bliscy, przeciw systemowi edukacji i odmiennemu traktowaniu chłopców i dziewczynek, przeciw instytucjonalnej religii. Fascynacja celtyckimi (potem meksykańskimi) mitami i wierzeniami. Zerwanie z rodziną, wejście w krąg surrealistów, uczestnictwo w ich wystawach, uznanie ze strony André Bretona, romans z Maksem Ernstem. Życie na krawędzi, kryzys – jak pisze w posłowiu Agnieszka Taborska, badaczka i znawczyni surrealizmu: „majaczenia, rozdawanie osobistych przedmiotów napotkanym ludziom, wspinanie się na dachy oraz maniakalna wiara, że uratuje Europę przed nazistami" – i kilkumiesięczny pobyt w szpitalu psychiatrycznym. Hiszpańskim, bo dzieje się to podczas II wojny. A od roku 1942 r. do śmierci blisko siedem dekad później – Meksyk i przyjaźnie z uciekinierami z Europy, zwłaszcza z bliską jej duchowo i artystycznie hiszpańską malarką Remedios Varo. Życie równie burzliwe jak przygody ludzko-zwierzęcych bohaterów opowiadań Carrington. Które jednych pewnie odrzucą, innych natomiast – uwiodą. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Siła normalności

Trzynastu. Nie ma potrzeby – prawda? – żebym dopowiadał, co oni za jedni. Dostępne dziś informacje są sprzeczne i ktoś, kto chce się trzymać tylko rzetelnych źródeł, musi zaczekać, zanim będzie mógł coś wiedzieć „na pewno" o losie załogi Wyspy Węży. Ale na pewno w wymiarze symbolicznym ich słowa już zostaną na znak mocy, jaką mały może okazać dużemu. Każdy z nas potrzebuje czasem tej mocy zaczerpnąć, sięga wtedy do zasobów mitologicznej wyobraźni, żeby móc postawić się przeciwnościom losu. A szczególnie jej potrzeba, gdy los to konkretna, fizyczna napaść oraz kampania podłego zastraszania. Czołgu wierszem nie ustrzelisz, symbolu nie podłożysz jako miny, ale żeby zwalczyć strach, broń, którą Rosja potrafi kierować równie podle jak rakiety, trzeba, żeby ktoś w imieniu słabszej ofiary powiedział „*idi na chuj!*". Z tą kadencją rytmiczną i bijącą zeń najczystszą siłą odmowy, którą próbujemy usilnie znaleźć, ćwicząc zawiłe, acz wolne od bluzgów zdania na warsztatach asertywności.

Nie jest teraz istotne, czy tamtych trzynastu zdawało sobie sprawę, na jakiej to łysej skale, pozbawionej czegokolwiek użytecznego poza strategicznym położeniem, stacjonują. Na Λευκὴ νῆσος, *Leuke nesos*, znanym kiedyś każdemu absolwentowi porządnego zachodniego gimnazjum także jako *Achilleos Nesos*, czyli miejscu, gdzie Tetyda złożyła zwłoki swojego syna Achillesa, które zabrała, zanim zdążył zapłonąć stos pogrzebowy pod Troją.

Sądząc po gnuśnych reakcjach tak zwanego Zachodu na nasze wcześniejsze „rusofobiczne" wołania, jego władcy nie chodzili do porządnych gimnazjów. Jak dobrze to teraz widać, bez sentymentalnych osłonek, że został on zbudowany na rusztowaniu mentalnym i geograficznym kupieckiej unii miast hanzeatyckich, a nie na jakimś dawno pogrzebanym uniwersalizmie grecko-rzymskim. Gdyby Grecja się bardziej w tym projekcie liczyła niż Hanza, toby żaden polityk, do ostatniej chwili unikający „eskalacji", nie traktował po cichu Ukrainy i całej tej bliżej nieokreślonej posowieckiej domeny jako dzikich pól, którymi trzeba zarządzać minimalnym nakładem sił.

W czasach, kiedy w okolicach Hamburga czy Sztokholmu swobodnie hasały niedźwiedzie nieniepokojone zbytnio obecnością nielicznych ludów nietkniętych jeszcze wynalazkiem pisma, na Wyspie Węży już dawno stała świątynia Achillesa, jak wiemy z zachowanych inskrypcji, utrzymywana przez Olbię. Było to jedno z wielu prężnych miast greckich, tworzących na północnym brzegu Morza Czarnego silny biegun cywilizacyjny.

Świątynię na Wyspie Węży bezpowrotnie zniszczono dopiero w połowie XIX w., gdy Rosjanie zaczęli budować tam latarnię morską i posterunek. Tyle dobrego, że carska admiralicja zleciła wcześniej pobieżną inspekcję, której zawdzięczamy szkice tamtych materialnych śladów. Mniej szczęścia miały inne greckie kolonie, takie jak ta na wysepce Berezan w pobliżu Olbii, która długo służyła jako cel ćwiczeń artyleryjskich floty. Mimo to do dziś archeolodzy wciąż wydobywają z ziemi resztki tamtej Europy.

Ciągłość, oczywiście, została zerwana znacznie wcześniej, dzisiejsza Ukraina nie ma nic wspólnego z greckimi koloniami. Geografia, wymiar przestrzenny dziejów, ma jednak swoje znaczenie, czasem podskórne, i trudno w tych dniach nie myśleć o tym, że widać poważny kryzys Europy mającej punkt ciężkości na Zachodzie i Północy, i że już najwyższy czas ściągnąć go nieco bardziej na Południe i Wschód. Dlatego też ta wojna jest po prostu europejska.

O tym, jak bardzo ta wojna jest w nas, myślałem już w jej pierwszych godzinach, obserwując, jak trudno nam ułożyć w głowie obok siebie gonitwę strasznych myśli i poruszeń serca (które się rozwinęły w zryw pomocy) z jednoczesnym odruchem trwania przy normalności, której emblematem były akurat pączki. Krwawy tłusty czwartek. Wypada je jeść? Czy można oddawać się wcale niekoniecznym do przetrwania biesiadnym rytuałom (choć tego dnia zamiast biesiady odbywa się raczej wielkie narodowe stanie w kolejce), szczególnie tak próżnym i bezsensownym, jak spożywanie tłustego drożdżowego gniota? A może one są właśnie konieczne do przetrwania, o czym świadczy ich trwałość, sprzeczna – zwłaszcza w przypadku pączka – z oficjalną poprawnością dietetyczną i kultem zdrowego ciała?

Zanosimy do punktów zbiórki żywność jako prosty pakiet ratunkowy dla ludzi wycieńczonych ucieczką spod moskiewskich kul. Puszka fasoli, cukier, butla oleju. Nie umrzeć z głodu i zimna – pierwszy cel. Wciskamy gołymi rękoma wyrwane cegły w dolne piętra piramidy Maslowa. Czy jednocześnie możemy czerpać przyjemność z innego jedzenia? Tego zbędnego, wyszukanego, które już wywindowaliśmy na wyższe piętra potrzeb – mając wciąż luksus ich posiadania, bo jesteśmy dopiero następni w kolejce do „denazyfikacji"?

ARTUR BARBAROWSKI / EAST NEWS

Ależ nawet powinniśmy. Robić swoje i zachowywać wszystkie kawałki godności i poczucia dobrego życia, jakie się tylko w danych warunkach da poskładać z tej wciąż nam nieodebranej normalności. Żeby się dzielić i pomagać, trzeba mieć w sobie siłę i pewność. Skoro pączek może sprawić, że jesteśmy bardziej sobą i czujemy się u siebie, to jego zjedzenie jest czynnością etyczną.

Nastał teraz wielki post. Obyśmy za półtora miesiąca mogli się zakrzątnąć wokół tego, żeby na Wielkanoc stół wyglądał jak należy. Odsuwając od siebie strach i wynikłe zeń upokorzenie, bo nie sprzyjają ani altruizmowi, ani męstwu. Chwała ludziom z Wyspy Węży, cokolwiek się tam zdarzyło. Ale odwaga to też czasem mniej efektowna wytrwałość w normalności. ©℗

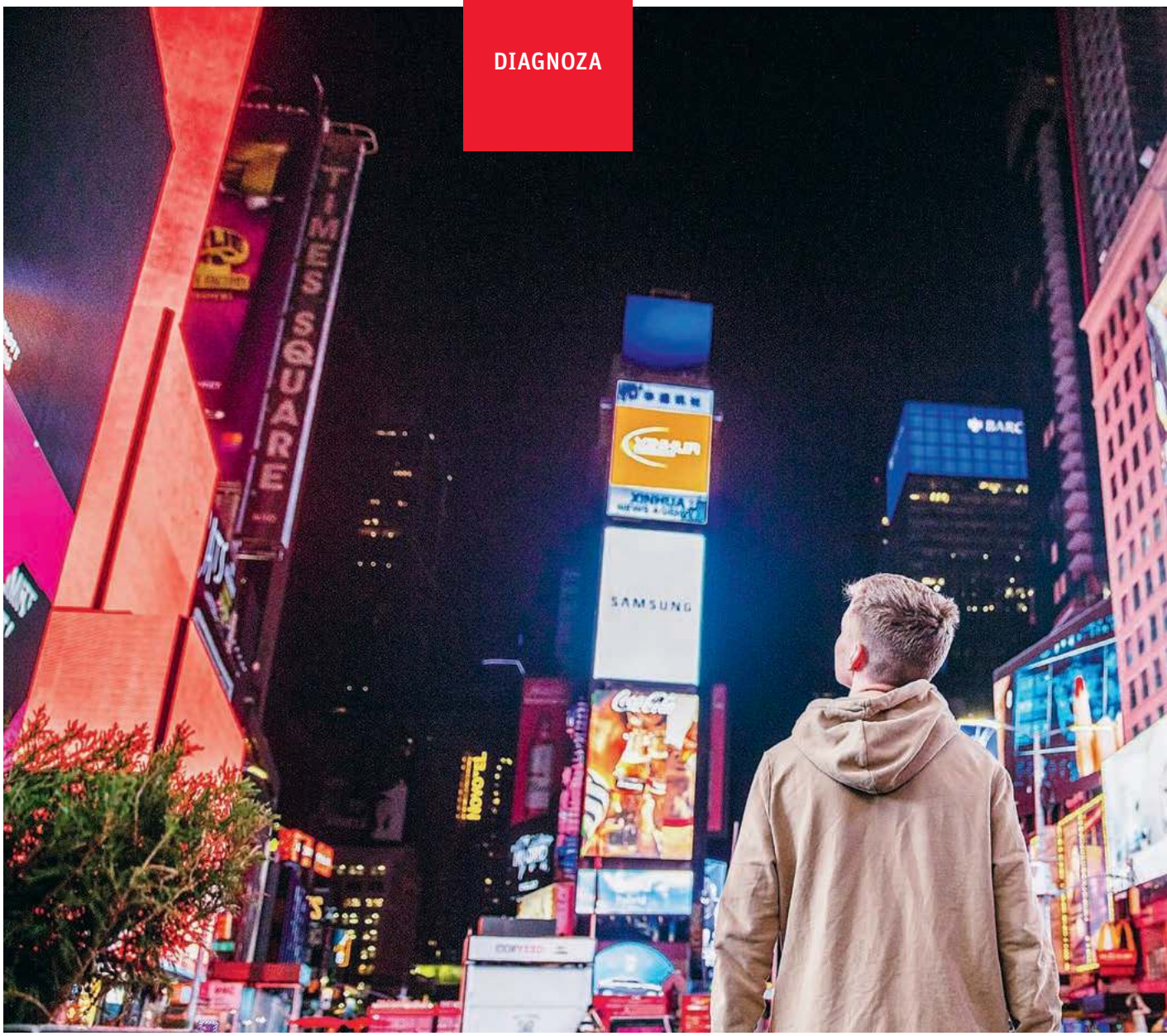

KRÓTKA HISTORIA DESTABILIZACJI

Płynące z Ukrainy obrazy zwiastują nieodwołalny koniec rzeczywistości, którą znaliśmy i w której przynajmniej część z nas czuła się bezpiecznie. Ład oparty na liberalnej wizji społecznego porządku zachwiał się w posadach.

TOMASZ STAWISZYŃSKI

JOSHUA EARLE / UNSPLASH

Times Square w Nowym Jorku.

Według oficjalnej wersji zdarzeń, 11 września 2001 r. o godz. 7.59 czasu nowojorskiego, boeing 767 wystartował z lotniska w Bostonie i dokładnie czterdzieści minut później uderzył w północną wieżę World Trade Center. Po kwadransie drugi boeing, który także wystartował z bostońskiego Logan International Airport, wbił się w wieżę południową. Północna zawaliła się o 9.59, południowa natomiast o 10.28.

Istnieje jednak także wersja alternatywna, w myśl której wszystko potoczyło się (czy raczej toczy) zupełnie inaczej. Wedle tej drugiej interpretacji, oba samoloty uderzały w wieże WTC tysiące, dziesiątki tysięcy, setki tysięcy, miliony, a nawet miliardy razy, wieże zaś z tą samą częstotliwością ulegały zniszczeniu. Co więcej: to się wciąż, bezustannie, codziennie wydarza. W każdej minucie, również w tej, w której powstaje niniejsze zdanie, oraz w tej, w której jest czytane. Samoloty uderzają w wieże, wieże się zapadają. A potem wszystko zaczyna się na nowo.

Wbrew pozorom, nie jest to żadna egzotyczna teoria spiskowa, głosząca na przykład, że istnieje niezliczona ilość światów alternatywnych kontrolowanych przez jakieś tajne organizacje i że stąd się właśnie bierze upiorna powtarzalność zamachów 9/11. Nic z tych rzeczy, to po prostu dość oczywista konstatacja, że rozwój technologii informacyjnych gruntownie przemodelował nie tylko architekturę świata, w którym żyjemy, ale także nasz sposób jego doświadczania. Radykalna innowacyjność (entuzjaści tego pojęcia powinni pamiętać, że jest moralnie dwuznaczne) ataku na Amerykę w 2001 r. polegała nie tylko na tym, że do jego realizacji zastosowano środki wcześniej nieużywane, czyli potężne pasażerskie samoloty. W istocie znacznie intensywniejsza jakościowa zmiana dokonała się w warstwie masowej percepcji. Obrazy upadających wież, zapętlane permanentnie w kanałach przez 24 godziny nadających informacje, wywoływały podprogowe wrażenie, jakby wraz z tym monumentalnym pomnikiem kapitalizmu destrukcji ulegała także konwencjonalna, linearna struktura czasu. Jakby zanikał naturalny porządek zdarzeń, w którym przeszłość, teraźniejszość i przyszłość są wprawdzie płynne – bo przechodzą w siebie nawzajem – ale zarazem w oczywisty sposób rozróżnialne, granice pomiędzy nimi pozostają bowiem wyraźnie zaznaczone.

A przecież dwadzieścia jeden lat temu rozwijający się dopiero internet nie przypominał nawet w ułamku dzisiejszej globalnej sieci, oplatającej szczelnie każdy bodaj centymetr ludzkiego życia. Dwadzieścia jeden lat temu można było wyłączyć telewizor i z ulgą powrócić do oswojonej czasoprzestrzeni. Dzisiaj, w epoce ekspansji smartfonów i mediów społecznościowych, nie ma już takiej możliwości, a w każdym razie jest ona poważnie ograniczona.

Jeden z najciekawszych współczesnych medioznawców, amerykański teoretyk Douglas Rushkoff, ukuł nawet specjalny termin dla tej szczególnej kondycji generowanej przez rozwój technologii cyfrowych: szok teraźniejszości. Za sprawą podłużnych urządzeń z wielofunkcyjnymi wyświetlaczami nastąpiła bezprecedensowa kondensacja czasu. Wszystko wydarza się tu i teraz. Cokolwiek zaistniało w wirtualnym polu, będzie, w zależności od tego, co postanowią algorytmy, powracać w nieskończoność. Nie ma ucieczki, nie ma wyjścia. W tego rodzaju warunkach monstrualnemu przeciążeniu – jak się nietrudno domyślić – ulegają nie tylko procesory, wciąż zastępowane bardziej wydajnymi modelami, ale także, a może przede wszystkim nasze umysły i emocje.

Koniec końca historii

Dziś, w takim wirtualnym zwielokrotnieniu, płyną do nas z Ukrainy wstrząsające obrazy i informacje zwiastujące nieodwołalny koniec rzeczywistości, którą znaliśmy i w której – pomimo ewidentnych mankamentów – przynajmniej część z nas czuła się względnie bezpiecznie.

Pierwszym akordem głębokich transformacji, które wydarzyły się w zachodnim świecie w ciągu ostatnich dwóch dekad – a których kolejnym etapem stała się rosyjska inwazja na Ukrainę – były właśnie ataki na WTC. Kiedy ów akord wybrzmiewał, Ameryka cieszyła się niekwestionowaną ↦

↦ pozycją światowego lidera, Rosja wydawała się całkiem niegroźna, Chiny były państwem na dorobku, a Unia Europejska przygotowywała się do rozszerzenia granic między innymi o państwa z byłego bloku sowieckiego. Wciąż aktualnie brzmiała słynna diagnoza Francisa Fukuyamy o „końcu historii". Zdecydowanie bardziej zniuansowana, niż by to sugerowała tytułowa fraza jego głośnego dzieła, niemniej z ducha optymistyczna, radośnie zwiastująca finał żmudnego procesu poszukiwania ustroju najlepszego z możliwych. O globalnym ociepleniu, owszem, rozmawiano, niemniej w powszechnej świadomości dominowało przekonanie, że po pierwsze poradzimy sobie z jego skutkami, a po drugie, że problem jest wciąż gdzieś hen, daleko za horyzontem tego, co widoczne.

Zawalenie się wież WTC było więc symbolicznym końcem „końca historii", fundamentalną rewizją i reorganizacją wyobrażenia o dziejowej teleologii, która przywieść nas miała do punktu szczęśliwej niezmienności. Zamachy 9/11 odsłoniły także istnienie potężnych sił, kłębiących się gdzieś za symbolicznym murem okalającym zachodnią cywilizację, które znalazły wreszcie metodę, żeby ów pozornie nienaruszalny mur rozszczelnić. Sił nieprzyjaznych, wściekłych, mających mniej lub bardziej zasadne żale, gotowych wszakże na działania, których radykalizmu nie jest w stanie utemperować nawet instynkt samozachowawczy. Czyli ten psychologiczny bezpiecznik, który przez półwiecze zimnej wojny stanowił dla obu zwaśnionych stron niepodważalne gwarancje istnienia.

Fantomowe fundamenty

Pomimo tego, przynajmniej nam, mieszkankom i mieszkańcom Europy Środkowo-Wschodniej, wydawało się wówczas, że Stany Zjednoczone, choć upokorzone tym krwawym spektaklem odtwarzanym wciąż na nowo we wszystkich mediach świata, już za moment odzyskają kontenans i pozycję niekwestionowanego lidera. Być może zbyt mocno zaangażowani byliśmy w celebrowanie zbliżającego się akcesu do Zjednoczonej Europy (co wydarzyło się niecałe trzy lata później), żeby zwracać nadmierną uwagę na sygnały z tła świadczące, że globalnie realizują się zupełnie inne scenariusze.

Również kryzys finansowy w latach 2007-2008 dotknął nas tylko pośrednio i z pewnym opóźnieniem. Co nie zmienia faktu, że dla reszty zachodniego świata była to kolejna intensywna destabilizacja, zdecydowanie bardziej głębinowa i brzemienna w skutki aniżeli fiasko „wojny z terroryzmem" i postępujące za tym ograniczanie swobód obywatelskich w zamian za obietnicę bezpieczeństwa. Okazało się wówczas, że pod podszewką pozornie trwałych instytucji, mających teoretycznie dbać o społeczny dobrostan, pomnażać wspólny majątek i pracować na rzecz lepszej przyszłości, toczy się gra o zupełnie inne stawki. Okazało się także, że cała ta budowla, na której przywykliśmy polegać, budowla będąca warunkiem możliwości myślenia o lepszym jutrze, ba, o jakimkolwiek jutrze, może w krótkim czasie runąć, bo jej fundamenty składają się z fantomowej materii. W odróżnieniu od wcześniejszych kryzysów tego rodzaju – co diagnozował w jednym z esejów opublikowanych w tamtym czasie Zygmunt Bauman – ten najświeższy cechował się absolutną bezalternatywnością. Wszystkie inne modele zostały już wypróbowane – i nie zadziałały. Nie było więc czym zastąpić niewydolnej machiny, nie istniała żadna nieprzetestowana dotąd ewentualność.

Poczucie rozczarowania, zakleszczenia i domknięcia, a na dodatek anihilacji wyobrażeń o lepszej (czy w ogóle jakiejkolwiek możliwej) przyszłości, wzmocniły jeszcze rządowe gwarancje dla banków połączone z utrzymaniem systemowego *status quo*. Podporządkowane logice zysku za wszelką cenę rynki – a zatem główne siły kształtujące strukturę naszego świata – nie tylko nie zmodyfikowały pod wpływem kryzysu swojej hierarchii wartości, ale wręcz jeszcze mocniej pracować zaczęły na rzecz dotychczasowego paradygmatu.

Szok teraźniejszości

Diagnoza, że to właśnie w odległych konsekwencjach tamtego kolapsu – przede wszystkim kolapsu zaufania do polityczno-biznesowych elit i instytucji – należy poszukiwać źródeł późniejszej ekspansji prawicowego populizmu i stopniowego demontażu liberalnej demokracji, nie jest jakoś szczególnie oryginalna. Dodajmy jednak do tego wspomniany „szok teraźniejszości": postępującą komercjalizację sieci, rozwijające się media społecznościowe, masową dostępność smartfonów, a więc internetu, pod ręką, przez 24 godziny na dobę. I coraz śmielej sobie poczynające algorytmy, mające jeden cel – jak najdłużej utrzymać naszą uwagę przy urządzeniu. Co za tym idzie – rozszczepianie się społecznego uniwersum na coraz bardziej skonfliktowane grupy i grupki konsolidujące się wokół tożsamościowych totemów. Dalej – będące tego konsekwencją wojny światopoglądowe, rosnące po wszystkich stronach licznie porozstawianych barykad przekonanie, że tylko tutaj, tylko „u nas" jest dobro i prawda, wszędzie indziej natomiast królują zło i kłamstwo.

Co mamy w efekcie? Kompletną atrofię debaty, zamianę rozmowy na perswazję, a wymiany myśli na impetyczne reprodukowanie własnego stanowiska. Bez żadnej uważności na innego, który staje się już tylko wirtualnym awatarem uosabiającym wszystko, co wrogie i zagrażające.

Równolegle z tymi procesami – których opis zająć mógłby opasłe tomy, zresztą już je zajmuje, przykładem choćby książki Rushkoffa albo „Wiek kapitalizmu inwigilacji" Shoshany Zuboff – tektoniczne płyty globalnej polityki ulegały dyskretnemu, ale zdecydowanemu przemieszczeniu. Ameryka wycofywała się stopniowo z roli światowego lidera, Chiny metodycznie realizowały plan zajęcia jej miejsca, Rosja zaś pielęgnowała sen o dominacji i potędze, starając się zarazem stopniowo wcielać go w życie, „rozpoznawać bojem", na co można sobie w danej chwili pozwolić: a to w Gruzji, a to na Krymie.

Wybór Trumpa na prezydenta USA stał się symboliczną ekspresją chaosu, jaki w pewnym momencie ogarnął zachodni świat. Pandemia koronawirusa natomiast, która wybuchła kilka lat później, zadziałała niczym klasyczne serum prawdy: gwałtownie wydobyła na powierzchnię wszystkie starannie zakrywane aspekty współczesności. Na nowo przypomniała to, co kilkanaście lat wcześniej ujawnił kryzys: reguły tego świata napisane zostały przez bogatych i potężnych dla bogatych i potężnych. Zysk jest wartością naj-

wyższą, przed którą skłonić czoło muszą nawet takie deklaratywnie priorytetowe wartości, jak choćby życie i zdrowie najstarszych i najsłabszych. Prawo silniejszego wciąż obowiązuje na wielu obszarach tak zwanego cywilizowanego świata.

Reguły tego świata napisane zostały przez bogatych i potężnych dla bogatych i potężnych. Zysk jest wartością najwyższą, przed którą skłonić czoło muszą życie i zdrowie najstarszych i najsłabszych.

Czas apokalipsy

Już tylko to, co powyżej, w zupełności wystarczyłoby, żeby zrozumieć, skąd wzięły się gwałtownie ekspandujące w ostatnich latach fantazje apokaliptyczne. Jest to skądinąd jedna z naturalnych konsekwencji szoku teraźniejszości. Załamanie się tradycyjnego porządku następstwa, rozmontowanie linearnego sposobu doświadczania czasu wprowadza konfuzję i poczucie przeciążenia, które stają się w końcu nie do wytrzymania. Wizja apokalipsy – bogato i różnorodnie opracowywana od dawna przez popkulturę – paradoksalnie niesie ze sobą nie tylko pożogę, ale również obietnicę wyzwolenia. Jest wszak – rzecz ujmując z jeszcze innej strony – ekstatycznym porzuceniem tego wszystkiego, co przytłaczające i paraliżujące: uwikłania w kredyty, bezrobocia, biedy, dojmującej niepewności, braku perspektyw, poczucia upokorzenia, niższości i krzykliwej niesprawiedliwości systemu społecznego premiującego bogatych i silnych.

Coraz wyraźniej obecna w powszechnej świadomości wiedza o zbliżających się konsekwencjach kryzysu klimatycznego – choć nauka mówi tu o procesach stopniowych, a nie punktowych – doskonale zsynchronizowała się w zbiorowej wyobraźni właśnie z apokaliptycznym fantazmatem. Wbrew temu, do czego starają się nas przekonać twórcy filmu „Nie patrz w górę" – apokalipsa wylewa się wprost z mediów społecznościowych, serwisów streamingowych, portali prasowych i księgarskich półek.

I znowu – atmosferę schyłku wzmacnia szok teraźniejszości. Dojmująco realne, wytworzone przy pomocy najnowocześniejszych komputerów obrazy globalnej zagłady powracają do nas zapętlone w nieskończonej teraźniejszości na ekranach smartfonów i laptopów. Ziemia – a wraz z nią cała ludzkość – niszczeje raz po raz trawiona ogniem albo rozjuszonym oceanem występującym z brzegów. W filmach i serialach na miejsce dzisiejszego świata wkraczają postapokaliptyczne neoplemienne wspólnoty oparte wyłącznie na przemocy.

W zalewie fake newsów, propagandy emitowanej przez najrozmaitsze ośrodki wpływu, teorii spiskowych i komercyjnych reklam udających rzetelne materiały informacyjne znika nasza zdolność rozróżniania tego, co rzeczywiste, od tego, co za rzeczywistość podstawione. Znika poczucie stabilności i przewidywalności, konieczne, żeby trwała struktura społeczna, a zatem żeby nie doszło do wojny wszystkich ze wszystkimi.

A więc wojna

Tymczasem na wskroś cyniczne i pragmatyczne mocarstwo – teza o szaleństwie Putina jest bowiem raczej wyrazem naszej bezradności w uznaniu, że ktoś może otwarcie zachowywać się w ten sposób – realizuje krok po kroku, metodycznie, swój plan poszerzania pola wpływu. Słowo „wojna", nawet po atakach na WTC traktowane przez długi czas niczym relikt dawnej, ciemnej przeszłości, jest dziś odmieniane na wszystkie możliwe sposoby we wszystkich możliwych mediach. Nie tylko zresztą odmieniane – wydarza się nieustannie tu i teraz, kiedy na ekranach naszych smartfonów i laptopów wciąż od nowa mkną opancerzone rosyjskie wozy i czołgi, a dziwnie wzdychający Władimir Putin wygłasza kolejną mowę złożoną z półprawd i kłamstw po to tylko, żeby propagandowo uzasadnić pogwałcenie wszystkich reguł cywilizowanego świata.

Bez wątpienia dwie dekady wystarczyły, żeby rzeczywistość stała się całkowicie nieprzewidywalna i niepewna. Ład oparty na liberalnej wizji społecznego porządku wydaje się chwiać w posadach. Nadchodzi wielka reorganizacja. Widoma niezdolność Zachodu do zapobiegnięcia przemocowemu łamaniu ustaleń, których gwarantem sam się uczynił – czego nie przykryją przecież powierzchniowe ruchy w postaci spóźnionych sankcji i strzelistej retoryki – zwiastuje niestety, że faktyczny demontaż Ukrainy jako niezależnego państwa to dopiero początek.

Czym będzie ta wojna w epoce cyfrowego kapitalizmu, mediów społecznościowych i szoku teraźniejszości? Jak oddziała na zbiorową wyobraźnię, jak wpłynie na nasze relacje, przeżycia, lęki, obawy, fantazje i sny? Już dzisiaj – jak twierdzą P.W. Singer i Emerson T. Brooking w pasjonującej książce „LikeWar. The Weaponization of Social Media" – świat wirtualny jest terenem działań zbrojnych realizowanych innymi instrumentami. Wojna ogarnia zatem nas wszystkich, wszyscy stajemy się obiektem wojennej agresji. Apokaliptyczne emocje, dezinformacja, pogłębiające się antagonizmy – to tylko niektóre jakości używane w służbie wojennej ekspansji, której dokonuje się dzisiaj nie wyłącznie, a nawet nie przede wszystkim przy użyciu pojazdów opancerzonych i maszerujących armii.

Istnieje cały szereg badań pokazujących, jak drastyczny wpływ na psychiczny dobrostan – a co za tym idzie: na pozostałe obszary życia – ma wojna rozgrywająca się w bezpośredniej bliskości (cóż to znaczy w epoce wirtualnej?). Zaburzenia lękowe, PTSD i depresja to nieodłączne składowe wojennego i postwojennego krajobrazu – mówi o tym choćby duży raport „Mental health consequences of war" opublikowany w lutym 2006 r. na łamach „World Psychiatry". Wszystkie te badania dotyczą jednak świata, w którym istniało jeszcze klasyczne czasowe następstwo, a granica pomiędzy tym, co realne, a tym, co wyobrażone, była wyraźnie zaznaczona. Dzisiaj te parametry już nie obowiązują.

Witajcie więc w epoce radykalnej nieprzewidywalności, o której jak na razie można powiedzieć tylko tyle, że nie jesteśmy na jej nadejście w żadnym razie przygotowani. I nie mamy pojęcia, co nas czeka.

© TOMASZ STAWISZYŃSKI

Smaki - notes kulinarny „Tygodnika"

Smaki i zapachy

Dziękuję za „Smaki", czyli notes kulinarny „Tygodnika" – wspaniały prezent. Pięknie dziękuję autorom tekstów („smakowita" polszczyzna) i pani ilustratorce. Czytanie „Smaków" trwało nieco dłużej, bo niekiedy czytałam tekst po kilka razy, starając sobie wyobrazić i smak, i zapach. Teraz książka powędruje do kuchni jako „podręczna". A ja pędzę (choć to za dużo powiedziane – mam 84 lata) po anchois i wino Gerard Bertrand Orange Gold. Inne ingrediencje mam pod ręką.

NATALIA KUŹMICKA

Rzecz o strużaku do ziemniaków

Nie pamiętam, by jakiś tekst tak mile mnie zaskoczył i sprawił przyjemność, jak lektura krótkiego eseju Michała Kuźmińskiego pt. „Król obieraczek" pochodzącego z notesu kulinarnego „Smaki". Mam emocjonalny stosunek do strużaka (tak naprawdę nie wiem, jak to się poprawnie pisze) do ziemniaków, który jest najstarszym i najczęściej używanym przyrządem w mojej kuchni. Dostałam pęk takich strużaków od mojej babci w dniu swojego ślubu – w Boże Narodzenie 1972 roku. Strużak znałam od dziecka, bo mama używała go codziennie i ja też mogłam się nim posługiwać. Jednak babcia miała do strużaków wyjątkowy stosunek i zaopatrywała w nie całą rodzinę. Babcia mieszkała w Tuchowie, a ja w dzieciństwie czasami spędzałam tam wakacje. Chodziłam z babcią na jarmarki celem kupowania strużaków. Jednak nie mogły to być byle jakie strużaki – tylko z ostrzem zrobionym z kosy. Babcia potrafiła wielokrotnie chodzić po te strużaki, narzekać, że przyjeżdżają z nimi sami partacze, przebierać w nich i polować, aż znalazła właściwe. Moje strużaki służą mi już prawie 50 lat. Z pięciu, które dostałam, zostały mi dwa, w tym jeden naprawiony kilka lat temu. Wyglądają okropnie i wielokrotnie byłam o krok od ich wyrzucenia. Kupiłam przez ten czas wiele strużaków (obieraczek) – tanich, drogich i bardzo drogich, krajowych i zagranicznych – ale wszystkie albo zostały wyrzucone, albo zalegają w szufladach. Nie wytrzymują konkurencji ze starymi strużakami zrobionymi z kosy.

GRAŻYNA PRAWELSKA-SKRZYPEK

TP

GRAŻYNA MAKARA

ANNA GOC NOMINOWANA DO PIÓRA NADZIEI 2021

Nagroda Pióro Nadziei przyznawana jest przez Amnesty International Polska osobie, która swoją działalnością medialną w minionym roku przyczyniła się do pozytywnej zmiany na rzecz praw człowieka i której praca uwrażliwia, otwiera oczy, skutecznie zwraca uwagę opinii publicznej na istotne społecznie tematy.

W ramach tegorocznej edycji konkursu w gronie nominowanych znaleźli się Anna Goc, dziennikarka „Tygodnika Powszechnego"

Laureata lub laureatkę nagrody poznamy już 4 marca.

Gratulujemy!

AMNESTY INTERNATIONAL

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

- **OGÓLNOKLUBOWE,** środa 2 marca, spotkanie z Markiem Kęskrawcem, kierownikiem działu Kraj „TP", cykl „Piszą w Tygodniku" /online/
- **OGÓLNOKLUBOWE,** poniedziałek 7 marca, spotkanie z ks. Andrzejem Szostkiem nad książką „Uczestniczyć w losie Drugiego", cykl „Wspólne czytanie" /online/
- **WARSZAWA,** czwartek 10 marca, spotkanie z Aleksandrą Klich, Dominiką Kozłowską, Magdaleną Kicińską, Zofią Król „Kobiety opinii. O wyzwaniach współczesnego dziennikarstwa" /online/

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

Napisz własną historię kuchenną

Do każdej prenumeraty autorski, wyjątkowy notes kulinarny „Smaki" w prezencie. 12 sezonów, przepisy, rozmowy, eseje, autorskie ilustracje – i Twoja opowieść.

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN DLA „TP"

STANISŁAW

Mancewicz:

Z = zło

W CIĄGU KILKU MINUT PORZĄDEK ŚWIATA się zdezaktualizował. I co do tego nie ma żadnych wątpliwości – będzie się teraz układał na nowo, w sposób najpewniej dynamiczny, zaskakujący i bardzo tragiczny. Zdań w tym tonie na ogół się wystrzegamy, ale sytuacja jest poważna. Stereotypy, które stosowaliśmy do opisywania świata, najpierw do 1989 r. i potem te krystalizujące się przez lat ponad trzydzieści – wszystkie te ułatwiające niemyślenie zestawy, stare i nowe, czwartkowym świtem przestały obowiązywać.

Na początek, mimo nawały złych wiadomości, jest jedna dobra. Jest pocieszające, że rośnie liczba ludzi odróżniających jednak dobro od zła. Może ułatwia to litera „Z" wymalowana na rosyjskich czołgach biorących udział w inwazji. Oto – mówiąc serio, nazywanie zła po imieniu, przynajmniej dziś, jest jednak powszechne i przestało być dyskutowane. Nawet blisko pół miliona Rosjan w Rosji podpisało antywojenną petycję, mocny gest – co łatwo się domyślić, znaczący o wiele więcej niż podpisywanie czegokolwiek w wolnym od Putina świecie. Są, rzecz jasna, liczne wyjątki. By nie zapadać się po pachy w polskim bagnie, za przykład owej wyjątkowości niech nam posłuży Donald Trump, który, jak powiadał klasyk, zmarnował w zeszłym tygodniu okazję, by siedzieć cicho. Nazwał Putina geniuszem już w trakcie inwazji. Dołączył tym samym do towarzystwa przywódców Nikaragui, Kuby, Wenezueli, bodaj Birmy i, rzecz jasna, Chin. Jeszcze żaden były amerykański prezydent nie był tak straszny i tak bardzo śmieszny, i chyba – to marzenie może jeszcze nie ściętej głowy – jego polscy wielbiciele przestaną uprawiać kult jego geniuszu oraz boskiej potencji. Oby na zawsze, a nie na chwilę. Nawiasem, wyobrażenie sobie – do czego było blisko – że Trump byłby teraz prezydentem, stawia dęba włosy na głowie każdemu, chyba nawet Andrzejowi Dudzie. W świetle tego, co się dzieje, ponure podejrzenie, że Rosjanie byliby już pod Wyszkowem, nie jest, zdaje się, zbyt fantastyczne.

Wracając do zasygnalizowanej totalnej dezaktualizacji. Nie ma – popatrzmy – Rosji Putina sprzed czwartku, jest to kraj już otwarcie bandycki, ale też bardzo irracjonalny, i dlatego też tak straszny. Nie ma dziś już Zachodu od lat rozmawiającego na miękko z Putinem i robiącego z nim dowolne interesy. Jakkolwiek krytykować zasięg i moc sankcji czy brak reakcji militarnej – skończyło się udawanie, a zwłaszcza obojętność. Z tłumu obojętnych zostało niewielu, ot dla przykładu weźmy Viktora Orbána i Gianniego Infantino, szefa Międzynarodowej Federacji Piłki Nożnej. Ale są to – rzec trzeba – ludzie bardzo specyficzni. Jeden jest po prostu przyjacielem Putina, a drugi dostał odeń rosyjski order przyjaźni, co na jedno wychodzi. Dość powiedzieć, że figury w rodzaju byłego kanclerza Niemiec Gerharda Schrödera, od lat na rosyjskim etacie, zdezaktualizowały się jako autorytety, nawet biznesowe, nawet jako autorytety dla wąskiego grona. Każdy następny kadr z Ukrainy będzie – miejmy nadzieję – wypychał takich facetów na margines polityki, biznesu czy choćby publicystyki i historii. Oby.

No i wreszcie nie ma też chyba polityki polskiej sprzed tygodnia. Przynajmniej dziś. Mamy tu na myśli cały ten zestaw demolujących społeczeństwo metod i owej prymitywnej propagandy, owej skonstruowanej przez polską prawicę pały, służącej też – jak wiemy – do robienia dobrego humorku ludziom władzy. Jest okazja, by się wykazać, to idealny czas na sprawdzenie się w obliczu horroru, jaki nas wszystkich czeka, i na zerwanie idiotycznych sojuszy z proputinowskimi faktorami we Francji, Włoszech i Hiszpanii. Czasy bezkarnego uprawiania infantylnej i byle jakiej polityki się skończyły. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

Polska Misja Medyczna

Apelujemy o solidarność z Ukrainą i wsparcie pilnej pomocy medycznej!

Fot. Polski Zespół Humanitarny

pmm.org.pl/chce-pomoc#ukraina

Pomóż wpłacając na konto:
62 1240 2294 1111 0000 3718 5444 z dopiskiem „Ukraina"

dziękujemy, Polska Misja Medyczna